

KRAKÓW

www.miesiecznik.krakow.pl

Nr 01 (194) Styczeń 2021

Kraków nieodkryty



Dziedzictwo 3.0: miasta razem

Nieznane kościoły i ołtarz mariacki

Wawel i jego arrasy

Noc u Matejki

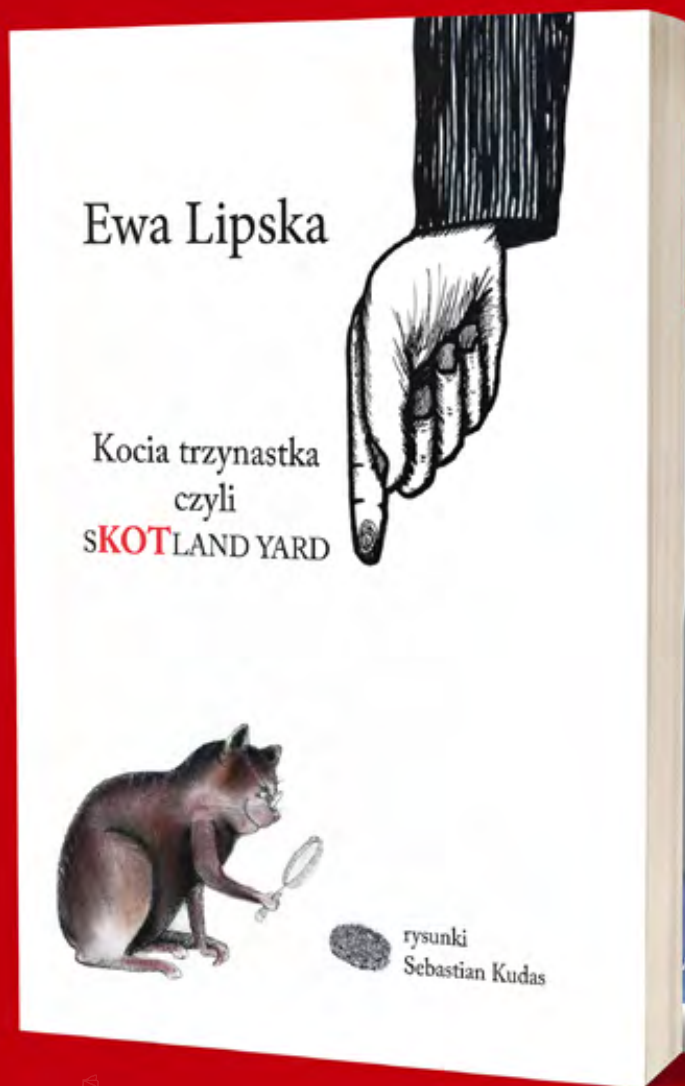
Rynek, królowie i królowe



9 771733 045101 01

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Wstąp do Klubu, a dostaniesz **SKOTLAND YARD** z autografem autorki!*



*Kocia trzynastka, czyli...
najnowsze wiersze
Ewy Lipskiej
z rewelacyjnymi rysunkami
Sebastiana Kudasa*



Zapraszamy!

Szczegóły w numerze oraz na
www.miesiecznik.krakow.pl/o-nas/klub-przyjaciol-krakowa/

* oferta ważna do wyczerpania zapasów

Klub Przyjaciół
miesięcznika

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

zaczynamy się
w Krakowie
KRAKÓW
MIESIĘCZNIK
www.miesiecznik.krakow.pl



Jan Matejko, *Hołd pruski*, olej na płótnie 388 × 785 cm, Muzeum Narodowe w Krakowie/Wikimedia Commons

Kraków królów

Opowiada Michał Niezabitowski

Kraków był zawsze „miastem królów”. Znacznie wcześniej niż Kazimierz Odnowiciel ustanowił tu ośrodek rządzenia państwem polskim po zniszczeniu w 1038 roku Gniezna przez księcia Brzetysława. I długo potem, jak w XVII i XVIII wieku stopniowo dwór królewski i urzędy centralne przenieśli się do Warszawy.

Opowieść o Krakowie królewskim trzeba zacząć od nazwy miasta. Tu historycy korzystają z pomocy językoznawców. Otóż końcówka „-ów” w staropolskich nazwach oznaczała, że coś było czyjąś własnością (sufiks dzierżawczy). Kraków zatem był władztwem Kraka. Jeżeli dodać do tego tradycję kopca Kraka i kilka śladów archeologicznych, to nie ma wątpliwości, że panował na tej ziemi władca Krak. Więcej, jego rządy były na tyle długie i znaczące, że został zapisany w tradycji i legendzie przekazanej nam przez kronikę Wincentego Kadłubka, który pisał ją w XII wieku, opierając się na relacjach przechodzących ustnie z pokolenia na pokolenie. Kadłubek pisze o Krakcu różnie – a to z łacińska jako o Gracchusie, a to łączy jego imię z krakaniem kruków. Z kilku źródeł pisanych oraz archeologicznych wynika, że już w VIII, a może nawet w VII wieku Kraków był stolicą potężnego jak na owe czasy państwa, a raczej protopaństwa Wiślan, obejmującego dorzecze górnej Wisły. Jednak u schyłku IX lub na początku X wieku zniknęło z mapy politycznej

ówczesnej Europy – najpewniej na skutek najeźdu Wielkomorawian.

Krak, jeden z władców dynastii wiślańskiej, nie był co prawda koronowanym panującym, lecz był królem w rozumieniu potężnego księcia. *Legenda Panońska* wspomina o: „potężnym księciu siedzącym na Wiślech”. Czy był nim sam Krak czy raczej jeden z jego dziedziców, tego się już chyba nie dowiemy. W X wieku Kraków stał się częścią Czech i był jedną ze stolic czeskiego księcia Bolesława zwanego Okrutnym. Wiemy też, że Kraków znalazł się w granicach państwa polskiego po wojnie, którą tuż przed swoją śmiercią stoczył z Czechami Mieszko (prawdopodobnie w 990 roku), skądinąd też władca, który nie był koronowany. Prawdopodobnie odbił on Kraków z rąk czeskich i gdyby nie to, Kraków byłby dziś może miastem czeskim?

Pierwszym polskim królem koronowanym i posiadającym sakrę papieską, czyli traktowanym jako pomazaniec boży, był Bolesław Chrobry. On też lubił pomieszkiwać w Krakowie. Dość powiedzieć, że pierwsza katedra

w mieście to katedra fundacji chrobrowskiej. Dla Chrobrego, a potem dla Mieszka II Kraków był prawdopodobnie jedną z siedzib królestwa. Wtedy nie mówiono bowiem o stolicy państwa, lecz o *sedes regni principales*, czyli o siedzibach władców królestwa. Prof. Jerzy Wyrozumiński dowodził pięknie, że Kraków od połowy XII wieku był „najgłówniejszą” spośród nich. Pozycję tę zyskał w czasie rozbitcia dzielnicowego, bo stał się wtedy zwornikiem państwa. Swoje zrobiła również kanonizacja św. Stanisława.

Samych koronacji jednak aż do XIV wieku dokonywano w Gnieźnie. Pojawiła się wprawdzie teza, że Bolesław Śmiały koronował się w Krakowie, bo tu miał siedzibę swego dworu, nie ma na to jednak żadnych dowodów. Za to z pewnością król ten rezydował w Krakowie i tu popełnił swój największy błąd polityczny, dokonując zabójstwa biskupa Stanisława.

Wszelkie atrybuty miasta królewskiego Kraków uzyskał w chwili koronacji w katedrze wawelskiej Władysław Łokietka w 1320 roku. Odtąd stał się miastem koronacyjnym aż do Stanisława Augusta Poniatowskiego, bo spośród polskich monarchów tylko on koronował się w Warszawie – a to był rok 1764!

Mówi się wprawdzie o przeniesieniu stolicy do Warszawy w 1596 roku, lecz jest to najbardziej bałamutna data w historii kraju, której uczy się w szkołach.

Bo żadnego przeniesienia stolicy do Warszawy nie było. Po prostu: w 1595 roku wskutek alchemicznych eksperymentów Zygmunta III Wazy doszło do pożaru Wawelu. Żona króla była wtedy w zaawansowanej ciąży. Nie mogąc mieszkać w spalonym zamku, przeniosła się do zameczku myśliwskiego w Łobzowie. Urodziła tam Władysława IV, a następnie król spłynął z nią i małym synkiem tratwami do Warszawy, bo Łobzów był rezydencją niewystarczającą dla potrzeb dworu. Potem monarcha do Krakowa wrócił i stąd władał krajem aż do roku 1609, czyli do wyjazdu pod oblężony Smoleńsk. Po zwycięskim zajęciu Smoleńska w 1611 roku na dobre przeniósł się do Warszawy.

Lecz i wtedy nikomu nie przyszłoby przez myśl, że Warszawa jest stolicą królestwa. Przeciwnie. Kiedy Władysław IV, który wychował się głównie w Warszawie, swoją żonę Cecylią Renatę ukoronował właśnie tam, szlachta była oburzona. I na następnym sejmie koronacyjnym ogłosiła, że nie życzy sobie, by jakkolwiek kolejna koronacja odbywała poza stolicą, czyli Krakowem. Wszyscy królowie koronowali się potem grzecznie na Wawelu. A jeśli któryś próbował robić wyłom, to spotykał się z ostrą reakcją. Doświadczył jej Michał Korybut Wiśniowiecki, który – raczej z leniwej niechęci podróży do Krakowa, koronował swoją żonę Eleonorę znowu w Warszawie. Z kolei przeprowadzonej w Warszawie pod butem króla szwedzkiego Karola XII koronacji

Stanisława Leszczyńskiego nie można uznać za *de lege lata*, czyli zgodną z prawem (1705). Przeciwnie – była to antykoronacja, bo wtedy (od 1697 roku) władał w Polsce August III, koronowany w Krakowie.

Dopiero koronacja Stanisława Augusta Poniatowskiego w, powtórzmy, roku 1764 wynikała z rosnącej roli Warszawy w państwie. Znamienne jednak, że polityczny środek ciężkości państwa polskiego przesuwał się tam od XVI wieku bardzo powoli – bo trwało to ponad 200 lat.

Oficjalnie Kraków miano i rolę stolicy stracił dopiero w Konstytucji 3 maja, a więc w 1791 roku. Mimo to w społecznej świadomości wciąż uchodził za miasto królewskie! Nie bez powodu w roku 2007 władze Krakowa, czcząc 750-lecie lokacji miasta na prawie magdeburskim, zdecydowały, że na drogach wjazdowych goście napotkają tablice: „Witaj w Krakowie, mieście królów polskich”. Bo rzeczywiście: królewskość to jeden z najważniejszych mitów konstytuujących Kraków i krakowian. Francuski socjolog Maurice Halbwachs uświadomił nam, że tak zwana wspólnota jest zawsze bytem wyobrażonym, bo jesteśmy nią, o ile sobie ją we własnej świadomości konstruujemy, a robimy to dzięki mitom, legendom i opowieściom. Czyli dzięki pamięci.

A ponieważ pamięć miasta królewskiego jest wśród krakowian cały czas żywa, więc... Kraków nigdy nie przestał być miastem królewskim. I wciąż nim jest, bo to właśnie ten mit jest jednym z tych, które nas gromadzą we wspólnotę.

Kraków jest miastem królewskim także dlatego, że w pamięci obecni są również bohaterzy i wieszczowie, którzy wprawdzie nie byli koronowani, ale są pochowani w kryptach wawelskich. Pierwszy raz misterna gra polityczna polegająca na pochowaniu na Wawelu bohaterów narodowych została podjęta w czasie rozbiorów wobec doczesnych szczątków księcia Józefa Poniatowskiego w 1817 roku, rok później Tadeusza Kościuszki, a jak wiemy, lista ta wcale na tych postaciach się nie zakończyła. Pochówek na Wawelu budził też emocje i konflikty. Tak było w przypadku Juliusza Słowackiego, Józefa Piłsudskiego (słynny tzw. kryzys wawelski). Wawel stał się więc mieszkaniem nie tylko królów, ale i Królów-Duchów.

*

Do dziedzictwa Krakowa należy wreszcie codzienna, nazwijmy to, obecność królów na ulicach miasta. Oczywiście nie polegała ona na wieczornych przechadzkach pary królewskiej ulicami miasta. Zresztą Wawel nigdy formalnie nie był Krakowem, bo do roku 1802 miał status, jak dziś byśmy powiedzieli, osobnej jednostki terytorialnej. Było jednak tradycją, że pierwszą oficjalną wizytę król składał zawsze właśnie w Krakowie, bo pierwszym po koronacji aktem politycznym władcy było odebranie hołdu od tutejszych mieszczan. Składali mu

nadto daninę, by wkupić się w łaski monarchy. Ten zaś kładł rękę na kodeksie przywilejów miejskich (zachowało się ich kilka, najsłynniejszy to Baltazara Behema), co oznaczało, że potwierdza przywileje mieszczan. Istniał nadto zwyczaj triumfalnego wjazdu króla do miasta po zwycięskich bitwach, zawsze od strony Bramy Floriańskiej – czuliśmy się bowiem Rzeczpospolitą, a więc także w sferze symboli kontynuatorek republik rzymskiej. Król przyjmował także czasami zaproszenia mieszczan – dowodów na to można znaleźć wiele, choć najbardziej osławiona uczta u Wierzyńka była chyba raczej bankietem o charakterze politycznym dla uczestników tak zwanego Zjazdu Krakowskiego (1364).

Zaś niejaki Jan Olbracht, wychowanek Jana Długosza, miał niezwykły temperament i jako królewicz uciekał ciągle na ulice Krakowa na wagary. Kilka razy wrócił z tych wypraw pobijany i Długosz musiał to ukrywać przed jego ojcem, czyli Kazimierzem Jagiellończykiem. Mówiło się też, że Olbracht zmarł na wstydliwą chorobę i wyskoki do miasta miały z tym związek. Jak napisał Maciej z Miechowa: „Namiętnościom i chuciom jako człowiek wojskowy folgował...”.

*

Oczywiście, zdarzali się władcy, którzy Krakowa po prostu nie lubili. 650 lat temu koronowany został w katedrze wawelskiej Ludwik Węgierski, co dało początek panowaniu Andegawenów (a w konsekwencji Jagiellonów). Formalnie był polskim monarchą, lecz nie nauczył się mówić po polsku i nie miał związków z Krakowem, a w praktyce panowała Elżbieta Łokietkówna, siostra Kazimierza Wielkiego. On był królem budziańskim i wyszehradzkim.

Z kolei Władysław Warneńczyk, choć wychował się w Krakowie, przeniósł się na tron węgierski w wyniku politycznej gry kardynała Zbigniewa Oleśnickiego. Ale już Kazimierz Jagiellończyk, jego brat i drugi syn Jagiełły, był arcykrakowskim królem, choć równocześnie Wielkim Księciem Litewskim.

Kraków lubił też, może najbardziej, Zygmunt Stary. Za to jego syn, Zygmunt August już do miasta nie miał sympatii. Może dlatego, że rodzice i miejscowi możnowładcy ostro sprzeciwili się jego ożenkowi z Barbarą Radziwiłłówną. Barbary tu nie akceptowano i król to boleśnie odczuł. Często więc wyjeżdżał z Wawelu, a po śmierci Barbary opuścił Kraków niemal na stałe.

W Krakowie króciutko rezydował Henryk Walezy, bo zaraz po koronacji wrócił do Francji. Ledwie dwa lata – na dziesięć lat panowania – spędził tu Stefan Batory. Nie tylko dlatego, jak chce legenda, że niespieszno mu było do znacznie starszej Anny Jagiellonki (różnica wieku była spora, trzydzieści lat), ale także dlatego, że miał swoje plany polityczne i... inne kobiety.

Zygmunt III panował na Wawelu do roku 1609, potem zaś osiadł w Warszawie i z cza-

sem powoli tam się przenosiły agendy państwa. W Krakowie jednak wciąż się odbywały, powtórzmy, sejmy koronacyjne i same koronacje. Tu znajdowały się insygnia koronacyjne, tu chowano władców i ich rodziny po śmierci. Krakowa, jako stolicy państwa, dotyczyły także nadal układy polityczne – przykładowo pakt, który zakończył się bitwą wiedeńską w 1683 roku, przewidywał, że Austria i Rzeczpospolita udadzą się sobie na pomoc, gdyby zostały zaatakowane ich stolice, czyli Wiedeń i Kraków. Zresztą sam Jan Sobieski, choć był urodzony poza Krakowem, tu kończył Collegium Nowodworskie, tu spędził młodość i Kraków do końca swego życia faworyzował.

Symboliczna jest postać Stanisława Augusta Poniatowskiego, który Kraków odwiedził tylko raz. Była to jednak kilkunastodniowa wizyta – z odwiedzinami między innymi Kazimierza, skarbcza oraz grobów królewskich i obowiązkową, po latach, pielgrzymką ekspiacyjną jaką każdy władca musiał odbyć idąc pieszo z Wawelu na Skałkę.

*

Królewskie dziedzictwo Krakowa tworzą też z władcami kojarzone – czy to zasadnie czy jedynie w legendzie – określone miejsca.

Takie choćby jak Akademia Krakowska – dzieło Kazimierza Wielkiego, który należał, obok Łokietka, Kazimierza Jagiellończyka i Zygmunta Starego do władców najbardziej z miastem związanych.

Albo kościół Karmelitów na Piasku z odcisniętą stópką królowej Jadwigi – tyle że to już legenda, której raczej nie potwierdzimy.

Bądź Skałka – wprawdzie nie ma pewności, czy biskup Stanisław zginął tam czy na Wawelu, ale Skałka była miejscem procesji ekspiacyjnych, które odbywał każdy władca przed koronacją. Bez tej procesji intronizacja była nieważna.

Każdy król, nie tylko Zygmunt Stary, odbierał, o czym wspomniałem, hołdy na Rynku. W tym celu na zastawionym gęsto kramami placu pozostawiano zawsze wolną przestrzeń od strony ul. Brackiej. Nieprzypadkowo zwała się „na goldzie” (na miejscu hołdów).

Faktem była też uczta u Wierzyńka: nie wiemy wprawdzie, czy odbyła się w tym miejscu, z którym jest kojarzona, ale na pewno wystawiono ją w mieście, a król użył zaufanego partnera w interesach do pokazania władcom przybyłym do Krakowa jego bogactwa.

Wreszcie, każdy wjazd królewski do miasta odbywał się od strony Barbakanu przez Bramę Floriańską. Dlatego nazywano ją Portą Gloria. I ta tradycja składa się na królewskie dziedzictwo miasta.

Wysłuchał (kb)



Michał Niezabitowski – jest historykiem, muzeologiem i muzealnikiem oraz dyrektorem Muzeum Krakowa.

**TEMAT MIESIĄCA:
DZIEDZICTWO****Witold Bereś:****s. 6**

Może warto strawestować sławną frazę Norwida „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej” na „Dziedzictwo to więcej niż przeszłość – to dorobek, ten pozytywny, dużych grup społecznych, narodowych. Owszem, myśl, ale raczej myśli tej odczuwalny efekt: dzieło spisane, obraz namalowany, gmach wzniesiony. Nie dziwota, że w ciężkim czasie, kiedy Polska nie

miała państwowości, poprzez dziedzictwo (choć wówczas nie używano tego terminu w dzisiejszym sensie) budowano polskość. Ale odwołanie się do dziedzictwa, czerpanie z niego, może być w dzisiejszych czasach czymś więcej niż tylko sposobem na budowanie wspólnoty. Może być również nadzieją na odbudowę Polski w czasach trudnych (które nadejdą) po czasach dramatycznych – które trwają.

ESEJ

Kraków królów Michał Niezabitowski **s. 1**
Wawel – historia prawdziwa
 Anna Grochowska **s. 72**

KRAKÓW MÓWI

Trudny czas minie Jacek Majchrowski **s. 5**

LUdzie, Miejsca, Wydarzenia

ROK 2121. Kartki z podróży do Krakowa
 Kajetan Nikodem Kowalski jr/Witold Bereś **s. 9**
Muzea: 2.0 i te ze skrzypiącą podłogą
 Krzysztof Burnetko **s. 13**
Wawel i tajemnice arrasów
 Katarzyna Domagała **s. 20**
O wielkim malarzu i krnąbrnej muzie
 Magda Huzarska-Szumiec **s. 27**
Zachwył Janem Matejką
 Magda Huzarska-Szumiec **s. 31**
Historia średniowiecznego skarbu
 Marta Gruszecka **s. 32**
Notre Dame de Cracovie
 Ks. Dariusz Raś **s. 36**
Wszystkie dźwięki Kazimierza
 Magda Huzarska-Szumiec **s. 38**
PRL: ideologia czy tradycja?
 Krzysztof Jakubowski **s. 44**
Kronika kulturalna **s. 86 i 89**
Krakowski łącznik **s. 90**
Kraków (Główny) **s. 91**
Linia A-B **s. 92**

DZIEDZICTWO 3.0 – MIASTA RAZEM

Białystok Tadeusz Truskolaski **s. 19**
Bydgoszcz Rafał Bruski **s. 26**
Katowice Marcin Krupa **s. 37**
Lublin Krzysztof Żuk **s. 49**
Łódź Hanna Zdanowska **s. 53**
Poznań Jacek Jaśkowiak **s. 56**
Rzeszów Tadeusz Ferenc **s. 58**
Szczecin Piotr Krzystek **s. 63**
Warszawa Rafał Trzaskowski **s. 71**
Wrocław Jacek Sutryk **s. 76**
Gdańsk Aleksandra Dulcikiewicz **s. 92**

REKOMENDACJE

Między numerus clausus a Zagładą
 Krzysztof Jakubowski **s. 55**
Krakowski spleen Wojnarowskiej
 Witold Bereś **s. 57**

PORTRETY

Portrety 2021 (styczeń) **s. 25**

HISTORIA

**Kalendarium krakowskie:
 styczeń–luty 1921 roku** Krzysztof Jakubowski **s. 64**

TEATR

Anna i Jerzy Paweł Głowacki **s. 68**

FILM

Koniec i początek Maria Malatyńska **s. 60**
Fisheye Łukasz Maciejewski **s. 78**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**
Moja krakowska książka miesiąca
 Janusz M. Paluch **s. 88**

GALERIA „KRAKOWA”

Wojciech Kapela Magda Huzarska-Szumiec **s. 50**

FELIETON

OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6**
Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**
NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska **s. 8**
SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 79**
POZA KRAKOWEM Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**
BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**
LUBIĘ LUBIĆ Agnieszka Kosińska **s. 96**

OKŁADKA

Fot. Andrzej Pilichowski-Ragno



Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Trudny czas minie

**Szanowni Obywatele Miasta Krakowa,
Drodzy Czytelnicy miesięcznika „Kraków”**

Za nami wyjątkowo trudny rok. Myślę, że to był najtrudniejszy czas w historii Polski po odzyskaniu przez nią wolności w roku 1989. Ba – kto wie, czy nie był to jeden najtrudniejszych okresów w całej najnowszej historii Europy. A może i świata.

Jego smutnym zwieńczeniem jest to, że odeszło od nas, przegrywając z koronawirusem, wielu naszych bliskich i znajomych. Odeszli za wcześnie, niepotrzebnie.

Władze Krakowa i ja sam, jako prezydent, staraliśmy się zrobić co w naszej mocy, aby osłabić impet pandemii – i dalej tak będziemy czynić. Niestety, nie w rękach miast są decydujące narzędzia do walki z tym fatalnym zrzędzeniem losu.

A jednak, pomimo naturalnych wydawałoby się lęków, widzę wśród mieszkańców tak ważnego dla mnie miasta ogromne pokłady empatii, wzajemnej solidarności i twórczej energii.

Tak, było ciężko. Tak, nie wiemy, jak będzie. Ale jedno jest pewne – krakowianie w swej historii wspólnie dawali sobie radę z poważniejszymi zagrożeniami niż niewidzialny wirus.

Jest takie stare powiedzenie: „Dłużej klasztoru niż przeora”. I każdy wie, co ono znaczy. Że choć przychodzą trudne czasy, to jednak one mijają. Że może być władza, której nie akceptujemy, ale ta władza

prędzej czy później mija. Że jest smutek, ale zawsze jest nadzieja.

Ta nadzieja, to moim skromnym zdaniem, również polskie miasta i polski samorząd.

Cieszę się szalenie, że Prezydenci największych miast Polski zrzeszonych w Unii Metropolii Polskich na łamach tego numeru miesięcznika „Kraków” zapraszają do odwiedzania swoich miast i składają krakowianom życzenia pomyślności. Życzenia te z największą radością odwzajemniam – i równie serdecznie zapraszam wszystkich do Krakowa.

Wierzę bowiem, że w solidarności miast, wzajemnym wspieraniu się i odwiedzaniu – nasza szansa na przełamanie złego czasu.

Tu, w miastach, leżą klucze dobrostanu i klucze do nadziei.

Więc tej nadziei przede wszystkim życzę Państwu w Nowym Roku.

Ale życzę Państwu także, jak to zwykle w tych chwilach się życzy: szczęścia, pomyślności zawodowej, szczęścia rodzinnego.

I oczywiście zdrowia – to w dzisiejszych czasach nie są zdawkowe życzenia.

Dobrego Nowego Roku 2021!

*Prof. Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa*

Miasta razem: Dziedzictwo 3.0

Tekst: Witold Beres

Może warto stawestować sławną frazę Norwida „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej” na „Dziedzictwo to jest dziś, tylko cokolwiek dalej”?

Bo dziedzictwo to więcej niż przeszłość – to najchętniej przecież ten pozytywny dorobek dużych grup społecznych, narodowych. Owszem, myśl, ale raczej myśli tej odczuwalny efekt: dzieło spisane, obraz namalowany, gmach wzniesiony.

Dziedzictwo polskie jest na tyle wyraziste, na tyle różnorodne, że może być inspiracją dla smakoszy, ale i wszystkich tych, którzy chcą myśleć.

Nie dziwota, że w ciężkim czasie, kiedy Polska nie miała państwowości, poprzez dziedzictwo (choć wówczas nie używano tego terminu w dzisiejszym sensie) budowano polskość. To wtedy zaczęła się ogólnopolska kariera mitu Wawelu. Jak pisze w swej nowej książce Anna Grochowska (fragmenty w tym numerze): Wawel stał się „(...) osobną jakością, leży pod Krakowem, stanowi pewne centrum, miejsce mocy, czucia, skontaktowania z samym sobą, odnalezienia tożsamości. To miejsce, które pozwala podjąć decyzję, dookreślić swą świadomość, konfrontuje, zaprasza do przestrzeni czucia i kierowania się sercem. Tu albo stajesz się Polakiem albo idziesz dalej szukać swej tożsamości”.

Dziś oczywiście Wawel nadal ma siłę niezwykłą, ale wszystkie wielkie polskie miasta skutecznie odwołują się do dziedzictwa własnych mieszkańców i to niezależnie od ich proveniencji narodowej. (Na przykład Wrocław przypomina dorobek mieszczaństwa niemieckiego, Łódź – swoje źródła żydowskie).

Ale odwołanie się do dziedzictwa, czerpanie z niego, może być w dzisiejszych czasach czymś więcej niż tylko sposobem na budowanie wspólnoty. Może być również nadzieją na odbudowę Polski w czasach trudnych (które nadejdą) po czasach dramatycznych – które trwają.

*

Tak, w skali makro w Polsce kłopot goni problem, a problem poprzedza tragedię. Dziś siada ludzom psyche, zawala się gospodarka, łamane są prawa, państwo słabnie.

Jest tego wiele. Nie da się naprawić wszystkiego od razu. Ale róbmy, co się da. Albert Camus pisał: „Nie należy słuchać tych moralistów, którzy powiadają, że trzeba paść na kolana i poniechać wszystkiego. Trzeba tylko iść naprzód w ciemnościach, trochę na oślep i próbować czynić dobrze”.

Bo jaki jest dzisiaj jeden z najważniejszych problemów dużych miast w dobie pandemii? Do wyludniania centrów miast sprzed pandemii doszła turystyczna zapaść, zwłaszcza poza kanikułą.

Jeśli więc gdzieś można szukać prostego lekarstwa na to podstawowe, a ważne schorzenie – to w staraniach o zwiększenie wewnątrz krajowego ruchu turystycznego. Wierzmy, że magnesem może być turystyka oparta na dziedzictwie, ale pojmowanym nowoczesnie i, co ważniejsze, związanym

ze współczesnością. Dlatego naszym hasłem jest: historia – nowoczesność – współczesność.

Dziś miesięcznik „Kraków”, w pierwszym numerze nowego roku 2021, chciałby zainicjować ogólnopolską akcję wspierającą Dziedzictwo w miastach zrzeszonych w Unii Metropolii Polskich.

A dlaczego piszemy o Dziedzictwie 3.0? Czy dlatego, że termin „dziedzictwo” traci kurzem, brzmi dziadersko i nie jest seksowny? Nie. Powód jest merytoryczny.

Dziedzictwo podstawowe – to, na przykład, Wawel. Dziedzictwo 2.0 – to nowoczesne technologie, wprowadzone, aby temat uczynić strawniejszym dla młodych – znakomitym przykładem jest Rynek Podziemny Muzeum Krakowa.

Ale Dziedzictwo 3.0 winno sięgać również do naszej historii najnowszej, jasnej, po macoszemu opowiadanej. Owszem, w Gdańsku jest wzruszające Europejskie Centrum Solidarności, ale czy nie za mało to na 38-milionowy naród?

*

Nie miejsce tu na politykę i spór z władzami państwa – choć moja niechęć do sposobu sprawowania rządów rośnie w tempie zawrotnym.

Wszystkim powinno wystarczyć jedno: Polska jest jedna, cierpi cała, a wielkie miasta, pozbawione decydującego dla nich rytuału ruchu, rozwoju, spotkań – cierpią najbardziej.

Dlatego wspólnie z Agencją Wenecja (wielkie podziękowania) zwróciliśmy się do Prezydentów Unii Metropolii Polskich (jedenaście największych miast plus Kraków) z prośbą o podpowiedzenie nam miejsca, które wyrasta z lokalnego dziedzictwa ich miasta, a którym warto się pochwalić. Dziękujemy wszystkim za ciekawe, czasami bardzo osobiste wypowiedzi.

Promujmy się zatem wzajemnie, odwiedzajmy, reklamujmy, sięgajmy po wszystkie sposoby, aby odbudować wielką, ludzką solidarność, choćby poprzez solidarność miast.

Wierzę, że wspólnie nie tylko z sukcesem przetrwamy pandemię, ale i zbudujemy nową wartość na czas po niej.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Nie byłeś, Marcinie, głupi

Tekst: Krzysztof Burnetko

Bodaj każdy jego tekst i publiczne wystąpienie warte było namysłu. A już na pewno bezcenna była każda z nim rozmowa. Łączył to, co najważniejsze: erudycję z mądrością, poczuciem dystansu i humoru oraz krytyczną ironią (także na swój temat).

Napisał tuż przed śmiercią: „Państwo przegrało. Przestańmy słuchać państwa. I tak wszystko się wali. I tylko władza, zajęta sama sobą, o tym nie wie”. I dalej: „Pozostaje nam zachować spokój i czekać na rozwój wypadków. (...) A przede wszystkim pomagajmy sobie nawzajem, gdyż ktoś musi tę funkcję państwa wypełnić. Jest tu olbrzymie pole do popisu. Przede wszystkim pomagajmy chociaż jednemu bliźniemu. Pomagajmy sobie samym. I pamiętajmy, że nadchodzi czas zimowy i dziesiątki tysięcy ludzi nie mają gdzie mieszkać, co jeść i władze państwowe się nimi nie zajmą. Pomagajmy uczyć cudze dzieci, pomagajmy pomagać sobie. Promyk nadziei w pomocy wzajemnej – na tyle musi nas być stać”.

*

Gdy swego czasu pisałem hasło „Marcin Król” do wydawanego przez Ośrodek Karta słownika *Opozycja w PRL*, sam byłem zdumiony zakresem i różnorodnością jego aktywności publicznej – choć przecież znałem już go i wiedziałem o nim sporo. Dość powiedzieć, że zajmował się i knuciem rozumianym dosłownie – jako doktorant Uniwersytetu Warszawskiego uczestniczył w akcjach opozycyjnych końca lat 60. i tak zwanych wydarzeniach marcowych 1968 roku (był między innymi współautorem *Deklaracji ruchu studenckiego*, za co trafił do więzienia), a potem wydawał drugoobiegowy kwartalnik „Res Publika” – jedno z najważniejszych niezależnych pism politycznych PRL. Równocześnie – na tyle, na ile się dało – uprawiał wolną myśl i pracę naukową: czy to w ramach oficjalnych seminariów w PAN, nieoficjalnych wykładów Towarzystwa Kursów Naukowych czy na łamach legalnego i cenzurowanego, ale niezależnego od władz „Tygodnika Powszechnego”. A potem przyszła wolna Polska – był przy Okrągłym Stole i choć w III RP nie przyjął żadnego oficjalnego stanowiska, to wciąż zajmował się sprawami publicznymi – czy to jako komentator czy też propagator nad Wisłą współczesnej światowej filozofii polityki.

*

Cały czas był przy tym silnie związany z Krakowem. W „Tygodniku Powszechnym” nie tylko publikował, ale w 1982 roku został też członkiem zespołu pisma. Wśród gorąco dyskutowanych jego książek byli *Stanczy* – antologia myśli politycznej XIX-wiecznych konserwatystów krakowskich, których koncepcje próbowano odnosić do strategii środowisk niezależnych w Polsce należącej do bloku sowieckiego. Ale przyjeżdżał do Krakowa też towarzysko, choćby z racji przyjaźni z Krzysztofem Kozłowskim. Nasze imieninowe ogniska (bo też byłem solenizantem) w ogrodzie KK przeradzały się wraz z pojawieniem się Marcina w długonocne dyskusje, złożone po części z jego pasjonujących miniwykładów przy pieczonej kiełbasie i whisky.

*

W 2014 roku Marcin dokonał brutalnego – zbyt brutalnego, bo jednak nieuwzględniającego realiów przemowego czasu i ówczesnego stanu świadomości, a tylko najwyższe standardy powinności intelektualistów – publicznego rozrachunku. Stwierdził: „Byliśmy głupi”. Miał na myśli generację twórców III RP – a więc i siebie – która z uniwersalnej triady starych wartości postawiła jedynie na wolność, zapominając o równości i braterstwie. „Zapanowało złudzenie, że każdy człowiek może żyć osobno, w ramach swojej osobistej wolności gdzieś tam pracować, zarabiać możliwie jak najwięcej, używać życia jak najwięcej, a ktoś tam będzie nami rzą-

Marcin Król: „Państwo przegrało. Przestańmy słuchać państwa. I tak wszystko się wali. (...) Pozostaje nam zachować spokój i czekać na rozwój wypadków. (...) A przede wszystkim pomagajmy sobie nawzajem, gdyż ktoś musi tę funkcję państwa wypełnić. Przede wszystkim pomagajmy chociaż jednemu bliźniemu. Pomagajmy sobie samym”.

dził. Można się zająć własnymi przyjemnościami, a nie zwracać sobie głowy sprawami tego świata”. W ten sposób indywidualizm wyparł inne ważne wartości, a zwłaszcza zabił poczucie wspólnoty. Efektem jest inwazja populizmu i klęska prawdziwej, odpowiedzialnej polityki (oraz brak poważnych polityków).

*

Ale nie oszczędzał też obecnych władców Polski. W pisanych aż do końca cyklicznych notatkach na Facebooku (powinna powstać z nich pośmiertna książka) za największą winę ludzi PiS – ba, zbrodnię – uznawał to, że próbuje pozbawić nas godności, klasy, marzeń, pięknych wartości i uczuć, roztropności i zdrowego rozsądku. Nazywał PiS „zabójcami ducha”. I precyzował: „Ich zbrodnia polega na odrzuceniu kultury wyższej i na próbie sprowadzenia nas wszystkich do świata bez ducha, w którym liczy się tylko brutalna siła pogardy i zbydlęcenia”.

*

Marcinie, kto jak kto, ale Ty nie byłeś głupi.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.

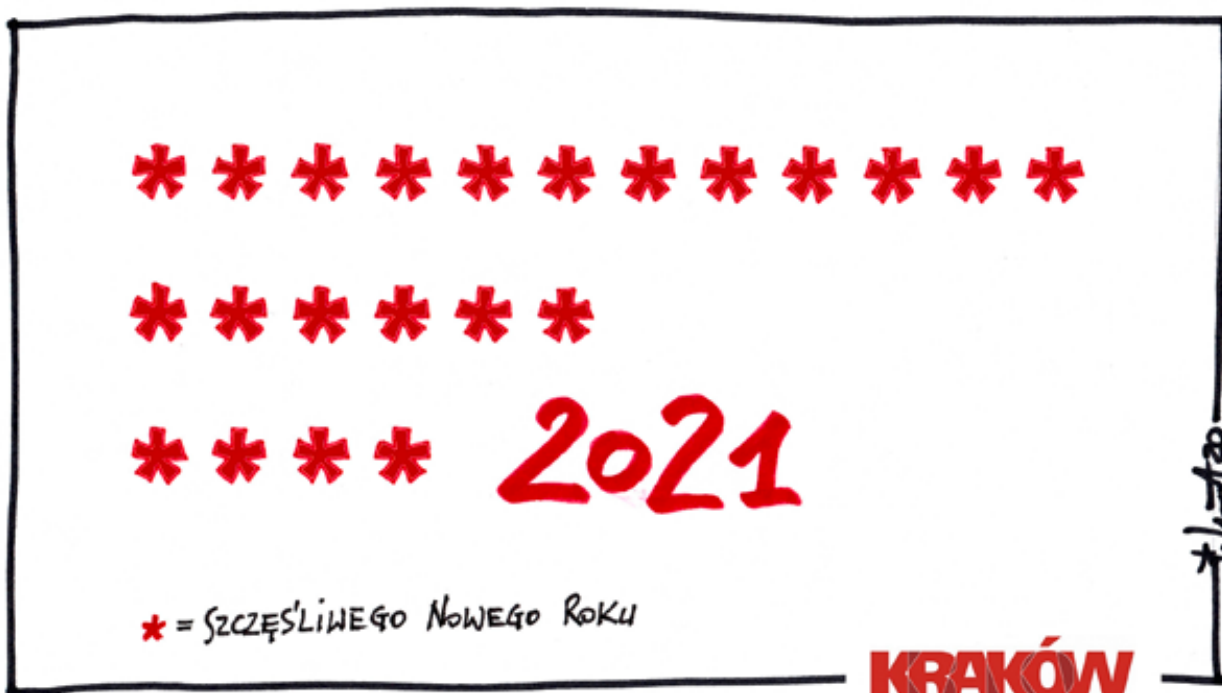
2021

Tekst: Ewa Lipska

Życzę Państwu, aby Nowy Rok nie okazał się starym, z ponurej przeszłości, i aby wschód kojarzył się nam tylko ze słońcem. Wszystkiego dobrego!



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.



Rys. Piotr Brachut

ROK 2121. Kartki z podróży do Krakowa

Tekst: Kajetan Nikodem Kowalsky jr, California Zdjęcie: Sławomir Wielgos/Leo Design
Przeniósł z przyszłości Witold Bereś

W XXII wieku Kraków, a z nim ziemie składające się na Wolną Rzeczpospolitą Krakowską odkryły, że źródłem siły, pieniędzy i nadziei jest dziedzictwo wieku XX – kultura.

Nieformalnym hasłem tej Rzeczypospolitej stało się „Natura – Kultura – Dziedzictwo”.

To, w połączeniu z opracowaną w Krakowie uniwersalną technologią Comarch AI Cloud (sztucznej inteligencji w chmurze) i ochroną środowiska, uczyniło z miasta raj dla młodych z całego świata.

Jedynym problemem turystów jest to, że miasto ogranicza liczbę przyjezdnych, na wizę turystyczną czeka się latami, a i kosztuje ona fortunę (stanowiąc zresztą znaczny wkład do lokalnego budżetu). Ale młodzi robią wszystko, aby tu się dostać. Bo nie tylko mogą tu w dowolnej porze roku zażyć świeżego, zdrowego powietrza dzięki całorocznym ogrodom. Bo nie tylko mają tu szalone zabawy trwające 24/7 w KBF-Zabłocie, dzielnicy rozrywki po drugiej stronie Wisły. Ale dlatego, że tu, w Krakowie, mają bohaterów z całego świata z minionych kilku wieków. Mogą ich osobiście spotkać, mogą posłuchać ich wykładów, mogą – czasami – z nimi porozmawiać. Przyjeżdżają więc adepci amerykańskiej polityki, by porozmawiać z Kościuszką o koncepcjach Waszyngtona i Jeffersona. Miłośnicy malarstwa historycznego podglądają Matejkę podczas pracy. Wizjonerzy proszą o spotkanie ze Stanisławem Lemem. A zakochani radzą się Wisławy Szymborskiej.

Tyle że osobisty kontakt i rozmowa kosztują już sumy bajorńskie.

Chyba że ktoś ma taką szansę jak młody człowiek, który opisał swoją podróż do Rzeczypospolitej w wieku XXII...

Dzień pierwszy

Siadam, a właściwie kładę się w głębokim fotelu Musk taxi-space 3.0. Ekscytacja? Jasne. Czy tylko lotem za granicę Kármána, właściwie w kosmos? Owszem, możliwość spojrzenia z czerni na błękitną planetę jest zawsze poruszająca. Ale dzisiaj jestem podekscytowany czymś, co dla wielu jest trudniej osiągalne niż *last minute* na Księżyc: ja, dwudziestoletni student, za chwilę polecę do kraju, o którym tyle mi w dzieciństwie opowiadała prababcia. Ale co tam marzenia – dziś każde dziecko na świecie wie, że to w Europie Środkowej udało się przełamać ograniczenia świata, które nieomal doprowadziły go do zapaści.

Bo najpierw było przegrzanie konsumpcji końca wieku XX. Potem, na początku XXI stulecia, przyszły trzy kolejne pandemie, które spustoszyły planetę.

Wreszcie potężny kryzys ekonomiczny. To wszystko wymusiło na ludzkości określenie na nowo własnej tożsamości.

W Europie Środkowej najszybciej doszli do wniosku, że opustoszałej i przerażonej planecie trzeba zaferować *slow-lifestyle*: naturę i kulturę.

Więc tutaj, w Rzeczypospolitej Krakowskiej, jednym z republikańskich wolnych państw-miast zrzeszonych w Unii Europejskiej, stworzono raj na ziemi dla tych, którzy są awangardą nowych czasów: kochają sztukę i wierzą w nową technologię. I smakują życie.

Ale smakiem smaków jest możliwość – osiągalna tylko tutaj, krakusy strzegą zazdrośnie technologii – porozmawiania z homogramem bohatera dawnych czasów (jeśli choć przez chwilę był w Krakowie w latach 1750–2050 – przekraczanie tych granic ze względów technologicznych nie jest możliwe). Płacisz i w wyznaczonym czasie oraz miejscu siadasz przy stoliku w Krakowie i masz przez godzinę rozmówcę tylko dla siebie. Ktoś powie, że to zwykły hologram. Nie! Owszem, rozmówca wygląda niemal jak żywy (OK, lekka poświata przechodzi przez niego, a latający talerz, dostarczający mu energii, wisi gdzieś niedaleko), ale przede wszystkim rozmawia swoim tembrem głosu, reagując na wszystkie zadawane przez przybysza pytania zgodnie ze swoim światopoglądem!

Przy czym dysponuje nie tylko pamięcią swej epoki, ale i lat, które nastąpiły po niej. Można więc zapytać na przykład pisarza Jerzego Pilcha, dlaczego klub piłkarski Cracovia w zeszłym roku przegrał w finale Copa del Mundo z Realem Madryt.

No, niewiarygodna sprawa...

Jest więc na przykład Goethe, Balzac i de Gaulle. Jest ostatni król Stanisław August Poniatowski i gen. Tadeusz Kościuszko (ponoć kiedyś niechętno usiedli przy dwóch sąsiadujących stolikach i zamiast odpowiadać na pytania pożarli się między sobą). Kolejki ustawiają się do wielkich Polaków: Wałęsy, Chopina, Curie-Skłodowskiej, Piłsudskiego. I jest, *of course*, John Paul 2nd.

Są i Amerykanie: George Bush senior (raczej by mnie nie zainteresował), ale już Zbigniew Brzezinski – i owszem.

To dziwne, ale długie kolejki z całego świata ustawiają także do wielkich morderców: Fidela Castro oraz Stalina i Dzierżyńskiego.

Najpopularniejsi są jednak wielcy artyści i myśliciele przełomu XX i XXI wieku. Andrzej Wajda, Wisława Szymborska, Stanisław Lem, ksiądz profesor Józef Tischner (szczególnie czczony w Krakowie). Jest pieśniarz Marek Grechuta, dramaturg Sławomir Mrożek, kompozytor Krzysztof Penderecki, pisarze Szczerek i Orbitowski, a nawet genialny rysownik Mleczko. Jest i światowej sławy reżyser Wawrzyniec Śleboda, bo choć jest z połowy wieku XXI, to jednak nawiązuje do twórczości klasyków.

Ale mnie pasjonuje fraza Czesława Miłosza, polskiego pisarza, który przez całe lata mieszkał w Kalifornii. Od razu powiem – wbrew pozorom jest równie trudno osiągalny co Lem i nawet kwota 50 tysięcy euro za spotkanie nie skraca kolejki oczekujących.

Pewnie nie przyjechałbym tu, bo na taką wybieczkę musiałbym przez kilka lat pracować non stop. Na szczęście są punkty dodatkowe. Zainteresowania – European Culture Studies na Harvardzie i znajomość polskiego – to niezła wizytówka. Związki z Polską – wystarczy przeczytać moje nazwisko. Ale najważniejsza była rubryka *other relevant factors*. Otóż moja rodzina stała się właścicielem podupadającego domu przy 978 Grizzly Peak Boulevard, San Francisco. Żeby sobie dorobić, przez całe minione wakacje remontowałem tę ruinę i niespodziewanie znalazłem w piwnicy stary notes. Na pierwszej stronie stało jak byk: „Czesław Miłosz, notatki osobiste”...

Kiedy więc dokonałem rejestracyjnej wpłaty do kas, wpisałem też, co chciałem pokazać Miłoszowi. I, cud, on sam mi odpisał: że zaprasza poza kolejką i sam płaci za mnie.

Wow!

Musk 3.0 – start!

Dzień trzeci

Budzę się w przejrzystym, nasłonecznionym pokoju, na jednym z najwyższych pięter wieży Babel leżącej tuż nad brzegiem Jeziora Dobczyckiego, blisko krakowskiego rynku (dojazd poduszką powietrzną do starożytnego Dworca Centralnego to może dziesięć minut).

Jest przyjemnie cicho. Bezszelestnie sunie najlepszy kelnerorobot z tacą najwspanialszych przysmaków tej części Europy. Uwierzycie, że tu nadal robią wędliny ze zwierzęcego białka? Ba, kosztuje to zawrotne pieniądze – ale Unia pozwala, a Miłosz płaci :)

Muszę nabrać sił, bo wczoraj, szczerze mówiąc, padłem ze zmęczenia.

Najpierw sama podróż. Niby dzisiejszy świat oferuje tysiące udogodnień, a jednak podróż ze Stanów do Europy to nadal wyprawa. Hypoloop z San Francisco do hubu przesiadkowego w Calico na pustyni Mojave, potem podróż space-taxi z Mojave do hubu Krakowice, największego w Europie Centralnej, i potem znowu hypoloop do Krakowa – to wszystko zabiera ponad cztery godziny!

Wiem: nie powiniennem narzekać. W czasach, które dla mnie są tak ważne, ponad sto lat temu, podróż trwała dwadzieścia godzin i niszczyła atmosferę. Po trzeciej pandemii wprowadzono zakaz

ciągłych lotów w stratosferze – można przez nią tylko przelatywać, i to niezbyt często. Skorzystał na tym koncern Muska, który opatentował technologię balistycznego strzału w kosmos, takiego, że taksówka przebija warstwę chmur, przelatuje przez atmosferę, a potem bez silników szybuje w dół, do konkretnego hubu.

Tych hubów na całym świecie jest zaledwie kilkanaście i są restrykcyjnie nadzorowane – wszystko dlatego, aby zapobiegać efektowi cieplarnianemu.

Gdy tu przyjechałem, było już popołudnie, większość oficjalnych atrakcji była nieczynna, więc zacząłem od wizyty na KBF-Zabłocie. Bawiłem się cudnie z przygodnie poznanymi lokalsami i równie przypadkowymi przyjeźdnymi. No i te krakowianki – są nie tylko przepiękne (widać to krzyżujące się drogi urody Orientu i Słowiańszczyzny), ale też, jakby to staroświecko określić? Bezpruderyjne?

Jedna, szczególnie śliczna, Basia dała mi nawet swój prywatny numer...

W każdym razie wróciłem dopiero rano do pokoju. Pewnie byłoby to trudne, gdyby nie ślizgacz-asystent, do kapsuły którego trzeba się wtoczyć, a on bezszelestnie dowozi do bezpiecznego miejsca.

Dzień czwarty

Razem z różnokolorowym, gwarnym i radosnym tłumem miękko i sprawnie wypłynąłem z podziemnej stacji. Pogubiłbym się w sieci ruchomych pasów, ale na szczęście miejscowi są bardzo życzliwi i od razu skierowali mnie na kierunek „Wesoła”.

Tak, ta nazwa to osobny znak, wskazujący na nastrój tych, którzy tu się zjawiają.

Niby jest styczeń, zdecydowanie kiepska pora roku jak na tę część świata, ale sunący tłum właścicielom bez wyjątku jest w lekkich wiosennych marynarkach, kremowych płaszczkach czy zwiewnych sukienkach

Bo dzielnica Wesoła to fenomen na skalę świata – wielki, całoroczny park kultury, sztuki i wypoczynku. Z lotu ptaka widać (a właściwie – nie widać, bo są niemal doskonale transparentne) rozsuwane, gigantyczne, lekkie i estetyczne dachy. To one w połączeniu z ogrzewaniem geotermalnym czerpanym z wnętrza Ziemi pozwalają zachować tu cały czas jasne słońce na błękitnym niebie, przejrzyste powietrze i wiosenną temperaturę. Nic dziwnego, że Ogród Botaniczny, który tu był jeszcze sto lat temu i zajmował dziesięć hektarów, dziś jest całą, pięćdziesięciohektarową przestrzenią „Wesołej”.

A są tu sale amfiteatralne, budynki Akademii Sztuk Pięknych i szkoły aktorskiej, teatry, kina i galerie. Tu, jak łatwo się domyśleć, obowiązuje zakaz wnoszenia popcornu i napojów gazowanych, za to co krok stoi mały, lokalny browar czy jeszcze mniejsza, lokalna destylarnia okowity.

Nic dziwnego, że tutaj lądują i młodzi, i twórcy, i rządni sztuki przyjeźdni. No i większość wielkich homogramów tu właśnie spaceruje, na ocienionych alejkach, wśród fontann i grających kapel muzycznych.

Normalnie poprowadziłby mnie *google advisor* zamontowany w chipie wpiętym na stałe w ucho, ale żeby być zgodnym z tutejszym obyczajem chipa



wyłączyłem i wyciągnąłem papierową książeczkę: najpopularniejszą światową serię przewodników, obecną również w wersji analogowej, drukowanej – KBF Guide. I nie chodzi o to, że organizacja KBF jest najpotężniejsza, ale i najbardziej przyjazna wszelkim formom kultury. I nawet nie o to, że jej przewodniki, powstające w każdej formie, są najbardziej intuicyjne. Ale, jak widzę, w Krakowie szczególnie doceniani są goście, którzy są lekko old-fashioned.

Wszędzie zatem chodzę na piechotę (choć dostępne są darmowe ślizgodeski dla młodych lub elektroniczne riksze dla starszych – prywatny ruch samochodowy został wyrugowany z centrum miasta). Wszędzie ostentacyjnie otwieram i czytam stare, papierowe książki i gazety – bardzo to śmieszne u nas, ale tu niemal nikt chyba nie chodzi z głową charakterystycznie uniesioną, by czytać wiadomości w chmurze przed sobą, co u nas jest powszechnym obrazkiem na ulicach.

Czy muszę dodawać, że tak popularne e-czytniki zawieszane w chmurze są uważane za prostackie? Bo chodzi o to, żeby nie izolować się od kontaktu ze społecznością...

Tak, nareszcie świat walczy nie tyle o zdrowie planety, ile po prostu – o swoje. Nie *Save the Planet*, ale *Save Ourselves* – bo walka o planetę jest walką o człowieka.

W Wolnej Rzeczypospolitej Krakowskiej ochrona środowiska posunięta jest do lekkiej szajby. Zakazane jest wwożenie opakowań innych niż biodegradowalne, zalecane jest korzystanie tylko z druków powstających na papierze ekologicznym, segregowanie śmieci posunięte jest do XIX-wiecznych obrazów ręcznego płukania złota, a zapalenie papierosa to grzywna za zanieczyszczenie powietrza. Pewnie rzucenie niedopałka to co najmniej czterysta batów :).

Dzień szósty

Ten czas to esencja turystyki *slow-lifestyle*: muzea, galerie, koncerty.

Krakusi dumni są ze swoich firm, które podbiły świat. Wszędzie logo KBF – to mnie nie dziwi, bo w zeszłym roku zauważyłem na drzwiach MoMy w Nowym Jorku: „KBF – Because We Love”. Tu, dodatkowo, wszędzie widać „Comarch – na nas możesz polegać”.

Jest Planeta Lem – wielkie przedsięwzięcia opowiadające o artystycznych wizjach przyszłości. Jest redakcja „Tygodnika Powszechnego” przy Wiślniej 12 (wykupiona z rąk Kościoła katolickiego, który osądzony za szereg bezczeństw osiemdziesiąt lat temu musiał płacić potężne grzywny).

Słuchałem wykładu księdza profesora Tischnera – musiałem jednak włączyć chipa z tłumaczem, bo mówił jakąś dziwną gwarą polską, ale bardzo mądrze i bardzo dowcipnie. Kupiłem też rodzicom na pamiątkę odręczny (wiem, że to niewiarygodne, ale słowo honoru!) rysunek Mleczki, który go jeszcze podpisał. Zobaczyłem spektakl prowadzony w plenerze przez Krzysztofa Jasińskiego. I największe wrażenie: Muzeum Wajdy i możliwość przyglądnięcia się, jak pracuje Mistrz na planie filmowym.

Na Wawelu przyjrzałem się ścięciu magnata Zborowskiego na rozkaz króla Stefana Batorego – krwiste niczym najprawdziwsze doku-filmy *made in Hollywood*...

Na deser, wieczorem Piwnica pod Baranami ze sławną Ewą Demarczyk i Piotrem Skrzyneckim.

Ale najfajniejsze to, że cały czas była ze mną Basia.

Już jutro spotkanie z Miłozsem! I znowu z Basią.

Dzień siódmy

Spotkanie z Miłozsem ma być w najbardziej szpanerskiej instytucji kultury, jaką sobie można wyobrazić – krakowskim Kłastrze Kultury w Pałacu Potockich przy Rynku. Stałem w kolejce wcześniej rano, ale czas mijał, a mnie nikt nie wywoływał. Wreszcie miła pani z tajemniczym uśmiechem powiedziała, że niestety spotkanie z Miłozsem się nie odbędzie. I w tym momencie Basia połączyła się moim chipem.

– Kochanie, pewnie ci smutno, że nie ma pana Czesława Miłozza? To zapraszam do Sukiennic, gdzie siedzę – może to cię pocieszy...

Tak, było mi smutno, ale nie zdążyłem nawet pomyśleć, skąd Basia wie o wpadce z Miłozsem, i już jak na skrzydłach biegłem do „Noworolskiego”. Z daleka widzę moją (kurczę, czy mogę tak napisać?) dziewczynę, a obok...

Nie, niewiarygodne – Czesław Miłozz, a pod rękę trzyma go... Wisława Szymborska. Oboje się do mnie z daleka uśmiechają (choć ten stary lubieżny dziad, jak sam pisał o sobie, jednocześnie wgapia się w dekolt mojej Basi, wrrr).

Pani Szymborska patrząc i na niego, i na mój mars na twarzy, mówi żartobliwie: – Ktoś powiedział, że ludzie głupieją hurtowo i mądrzeją detalicznie. Dlatego kochamy i popieramy przypadki detaliczne.

A pan Czesław dodaje nostalgicznie:

– Racja, żadnej miłości nie trzeba przeciągać poza jej kres.

Ta kawa przeciągnie się dłużej niż zaplanowana godzina...

*

To spotkanie i ta rozmowa zostaną ze mną do końca życia. Jak dobrze, że jest miejsce we wszechświecie, które pielęgnuje dziedzictwo swojej wielkiej kultury.

A w najbliższe wakacje znowu lecę do Krakowa.

Ale może Basia przyleci wcześniej do Kalifornii?



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Muzea: 2.0 i te ze skrzypiącą podłogą

Tekst: Krzysztof Burnetko Zdjęcia: z archiwum i za zgodą Muzeum Krakowa

Jak opowiadać o historii oraz pokazywać zabytki, by było to i zrozumiałe, i atrakcyjne dla współczesnego odbiorcy? Czy, na przykład, używanie do tego nowoczesnych technologii – co stało się już rodzajem mody – zawsze się sprawdza?

Jest w Krakowie ekspozycja mogąca śmiało uchodzić za symbol muzealnictwa XXI wieku na europejskim, jeśli nie światowym, poziomie. To otwarty dziesięć lat temu szlak turystyczny *Śladem europejskiej tożsamości Krakowa*. Wytyczony został, co już jest fenomenem, pod płytą Rynku Głównego. Obejmuje powierzchnię blisko 4000 m². I choć ma formułę – by użyć słów jego twórców – „archeologicznego rezerwatu” i dotyczy średniowiecznego okresu dziejów miasta, to w brawurowy sposób wykorzystuje możliwości multimediiów i innych najnowszych zdobyczy techniki cyfrowej.

By było jeszcze ciekawiej, źródłem tej interaktywnej wystawy były badania archeologiczne prowadzone od 2005 roku we wschodniej części Rynku, dzięki którym odkryto wiele nowych śladów długiej historii tego miejsca. To one stały się punktem wyjścia do opowieści nie tylko o samym Krakowie i jego dziejach, ale też o związkach miasta z innymi centrami polityki, handlu i kultury średniowiecznej Europy.

Już zachowane w nienaruszonym stanie profile ziemne, tak zwane świadki archeologiczne, pokazują skalę podnoszenia się powierzchni Rynku w ciągu wieków – co świadczy o stałym rozwoju miasta. Również to, że trasa Rynek Podziemny wytyczona jest pomiędzy kamiennymi i ceglanyymi murami piwnic dawnych miejsc związanych z handlem – Kramów Bolesławowych i Bogatych, Wagi Wielkiej oraz Sukienni – dowodzi roli gospodarczej Krakowa. Zaczne tradycje handlowe miasta potwierdzają nadto wybite przed wiekami monety oraz pochodzące ze Wschodu paciorki i medaliony. A rzemieślnicze narzędzia, ale też przybory higieniczne sprzed ponad sześćuset lat czy używane wówczas kości do gry obrazują jego pozycję cywilizacyjną. Podobnie jak oryginalne fundamenty chat z przełomu XII i XIII wieku oraz zachowane fragmenty brukowanych ciągów komunikacyjnych (pozwalają sobie nadto wyobrazić ówczesne technologie budowania dróg). Przedstawieniu historii życia codziennego służą także rekonstrukcje XI-wiecznych pochówków oraz warsztatów złotnika i kowala (także z jeszcze przedlokacyjnych z czasów). Bo groty tatarskich strzał to już symbol losów politycznych miasta – a to chluby, a to właśnie tragicznych.

Na sukces – mierzony zarówno pochlebnyymi ocenami speców od muzealnictwa, jak frekwencją

(mierzoną naturalnie w przedpandemicznym jeszcze czasie) – Rynku Podziemnego składa się jednak, prócz klasycznych, by tak rzec, ekspozycji także pomysł na opowiedzenie dziejów miasta za pomocą nowoczesnej techniki. Poczynając od prostych chwytów w rodzaju odtwarzania zwiedzającym na zasadzie muzaka odgłosów transakcji handlowych i panującego na Rynku gwaru, by poczuli atmosferę zwykłego targowego dnia, po liczne maikiety, komputerowe hologramy i prezentacje oraz

Michał Niezabitowski: Muzeum jest nie po to, aby gromadzić zbiory, lecz by wokół zbiorów gromadzić publiczność.

projekcje filmów dokumentalnych w specjalnie zaaranżowanych piwnicznych zaułkach.

Dzieje różnie pokazane

Najciekawsze, że Muzeum Krakowa, które zawiaduje trasą Rynek Podziemny, ma pod swoją pieczęć jeszcze 18 innych ekspozycji – i bynajmniej nie są one stworzone wedle tego samego klucza. Ba, niektóre z nich to muzea w najbardziej klasycznym sensie tego słowa.

Michał Niezabitowski, szefujący dziś tej liczącej już 120 lat instytucji, tłumaczy, że kluczowa jest odpowiedź na pytanie, czym ma być muzeum? Czy najważniejsze jest gromadzenie i ochrona cennych zabytków przeszłości czy też prezentowanie ich publiczności?

Podkreśla, że pierwsze muzea wcale nie powstały w XVIII wieku, kiedy to wykształcił się – a potem na długo stał standardem – kolekcjonerski ich model, wedle którego najważniejsze było zbieranie istotnych dla historii czy sztuki przedmiotów i dbanie, by nie uległy zniszczeniu. U źródeł bowiem instytucji muzeum leży działalność Arystotelesa, który po pobycie na wyspie Lesbos przywiózł do Aten rozmaite ciekawe okazy głównie przyrodnicze i geologiczne, ale może historyczne i dzieła sztuki. A kiedy założył szkołę filozoficzną, to przewidział w niej także *museion* – dom muz, czyli miejsce do spotkań, wymiany myśli i biesiad. Ale że we-





Trasa Rynek Podziemny



Fabryka Emalia Oskara Schindlera

dle Arystotelesa myśl winna opierać na konkretności, więc wystawił tam przywiezione z Lesbos ekspozycje i to wokół nich toczono były niektóre dyskusje. – Tu dla mnie jako muzealnika pojawia się odpowiedź na pytanie o sens muzeum: jest ono nie po to, aby gromadzić zbiory, ale by wokół zbiorów gromadzić publiczność. A przez to budować wspólnotę – mówi dr Niezabitowski.

W tym też duchu określa cel kierowanej przez siebie instytucji: Muzeum Krakowa ma przede wszystkim uświadamiać ludziom, że Kraków jest dobrem wspólnym, a także integrować wokół niego mieszkańców miasta i jego gości.

Szczęśliwie w mieście z taką tradycją narzędzi do tego jest wiele. Dość wyliczyć, nawet i fragmentarycznie, zakres tematyczny i czasowy oferty wszystkich dziesięciu oddziałów Muzeum Krakowa.

I tak, jest w niej trasa Rynek Podziemny, Barbakan czy fragment murów obronnych przy Bramie Floriańskiej. To prezentacja Krakowa średniowiecznego – zarówno jako centrum politycznego czy handlowego, jak ośrodka naukowego, religijnego i kulturalnego, a w końcu militarnego.

Są oczywiście czasy późniejsze i to również przedstawiane nader wszechstronnie. Bo i z perspektywy mieszczan, i lokalnych artystów (choćby dziejów teatru krakowskiego czy bohemy młodopolskiej), a wreszcie, co oczywiste, kultury, pozycji i losów miejscowych Żydów. Jest naturalnie okres okupacji nazistowskiej – przypomina między innymi wystawami w katowni gestapo na Pomorskiej, Aptece pod Orłem i Fabryce Schindlera. Są wreszcie czasy powojenne – na przykład fenomen Nowej Huty.

Co istotne, każda z tych ekspozycji ma własny klimat. Więcej, buduje go na swój sposób i innymi środkami.

W Ryńku Podziemnym służy temu chociażby bochen, czyli unikatowa w skali bodaj światowej bryła cennego w średniowieczu ołowiu o wadze 693 kilogramów – oraz rozliczne multimedia. W Kamienicy Hipolitów – zrekonstruowane wnętrza domów mieszczańskich z XVII–XIX wieku oraz przedmioty używane na co dzień przez ich mieszkańców. W Starej Synagodze – przedmioty żydowskiej sztuki obrzędowej, a więc chanukowe świeczniki i lampki oliwne, porcelanowe i srebrne talerze sederowe, torebki na macę, elementy tradycyjnego męskiego i kobiecego stroju, amulety towarzyszące narodzinom dziecka, nóż obrzezywacza, a także fotografie i detaliczne opisy przebiegu, symboliki i istoty obrzędów oraz obyczajów judaizmu.

W Aptece pod Orłem – między innymi wstrząsające relacje ocalałych z krakowskiego getta. A w katowni gestapo na ulicy Pomorskiej – wydrapano w ścianie przez spodziewających się najgorszego więźniów ostatnie często słowa przed śmiercią. Zaś na wystawie *Podziemna Nowa Huta* – wybudowane podczas zimnej wojny schrony przeciwatomowe i ich wyposażenie.

Duch miejsca i potrzeby czasu

Dyrektor Niezabitowski właśnie w różnorodności narzędzi przekazu widzi siłę Muzeum Krakowa. By wyjaśnić swoją muzealniczą koncepcję, zderza z sobą dwa miejsca: Rydlówkę i Podziemny Rynek.

O tej pierwszej mówi: – W Rydlówce, małej, kameralnej, niemal czuje się oddech Wyspiańskiego.



Rydlówka

Muzeum Krakowa należy do typu muzeów miejskich. Inicjatywa utworzenia muzeum gromadzącego miejskie pamiątki pojawiła się w latach 60. XIX wieku. Pierwsze zbiory gromadzono w ramach Archiwum Aktów Dawnych Miasta – była to kolekcja ikonografii Krakowa, portrety zasłużonych obywateli miasta, ryciny, przedmioty zabytkowe i dokumenty związane z działalnością cechów, tłoki pieczętno, numizmaty i medale, okazy broni. 31 maja 1899 roku rada miasta powołała już formalnie Muzeum Historyczne Miasta Krakowa. Z czasem kolekcję udostępniono publiczności. W 1937 roku Muzeum zaczęło też organizować doroczne konkursy na najpiękniejsze szopki krakowskie (nie odbyły się one tylko w okresie okupacji hitlerowskiej).

Prócz inicjowania kolejnych wystaw (zarówno stałych, jak czasowych) i wzbogacania zbiorów (między innymi o kolekcje krakowskich teatraliów, zegarów, judaików) Muzeum zajmowało się także prowadzeniem prac remontowych i konserwatorskich (między innymi wieży ratuszowej oraz dawnych warowni floriańskich z Basztą Pasamoników, Bramą Floriańską i łączącym je gankiem straży na murach obronnych). W ten sposób poszerzało się sieć swoich oddziałów. Dziś jest ich aż 19. Od marca 2019 roku Muzeum Historyczne Miasta Krakowa zaczęło używać nazwy Muzeum Krakowa – zgodnie z zasadą: „Szanujemy historię, z której wyrosliśmy, i która jest naszą nauczycielką, ale jesteśmy muzeum żywego miasta, a nie jego przeszłości”.

Przecież tam jest ta sama podłoga, na której on stał i te same drzwi i framugi, o które się opierał. Duch Wyspiańskiego jest tam wyrazisty, tak mocno obecny, że nie potrzeba żadnych komputerów, by wyjaśnić istotę tego miejsca. Profesor Stanisław Waltoś mawia, że to jest muzeum urokliwe, bo ono na człowieka rzuca urok. I to wokół tego uroku ludzie się integrują. Przecież Wyspiański budował wokół siebie wspólnotę, mówiąc obrazoburczo: jesteście oszustami, na wspólnocie wam nie zależy; mówicie, że Polska jest ważną sprawą, ale jakby faktycznie była dla was ważną sprawą, to byłibyście żywym narodem, a nie słomianym i martwym chochołem.

Użycie zaś najnowszych technologii w ekspozycji Rynek Podziemny tłumaczy zaś tak: – Mamy tam skarby, tyle że dla laika trudne do odczytania. Chociażby profile ziemne i warstwy budowli, których znacze-

nie potrafi wyjaśnić tylko specjalista archeolog. Albo mocno zardzewiałe przedmioty, które już nie do końca przypominają to, czym były, bo czas na nich odcisnął swoje piętno. W takich przypadkach technologia cyfrowa, która pozwala na rekonstrukcję, wizualizację, zbliżenie i dotarcie do detalu okazuje się bezcenna. To dzięki niej każdy, nawet zupełny amator, może – jak mówią w swoim slangu fachowcy – rozczytać sobie te ślady, choć pochodzą one z tak odległej przeszłości.

Jeszcze inny klucz Muzeum Historyczne przyjęło na wystawie *Kraków – czas okupacji 1939–45* w Fabryce Emalia Oskara Schindlera. Jej twórcy postanowili przedstawić realia okupacyjne, odwołując się do uczuć i emocji. Użyli multimedialnych oraz teatralizacji muzealnej przestrzeni, by uświadomić i przybliżyć widzom groźbę wojny (bo oczywiście do końca oddać dziś jej nie sposób). W efekcie ten oddział Muzeum przedstawia-

Michał Niezabitowski jest historykiem, muzeologiem i muzealnikiem, managerem kultury i znawcą Krakowa.

Urodził się w Krakowie w 1962 roku, ukończył Instytut Historii UJ oraz studia podyplomowe z dziedziny Muzealnictwo w Instytucie Etnologii UJ. W 1985 roku rozpoczął pracę w Muzeum Historycznym Miasta Krakowa. W 2004 roku został jego dyrektorem (obecnie placówka nosi nazwę Muzeum Krakowa). Jest członkiem Rady Naukowej rocznika „Muzealnictwo” wydawanego przez Narodowy Instytut Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów. Należy do współzałożycieli Stowarzyszenia Muzealników Polskich, a od 2012 roku jest jego prezesem. Uczestniczy w pracach rad naukowych wielu polskich muzeów, między innymi Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha, Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, Muzeum Warszawy, Muzeum Gdańska, Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz Zamku Królewskiego na Wawelu.

Od wielu lat jest związany z Uniwersytetem Pedagogicznym w Krakowie jako wykładowca, od 2019 roku jest pracownikiem badawczym i nauczycielem akademickim w Instytucie Historii i Archiwistyki.

Należy do Towarzystwa Miłośników Historii i Zabytków Krakowa, a od 2013 roku jest członkiem prezydium Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa.

W 2019 roku został wybrany do Zarządu CAMOC (The International Committee for the Collections and Activities of Museums of Cities) – prestiżowej organizacji zrzeszającej muzea miejskie z całego świata, która wchodzi w skład Międzynarodowej Rady Muzeów ICOM.



Zdjęcie: Jerzy Łobaza/ z archiwum i za zgodą Muzeum Krakowa

Jest autorem prac naukowych poświęconych historii Krakowa i muzealnictwu – w tym analiz dotyczących wystawiennictwa historycznego i budowania narracji w przestrzeni ekspozycji oraz roli muzeów w budowaniu pamięci zbiorowej.

ny jest przez niektórych ekspertów jako kolejny dowód, że Kraków jest miastem nowoczesnych muzeów.

Filozofia muzeum

Obecna koncepcja Muzeum Krakowa oparta jest na założeniu, że nie ma być ono ani budynkiem, w którym pokazywane są choćby i najcenniejsze eksponaty, ani też miejscem służącym ich ochronie przed upływem czasu bądź zniszczeniem. Najważniejszy jest odbiorca i przekaz, który ma do niego dotrzeć. To pod tym kątem dobierane są narzędzia i formy – w tym ewentualnie najnowsze zdobycze technologiczne.

Dr Niezabitowski wyjaśnia: – Istotą najnowocześniejszego nawet muzeum nie są przecież używane w nim multimedia, lecz wciąż przekaz kierowany do publiczności. Dlatego choć szlak Rynek Podziemny zasadnie można chwalić za trafne wykorzystanie technologii do atrakcyjnego pokazania przeszłości, to najważniejsze jest, że dzięki nim ludzie dowiadują się, na czym polegała europejska tożsamość Krakowa i mogą się z nią zidentyfikować. Podobnie Rydlówka jest opowieścią o Krakowie jako o Polsce, która jest dobrem wspólnym wyrażającym się przez Wesele Wyspiańskiego. A ekspozycja w Starej Synagodze dowodem, jaką wartością jest wielokulturowość. I świadectwem, że pomimo różnic, czasem sporych i głębokich, bo religijnych, ludzie mogli obok siebie, bo w jednym mieście, żyć.

Przeszłość bowiem powinna służyć przyszłości.

– Muzealnik – wbrew częstemu pogładowi – nie może być zamkniętym w zakurzonej gabinecie kustoszem w zaręczawkach, który ma na dodatek komfort niezajmowania się życiem współczesnym, bo interesuje go tylko odróżnianie puncy od draśnięcia na kufle srebrnym oraz akwaforty od akwatinty – przekonuje obrazowo dyr. Niezabitowski.

I cytuje Juvala Noaha Hararięgo, profesora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, który zauważył, że uwikłanie w historię utrudnia nam funkcjonowanie w teraźniejszości i otwieranie się na przyszłość. Dlatego zadaniem historyków jest uwalnianie człowieka od przeszłości po to, by potrafił on żyć w teraźniejszości. Sposobem na to mogą być muzea tłumaczące dawne wartości na czas współczesny, będące miejscem dialogu i interpretowania przeszłości na użytek teraźniejszości. A przez to budujące wspólnotę.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Białystok

Tekst: Tadeusz Truskolaski **Zdjęcie:** Maciej Nowakowski/Fundacja Zapomniane Podlasie/za wiedzą i zgodą Urzędu Miasta Białegostoku.

Białystok to miasto w otulinie czterech parków narodowych.

Największe miasto północno-wschodniej Polski i stolica województwa podlaskiego liczy około 290 tys. mieszkańców, a wraz z gminami ościennymi, jako aglomeracja białostocka, ponad 400 tys. Miasto pełni funkcję administracyjnego, gospodarczego, naukowego i kulturalnego centrum regionu. Kiedyś kojarzony z prowincją, ale od co najmniej kilku ostatnich lat postrzegany jest jako miasto nowoczesne, przyjazne dla mieszkańców – rodzin, uczniów i studentów, inwestorów, turystów. Miasto uzyskujące wysokie pozycje w rozlicznych konkursach i rankingach.

Lokalizacja Białegostoku w czystym ekologicznie regionie sprawia, że zyskuje on na tle innych dużych metropolii. Miłośnicy natury z pewnością znajdą tu miejsce dla siebie. Miasto położone w otulinie czterech parków narodowych jest idealnym miejscem wypadowym na bliższe i dalsze wycieczki. Jednakże, aby pospacerować wśród zwartych korytarzy zieleni, nie trzeba opuszczać granic miasta. Wystarczy udać się do jednego z dwóch białostockich rezerwatów przyrody. Ciszę i spokój gwarantują również liczne parki, place, skwery.

Zielony, bezpieczny, nowoczesny i bliski – tak w skrócie można określić stolicę Podlasia. Burzliwa historia tego miejsca, tygiel kultur, które od zawsze się tu stykały i ścierały, zbudowały niezwykle różnorodny, ciekawy, fascynujący oraz wielokulturowy zakątek w Europie.

*

Wydaje się, że Białystok z Krakowem ma wiele wspólnego – przede wszystkim wyróżnia nas dziedzictwo żydowskie, które w obowiązku mamy chronić i pielęgnować. Właśnie za to uwielbiam kra-

kowski Kazimierz. Atmosfera i klimat tego miejsca sprawiają, że czuję się tam jak w domu.

*

Mając na uwadze niepewną i ciężką dla wszystkich sytuację spowodowaną epidemią koronawirusa, wszystkim sympatykom miesięcznika „Kra-ków” życzę przede wszystkim zdrowia, obyśmy już wkrótce bez przeszkód mogli się spotkać na turystycznych szlakach.



Zdjęcie: © Wikimedia Commons

Tadeusz Truskolaski (ur. w 1958 roku w Kopicach Starych) – doktor nauk ekonomicznych i polityk, od 2006 roku prezydent Białegostoku.

Wawel i tajemnice arrasów

Tekst: Katarzyna Domagała Zdjęcia: z archiwum i za zgodą dyrekcji Zamku na Wawelu

Zygmunt II August uległ urokowi arrasów, gdy tylko je zobaczył. Nowatorsko tkane obrazy miały zdobić komnaty, dodawać blasku jego władzy i spokojnie spoczywać na Wawelu. Ale los chciał inaczej. Przeżyły zabory, wywózkę do Rosji i ucieczkę do Kanady przed III Rzeszą. Dziś są mocnym symbolem dziedzictwa narodowego.



Sala Senatorska – współczesna ekspozycja arrasów, fot. Anna Stankiewicz

Zygmunt August, ostatni z dynastii Jagiellonów, królem został jeszcze jako dziecko. Było to w 1530 roku. Do wcześniejszej koronacji doprowadziła jego matka, królowa Bona, żona Zygmunta Starego, w obawie przed tym, że ktoś ubiegnie jej syna. To właśnie jej przypisuje się wychowanie młodego króla w atmosferze fascynacji sztuką. Wpoła Zygmuntowi Augustowi zamiłowanie do nietypowych dzieł artystycznych, które sama uwielbiała sprowadzać na Wawel.

W ten sposób król już za młodu kolekcjonował przeróżne dzieła sztuki i przedmioty luksusu, które miały dodawać blasku jego

władzy. Szczególną słabość miał do klejnotów, ozdobnej broni i wyszukanych tkanin.

W końcu oczarowały go arraszy – tkane zdobnymi niemi wielkoformatowe obrazy, o których mówiło się też „ruchome freski Północy”, tapiserie, gobeliny. Nie wiadomo, gdzie król zobaczył je pierwszy raz, ale na pewno zdobiły one kilka dworów królewskich w Europie – chociażby w Hiszpanii. Były wyjątkowo nowatorską i drogą dekoracją. Zygmunt August zapragnął sprowadzić je na Wawel.

Około 170 projektów tapiserii o różnych tematach, kształtach i rozmiarach król za-

mówił u wybitnych niderlandzkich malarzy prawdopodobnie jeszcze przed rokiem 1550. Przez 10 lat arraszy przybywały do Krakowa partiami z Brukseli, która była wtedy głównym ośrodkiem tkactwa tapisersyjnego w Europie.

- Zygmunt II August zamówił arraszy przede wszystkim, by dekorowały komnaty królewskie i uświetniały najważniejsze wydarzenia o charakterze państwowym i rodzinnym, ale pragnął również, by unaocznily wspaniałość jego władzy - tłumaczy Andrzej Betlej, historyk sztuki i dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu.

Ogromną ciekawość historyków budzi kwestia kwoty, jaką król przeznaczył na zakup okazałej kolekcji dekoracyjnej. Sto tysięcy złotych, 72 tysiące dukatów, kilka milionów, milion dwakroć sto tysięcy czerwonymi złotymi? Takie propozycje padają, jednak prawdziwa kwota do dziś pozostaje tajemnicą.

Około 1552 roku arraszy trafiają na Wawel. Dzięki informacjom Stanisława Orzechowskiego z penegiryku weselnego na cześć królewskiej pary wiemy, że pierwszym wydarzeniem, któremu towarzyszyły, były zaślubiny Zygmunta II Augusta z Katarzyną Habsburżanką w lipcu 1553 roku. W komnatach wawelskich zawisły wtedy arraszy *Dzieje pierwszych rodziców* i *Dzieje Noego*.

Sceny i monogramy

Z roku na rok tapiserii przybywało. Przez 10 lat kolekcja powiększyła się do około 160 sztuk. Różniły je nie tylko kształty (najwięcej było prostokątnych, choć zdarzały się też kwadratowe i owalne), ale i rozmiary. Niektóre arraszy mierzyły nawet do 8 metrów długości, jak na przykład *Szczęśliwość rajska* czy *Budowa arki*, inne zaś zazwyczaj służyły jako uzupełnienie tych największych - jak pokrycia krzeseł o wymiarach 50 x 50 centymetrów.

Jednak znacznie ciekawsza niż kwestie techniczne jest tematyka arrasów. Całą kolekcję tworzą trzy serie.

Najbardziej okazały pod względem rozmiarów - ale niekoniecznie najbardziej lubiane przez turystów - jest cykl biblijny, czyli 19 arrasów przedstawiających sceny z Księgi Rodzaju Starego Testamentu. Ich projekty stworzył Michael Coxcie, wybitny i uznany w tamtych czasach malarz, nie bez powodu nazywany flamandzkim Rafaellem.

Najwięcej arrasów znajdziemy w serii krajobrazowo-zwierzęcej, nazywanej też werdiurami. To 44 unikatowe gobeliny o przeróżnych wymiarach i kształtach. Snują wciągające opowieści o życiu fauny i flory i to one wzbudzają w turystach największy zachwyt.

- Patrząc na obfite w wielość barw i szczegółów werdiury, czujemy się niemal jak w innej czasoprzestrzeni, bo rzeczywiście wszystkie arraszy przenoszą nas w świat odległy od codzienności. Właśnie w takich mo-

mentach ujawnia się ich największy fenomen - tłumaczy Andrzej Betlej.

W końcu mamy serię herbów i monogramów - od reszty kolekcji wyraźnie odstającą rozmiarowo. A w niej herby państwowe Polski i Litwy w różnych konfiguracjach. Na ośmiu z nich, pomiędzy herbami obu państw, jest bogini zwycięstwa Wiktorii, zaś na czterech bogini obfitości Cerera. Jest tam też osiem tapiserii z monogramem Zygmunta Augusta i niewielkie tkaniny zwane oponkami.

Wszystkie arraszy króla łączy precyzyjny i kosztowny kunszt wykonania. Tapiserie zamówione w Brukseli były tkane niciami wełnianymi, jedwabnymi, srebrnymi oraz dużą ilością nici srebrnych i złotych,



Walka smoka z panterą, Zamek Królewski na Wawelu, inw38, fot. Pracownia Inwentaryzacji i Digitalizacji Zabytków UJPJ2, fot. T. Śliwiński

co było oznaką zamówienia najwyższej klasy. Na przykład te ostatnie wykorzystywano tylko w przypadku najdroższych dzieł dekoracyjnych.

Bez Zygmunta Augusta

Arraszy przeżyły z Zygmuntem Augustem prawie 20 lat. Towarzyszyły najważniejszym wydarzeniom na dworze królewskim, stały się wiernymi przyjaciółmi Wawelu.

7 lipca 1572 roku Zygmunt II August umarł, nie zostawiając potomstwa. W testamencie zapisał spuściznę Rzeczypospolitej, co u rodziny oraz doradców władcy budzi zdziwienie i sprzeciw. Większość tapiserii trafiła w ręce trzech siostr króla: Zofii - księżnej brunszwickiej, Katarzyny - królowej szwedzkiej, i Anny - przyszłej królowej Polski. Po ich śmierci miały się stać własnością kraju.



Arras z herbami Polski i Litwy oraz postacią Wiktorii, Zamek Królewski na Wawelu, inw82, fot. Pracownia Inwentaryzacji i Digitalizacji Zabytków UPJP2, fot. T. Śliwiński

Zdrada Jana Kazimierza

Tajemniczym okresem dla arrasów był potop szwedzki, czyli lata 1655–1657. Prawie cała kolekcja została wywieziona – prawdopodobnie asekuracyjnie przed rabunkiem Szwedów – w nieznanne miejsce. Zdecydował o tym ówczesny władca kraju Jan Kazimierz. Nie szanował on woli Zygmunta II Augusta i traktował arrasę jak swoją własność. Niedługo przed abdykacją wziął nawet pożyczkę pod zastaw tapiserii, nazywanych w tamtym czasie oponami potopowymi – co najlepiej pokazuje jego stosunek do kolekcji. W 1670 roku ukryte arrasę, jakimś cudem, wypożyczono z tajemnej kryjówki, by ozdobiły kościół oo. Paulinów na Jasnej Górze na ślub Michała Korybuta Wiśniowieckiego z Eleonorą Habsburżanką.

W 1673 roku na mocy *Deklaracji o Potopie* – już za czasów panowania Michała Korybuta Wiśniowieckiego – postanowiono, że prawo do posiadania arrasów może rościć sobie jedynie Rzeczpospolita. Fizycznie znalazły się w kraju w 1724 roku, gdy władał nim August II Mocny. *Złożono* je wtedy w klasztorze oo. Karmelitów Bosych w Warszawie.

W tamtym okresie towarzyszą głównie obrządkom religijnym. Do uroczystości o randze państwowej wrócić dopiero przy okazji koronacji ostatniego króla Polski Stanisława Augusta Poniatowskiego w 1764 roku.

Co ciekawe, kilka dni po tym wydarzeniu w klasztorze Karmelitów wybuchł pożar, ale arrasów tam nie było. Miesiąc przed koronacją króla zostały wywiezione do skarbcza Zamku Królewskiego w Warszawie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności uniknęły również

zniszczenia w pożarze Pałacu Królewskiego w Warszawie w 1782 roku. Odremontowany zamek, chluba Rzeczypospolitej, płonął wtedy przez całe dwie doby, co wstrząsnęło mieszkańcami stolicy. Historycy twierdzą, że gdyby tapiserie tam były, spłonęłyby z resztą królewskiego majątku. A dlaczego ich nie było? Prawdopodobnie wywieziono je z powrotem do klasztoru Karmelitów. Kilka lat później wróciły do pałacu, jednak historycy nie mają pewności, czy było dla nich jeszcze miejsce w komnatach.

Niewola w Petersburgu

Tamte wydarzenia to nic w porównaniu z tym, co czekało tapiserie zygmunto-wskie w kolejnym stuleciu. Dwa rozbiory przetrwały bez poważnych uszkodzeń, ale trzeci okazał się tragiczny. W 1795 roku z rozkazu Katarzyny II wojsko rosyjskie całkowicie rozgrabiło wyposażenie wnętrza Pałacu Rzeczypospolitej. Arrasę przetransportowano do magazynów Pałacu Taurydzkiego w Petersburgu. Rzeczpospolita straciła niepodległość.

Tapiserie Zygmunta Augusta nie wrócić do kraju przez 126 lat. Pobyt w Rosji będzie dla nich okresem mroku. Część z nich po prostu zniknie, wiele zostanie zniszczonych.

– Rosjanie często skracali i przycinali arrasę, by jako dekoracja pasowały do rozmiarów ścian w niedużych apartamentach. Prawie wszystkie ucierpiały też z powodu nadmiaru światła w wielkich salach pałacu w Gatchynie – tłumaczy dr Magdalena Piwocka, historyk sztuki, kustosz Zamku Królewskiego na Wawelu, autorka i współautorka publikacji naukowych poświęconych arrasom.



Dyr. Andrzej Betlej, fot. Anna Stankiewicz

Dr hab. Andrzej Betlej jest historykiem sztuki, dr. hab. nauk humanistycznych, profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego, wykładowcą w Instytucie Historii Sztuki UJ. W latach 2012–2016 był dyrektorem Instytutu, a w latach 2016–2019 dyrektorem Muzeum Narodowego w Krakowie. Od stycznia 2020 roku jest dyrektorem Zamku Królewskiego na Wawelu. Członek Komitetu Nauk o Sztuce PAN oraz Komisji Historii Sztuki PAU, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Historyków Sztuki oraz SKOZK. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się głównie wokół sztuki nowożytnej, w szczególności architektury i rzeźby na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej. Przyznaje, że jego konikami tematycznymi są architek-

tura jezuicka, recepcja wzorów graficznych, a także lwowska rzeźba rokokowa. Autor ponad 200 artykułów naukowych oraz takich książek jak: *Paweł Giżycki SJ, architekt polski XVIII wieku* (2003), *SIBI, DEO, POSTERITATI. Jabłonowscy a sztuka w XVIII wieku* (2010), *Muzeum Narodowe w Krakowie 1879–2019* (2019), *Zapomniane dziedzictwo: zbiór odlewów gipsowych Uniwersytetu Jagiellońskiego* (2019). Był wielokrotnie oznaczany za prace naukowe.

Dr Magdalena Piwocka jest historyczką sztuki, dr. nauk humanistycznych, wieloletnią kustoszą w dziale tkanin Zamku Królewskiego na Wawelu. To również autorka wielu publikacji poświęconych arrasom.

Pierwsza wiadomość na temat tego etapu dziejów arrasów – i przez 81 lat uznawana za jedyną – pochodzi z 1876 roku. Pewien Polak mieszkający w Rosji, podpisany jako P.S., w zaledwie jednym zdaniu przekazał, że arrasy z Pałacu Taurydzkiego w Petersburgu zostały zabrane i rozdzielone do dekoracji kilku pałaców, ale nie wiadomo, w jakim stanie. Arrasów poszukiwał w Rosji między innymi Aleksander Czołowski, który współpracował z Komisją Likwidacyjną do spraw Królestwa Polskiego. Sprawdził on wszystkie miejsca, które P.S. wymienił w liście. Udało mu się zlokalizować kilkadziesiąt gobelinów.

18 marca 1921 roku został podpisany traktat ryski kończący wojnę polsko-bolszewicką. W dokumencie wyszczególniono przedmioty wywiezione do Rosji lub Ukrainy od 1 stycznia 1772 roku, które Rosja i Ukraina mają zwrócić Polsce. Wśród nich arrasy.

Wielki powrót

Pod koniec 1922 roku do Rzeczypospolitej wróciło 91 arrasów. Brakowało jeszcze 56. Przez kolejne lata Rosjanie wysyłali je partiami: po trzy, po pięć, po dziesięć. Nie wszystkie wróciły. Do dziś brakuje 19.

Rada Ministrów zdecydowała wtedy, że odzyskane tapiserie powinny trafić do pierwotnego miejsca przeznaczenia, czyli na Zamek Królewski na Wawelu. W związku z tym, że tapiserie były uszkodzone, wymagały długiej i mozolnej renowacji, w której ochotczo pomagali również krakowianie. Wraz z upływem lat arrasy zaczęły ponownie zdobić komnaty wawelskie, co budziło zachwyt w środowisku artystycznym, a prasa szeroko rozpisywała się o ich powrocie do pierwotnej funkcji. Nie trwało to jednak długo.

Tułaczka

Już rok przed najazdem III Rzeszy na Polskę władze II RP rozważały ukrycie arrasów. Ostateczna decyzja zapadła dzień po wybuchu wojny. Był to początek ich 50-dniowej tułaczki.

Najpierw morskim transportem trafiły na krótko do Francji, gdzie w ośrodku tkackim w Aubusson poddano je reparacji. Dalej była Anglia, która okazała niebezpiecznym miejscem dla tapiserii królewskich ze względu na właśnie rozpoczynającą się bitwę powietrzną i bombardowania. W końcu zdecydowano, że najlepiej będzie im w Kanadzie, gdzie miały oczekiwać na koniec wojny.

Co prawda tamtejsze władze dobrze chroniły majątek polski, ale gdy wojna się skończyła, rząd Quebecu na czele z Mauricem Duplessisem utrudniał oddanie kolekcji. Używano argumentu, że Polska znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. Batalia władz PRL o przejęcie zbiorów zakończyła się dopiero po śmierci Duplessisa.

Arrasy wróciły do kraju 17 stycznia 1961, jednak nie w takim stanie, w jakim opuszczają

ły Wawel 20 lat wcześniej. Podczas transportu część tapiserii zamokła. Konieczne było przeprowadzenie kolejnych renowacji.

– Co ciekawe, skrzynie, w których arrasy wracały z Kanady, nadal znajdują się na Wawelu – zdradza Andrzej Betlej.

Po powrocie arrasów do kraju 30 z nich zostawiono w Warszawie, by zaprezentować je na specjalnej wystawie. Reszta została załadowana do pociągu, który zmierzał na krakowski dworzec, gdzie wyczekiwały ich tłumy krakowian.

Towarzysze dziejów

Arrasy Zygmunta Augusta znają kawał polskiej historii. To wierni towarzysze dziejów Rzeczypospolitej i jeden z najważniejszych symboli dziedzictwa narodowego Polski.

– Bogata i trudna historia tych tkanin sprawia, że arrasy są podwójnym symbolem dziedzictwa naszego kraju: z jednej strony dziedzictwa królewskiego za czasów panowania Zygmunta II Augusta, a z drugiej jego odrodzenia po zaborach i II wojnie światowej. Rzyknąłbym nawet stwierdzenie, że obecność arrasów na Wawelu wiąże się z pojęciem suwerenności państwa – mówi Andrzej Betlej.

Już od 18 marca 2021 roku będzie można zobaczyć niektóre tapiserie Zygmunta Augusta w całkiem nowym wydaniu. Zamek Królewski na Wawelu otwiera wyjątkową wystawę poświęconą dziedzictwu Polski z okazji setnej rocznicy podpisania traktatu ryskiego.

– Gdy turyści widzą arrasy po raz pierwszy, zawsze reagują zachwytem. I zawsze pada to samo pytanie: „Dlaczego pokazujecie tylko tyle?”. W odpowiedzi otwieramy wystawę, która potrwa do jesieni. Zdradzę tylko, że ta unikatowa na skalę światową kolekcja zostanie zaprezentowana w zupełnie innej odsłonie, dzięki wykorzystaniu nowoczesnych rozwiązań ekspozycyjnych – zapowiada dyrektor Wawelu.

Źródła: Maria Hennel-Bernasikowa, *Dzieje arrasów Zygmunta Augusta*, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków 2011. Maria Hennel-Bernasikowa, Magdalena Piwocka, *Katalog arrasów króla Zygmunta Augusta*, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków 2017.

Dziękujemy dyrekcji Zamku na Wawelu za udzielenie zgody na bezpłatną reprodukcję fotografii.



Katarzyna Domagała – absolwentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej oraz Zarządzania Kulturą i Mediami; interesuje się kulturą współczesną oraz tematami społeczno-politycznymi. Miłośniczka kina Bergmana, rocka i jazzu progresywnego. W wolnych chwilach pisze i maluje.

PORTRETY 2021 (styczeń)

Opracował Witold Bereś

Był jednym z najbardziej niedocenionych przez czytelników polskich pisarzy powojennych. A przecież jego kunszt podziwiali i koledzy po piórze, i koneserzy – choćby Jerzy Pilch. Był też ważnym uczestnikiem życia literackiego – współzakładał chociażby krakowskie „Pismo”, jedną z najważniejszych inicjatyw kulturalnych okresu „Solidarności”. Był wreszcie wieloletnim – bo od końca lat 60. ubiegłego wieku aż do swojej śmierci w 1990 roku – przyjacielem (dziś mówi się: partnerem) Wisławy Szymborskiej. Co jest wymowne, bo ona starannie dobierała towarzystwo.

Justyna Sobolewska, dziennikarka działu kulturalnego „Polityki”, pisze o Kornelu

Był pisarzem czytany niemal nabożnie – zwłaszcza przez młodych. Wręcz gwiazdą rodzimej sceny literackiej. I jej legendą, bo sam wykreował swój wizerunek: od szofera wożącego drewno po zaśnieżonych bezdrożach Kotliny Kłodzkiej do młodego prozaika, cenionego przez starszych kolegów – Jerzego Andrzejewskiego chociażby. Równocześnie słynął z imprezowego – by nie rzec: pijackiego – trybu życia. I romansów z najpiękniejszymi kobietami (a niektórzy plotkowali i o mężczyznach). Chłopięco przystojny, co z tego, że czasem brutalny w słowach i czynach. Na dodatek potem w sensacyjnym niemal stylu wyjechał z kraju, próbując sił we Francji (tu pomagał mu sam Jerzy Giedroyc), Niemczech, Izraelu, Stanach Zjednoczonych. A władze PRL zrobiły z niego zdrajcę. Wreszcie samobójcza śmierć.

„Czasami jestem podobna do siebie, a czasami nie” – miała mawiać Wisława Szymborska. A dobry znajomy pisał do niej: „Wisetko, jesteś taka wieloraka...”. Jak tu sporządzić biografię takiej postaci? Na dodatek Szymborska słynęła z obsesyjnej dbałości o zachowanie prywatności – zwłaszcza po tym, jak została uhonorowana literackim Noblem.

Joanna Gromek-Illg miała o tyle ułatwione zadanie, że obracała się w kręgu krakowskich znajomych poetki – mogła więc korzystać z relacji jej przyjaciół. Uzyskała też dostęp do części korespondencji, jaką prowadziła (a ta, złożona nie tylko z listów, ale choćby i słynnych wyklejanek, obrosła przecież już dawno legendą).

Efektom jest obszerna opowieść – o wielkiej poetce, ale też interesującej ze wszechmiar kobiecie oraz cenionym, choćby z racji

Filipowiczu barwnie, lecz taktownie, mądrze i z uczuciem. Zwraca, na przykład, uwagę na znaczenie drugiej – prócz literatury – pasji swojego bohatera, czyli miłości do wody, a konkretnie wędkarstwa i kajaków (pod namiot nad rzekę udawało mu się zaciągać także Wisławę). Precyzyjnie pokazuje niuanse sytuacji i wyborów pisarzy w PRL-owskiej rzeczywistości. I z fascynacją prezentuje zarówno dzieło Kornela, jak jego relacje – czy po prostu – uczucie do Wisławy.

Justyna Sobolewska, *Miron, Ilia, Kornel. Opowieść biograficzna o Kornelu Filipowiczu*, Iskry, Warszawa 2020.

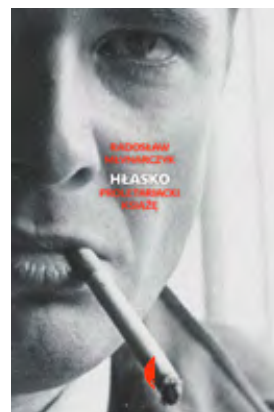
Wydawałoby się: cóż za wdzięczny temat dla biografów. Tyle że dotąd wszystkie opisy życia Marka Hłaski ocierały się o hagiografię bądź plotkarstwo. Radosław Młynarczyk próbuje wszechstronnie sportretować swojego idola (jest wszak znawcą jego twórczości i między innymi odkrywcą oraz edytorem młodzieńczej powieści *Wilk*). Jest więc i o życiu, i o dziele, i o poglądach czy dylematach. Czasem tylko nieco zbyt uproszczone zdają się być opisy PRL-owskiej rzeczywistości – politycznej, społecznej, obyczajowej. Lecz może tak trzeba, jeśli założyć, że rzecz ma trafić także do czytelników, którzy chcą dopiero poznać „tego” Hłaskę.

Radosław Młynarczyk, *Hłasko. Proletariacki księżę*, Czarne, Wołowiec 2020.

przedniego poczucia humoru i błyskotliwości, uczestniku życia towarzyskiego – cóż z tego że wąskiego, po prostu elitarnego, kręgu. A że bohaterka była krakowianką z wyboru, więc w tle nakreślony został portret Krakowa czasów PRL-u i pierwszych dekad wolnej Polski – a zwłaszcza, co oczywiste, tutejszego środowiska literackiego. Pojawiają się więc i inne wielkie nazwiska, a także ważne dla polskiej kultury miejsca, wydarzenia i znamienne epizody.

Na dodatek autorka zauważa, że tak jak poezja Szymborskiej „tylko pozornie jest prosta i zrozumiała”, tak i jej życie „było powikłane i trudne”. Trudno o lepszą zachętę do lektury.

Joanna Gromek-Illg, *Szymborska. Znaki szczególne. Biografia wewnętrzna*, Znak, Kraków 2020.





Bydgoszcz

Tekst: Rafał Bruski Zdjęcie: Robert Sawicki/archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Bydgoszczy.

Oferta programowa Młynów Rothera skupiać się będzie wokół promowania idei dobrego życia.

Młyny Rothera to cenny zabytek architektury przemysłowej, świadek dynamicznego rozwoju Bydgoszczy połowy XIX wieku. Obiekt składający się z młyna i spichlerzy: mącznego i zbożowego, położony jest na Wyspie Młyńskiej, której funkcja z przemysłowej przekształciła się w rekreacyjno-kulturalną. Dziś jest to miejsce spędzania wolnego czasu nad rzeką, zielona enklawa w samym sercu miasta.

Dzięki prowadzonej rewitalizacji obiekt zostanie przekształcony w siedzibę instytucji działającej w obszarze kultury, edukacji i nauki, służącą nie tylko lokalnej społeczności, ale także turystom i przedstawicielom świata biznesu. Na odwiedzających czekać będzie ogromny drewniany taras z największą fontanną w Polsce (powierzchnia 1000 m²).

Oferta programowa Młynów skupiać się będzie wokół promowania idei dobrego życia. Znajdą się tu Ogrody Wody i Muzeum Mózgu, a także ekspozycja poświęcona dziedzictwu przemysłowemu Bydgoszczy. Nie będzie to jednak tylko opowieść historyczna. Raczej pretekst, by mówić również o współczesności Bydgoszczy i budować tym samym tożsamość mieszkańców.

*

W Krakowie szczególnie bliski jest mi jeden z symboli tego miasta – kościół Mariacki. Przepiękny budynek w samym centrum miasta z ponad 800-letnią historią. Trochę przypomina mi on nieistniejący już kościół Ignacego Loyoli w Bydgoszczy, z którym wiąże się jedna z bydgoskich legend z okresu II wojny światowej. A jedynym zachowanym fragmentem dawnego bydgoskiego kompleksu jezuitów jest Ratusz, w którym już od 10 lat mogę sprawować funkcję prezydenta Bydgoszczy.

*

Drodzy krakowianie! Przesyłam Wam z Bydgoszczy najserdeczniejsze życzenia z okazji nadchodzącego Nowego Roku. W tym wyjątkowym, trudnym czasie życzę Wam przede wszystkim zdrowia, miłości i niegasnącej nadziei. Dbajmy o siebie i bądźmy dla siebie życzliwi. Oby ten 2021 rok był dla nas bardziej łaskawy. Dużo radości i uśmiechu – mimo wszystko! I do zobaczenia – w Krakowie lub w Bydgoszczy, do której serdecznie zapraszam.



Zdjęcie: © Wikimedia Commons

Rafał Bruski (ur. w 1962 roku w Bydgoszczy) – absolwent Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni, Akademii Ekonomicznej w Poznaniu oraz Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, polityk, urzędnik samorządowy, w latach 2007–2010 wojewoda kujawsko-pomorski, od 2010 roku prezydent Bydgoszczy.

Opowieść o wielkim malarzu i krnąbrnej muzie, która nie chciała być tylko żoną przy mężu

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: z archiwum i za zgodą Domu Jana Matejki/Muzeum Narodowe w Krakowie

Czy nie macie czasem ochoty cofnąć się w czasie? Choć na chwilę przenieść się do przeszłości, by poznać miejsca i ludzi, którzy żyją w naszej wyobraźni dzięki książkom, filmom, obrazom? Kraków z jego historycznym dziedzictwem nadaje się do tego idealnie. Nie trzeba długo szukać, wystarczy zajrzeć do oddziału Muzeum Narodowego przy ulicy Floriańskiej, gdzie mieści się Dom Jana Matejki.



Zawsze chciałam poznać świat naszych prababć, poczuć go wszystkimi zmysłami. A że bycie dziennikarzem od czasu do czasu pozwala na realizację rojących się w głowie marzeń, postanowiłam spędzić parę nocnych godzin w opustoszałym z powodu pandemii Domu Jana Matejki. Poprosiłam o towarzyszenie mi w tym Martę Kłak-Ambrożkiewicz, kustosa muzeum. Co tu dużo kryć, w takiej sytuacji zawsze rażniej we dwójkę. Pani Marta o rodzinie Matejków wie niemal wszystko, więc liczyłam na to, iż pomoże mi się odnaleźć w tej zawikłanej historii, a gdy za bardzo poniesie mnie fantazja, sprowadzi na właściwe tory. Nie wiedziałam jednak, że będę musiała prosić ją o coś jeszcze.

Zmierzchało, gdy przycupnęłyśmy w salonie. Z uwagą przyglądałam się pompejańskim ścianom, nieśmiało

dotknęłam perskiego dywanu i inkrustowanych masą perłową mebli. Dalej się nie posunęłam, w końcu byłam w muzeum i bałam się karcącego wzroku pani kustosz, która snuła fascynującą opowieść o młodości Jana Matejki. O tym jak w wieku siedmiu lat stracił matkę i o tym jak ojciec zabierał go do państwa Giebułtowskich, których dzieciom dawał lekcje muzyki. Ich matce, pani Paulinie, żal było chłopca, więc nieraz dokarmiała go smakołykami. A gdy skończył 13 lat i uczył się już w Szkole Sztuk Pięknych, zabrała go ze swoimi dziećmi na wakacje do Wiśnicza. Tam Jan malował jej córkę Joannę, w czym od czasu do czasu przeszkadzała mu chcąc zwrócić na siebie uwagę Teodora, zwana wówczas czule Teosią albo Osią. Mała córeczka Giebułtowskich już wtedy potrafiła postawić na swoim, choć jeszcze nikt nie przypuszczał jaka złoźnica z niej wyrośnie.

Nie chciała być tylko zwykłą mieszczką, jedną z tych krakowskich pań, które przechadzają się po A-B w niedzielne przedpołudnie, spędzając czas na plotkach. Za to stała się ich obiektem. Cały Kraków huczał, co znowu zrobiła Matejkowa.

I wtedy coś zaskrzypiało, zatrzeszczało, jakby ktoś przemknął przez sypialnię. Spojrzałam w stronę sąsiadującego z salonem buduaru. Wtedy ją zobaczyłam. Teodora siedziała przy stoliku w stylu empire, przy którym zwykła pijać kawę i podjadać słodycze. Przyglądała się nam surowym wzrokiem, by za chwilę nieznośnym sprzeciwu tonem oświadczyć, że to ona opowie mi, jak wyglądały jej pierwsze spotkania z Matejką.



Autoportret Jana Matejki

Teodora Matejkowa opowiada:

Przychodził do nas dość często. Matce było go żal, bo taki chudy, chorowity. Przyjaźnił się z moimi braćmi, ale mnie nie poświęcał zbyt wiele uwagi. Denerwowało mnie to, chciałam, żeby wszyscy się mną interesowali. Jak nie chcieli, potrafiłam pokazać różki. Jaś niedługo zresztą wyjechał, wysłano go do Monachium i Wiednia. W domu mówili, że miejsca tam długo nie zagrażał, bo do nauki języków zdolności nie miał. Niewiele mnie to obchodziło, bo byłam już na pensji. Uczyli mnie tam tych wszystkich, niby potrzebnych pannom z dobrych domów rzeczy, ale mnie od haftowania bardziej interesował śpiew. Miałam do muzyki talent, tak zresztą jak do języków. Francuski i niemiecki znałam znacznie lepiej niż on.

Pewnego dnia, kiedy do nas przyszedł, odniosłam wrażenie, że chce ze mną rozmawiać na osobności. Ale odwróciłam się na pięcie, odstręczałam go od siebie ten złamany nos. Wtedy wyciągnął pomad-

ki od Maurizio Redolfiego i pyszną czekoladę marki „Zdrowie”. Trafił w punkt, za takim słodkościami przepadałam. Potem to już nawet czekałam, kiedy pojawi się z jakimś prezentem. Aż pewnego razu wyskoczył z tym pierścieniem. Nie przeczę, ładnym, z niebieskimi oczkami, ale mnie się wtedy takie nie podobały. Prawda, nie zachowałam się stosownie, rzuciłam nim o podłogę. Matka była wściekła, bo już sobie uroiła, że wyda mnie za Jasia za mąż. Przedtem o tym nie myślała, gdyż nie miałam zawrotnego posagu i ktoś musiał mnie utrzymać, a on groszem nie śmierdział. Ale rzeczywiście się starał i można było mieć nadzieję, że z tego jego malowania coś tam wyniknie. Dlatego dałam się jej namówić i zgodziłam za niego wyjść.

Tu Teodora zamilkła, zapadła się w sobie, jakby ją siły vitalne opuściły, których pewnie i tak za dużo w niej nie było.

*

Wracam więc do opowieści Marty Kłak-Ambrożkiewicz, która, jak gdyby nigdy nic, przechadzając się po salonie, barwnie opisuje ślub Matejków w kościele Karmelitów „Na Piasku”. Na tę uroczystość Jan osobiście zaprojektował dla żony suknię ślubną, w której wyglądała niczym królowa z jego obrazów. W końcu to jej twarz na płótnach Matejki miała Bona Sforza czy Barbara Radziwiłłówna. Po skromnej w gruncie rzeczy uroczystości państwo młodzi sprowadzili się do niewielkiego mieszkania przy Krupniczej, w którym on miał też swoją pracownię. Na świat zaczęły przychodzić dzieci, najpierw Tadeusz, który dostał imię po malowanym wówczas Tadeuszu Rejtanie, potem Helena, Beata i młodszy od nich Jerzy, zwany Iziem, który najbardziej ojca rozczulał, a z którym później miał on najwięcej kłopotów, bo chłopak szkół wystrzegał się jak ognia. Była jeszcze Regina, ale umarła w trzecim tygodniu życia. Malarz bardzo to przeżył, co widać na szkicach przedstawiających martwe niemowlę.

Pani Marta prowadzi mnie do pokoju, gdzie wisi karykatura pokazująca, jak Matejko z rulonami pod pachą wychodzi z salonu, spoglądając na rozbawioną żonę, jej gości i biegające dookoła dzieci. Mistrz oddala się do swojej pracowni, by móc coś wreszcie stworzyć i mieć za co utrzymać całe to towarzystwo. Na innej karykaturze widać, jak Teodora siedzi rozparta w fotelu, dzieci wokół niej szaleją, a Matejko usiłuje namalować na wielkim płótnie postać Kopernika. Tak dłużej się nie dało, artysta musiał znaleźć większe mieszkanie.

Postanowił odkupić od swojego rodzeństwa kamienicę przy Floriańskiej. To był dobry adres dla Matejków. Artysta miał już ugruntowaną pozycję, był dyrektorem Szkoły Sztuk Pięknych. Ludzie go kochali. Kiedy jechał pociągiem przez trzy zabory, wychodzili na stacje, witali go okrzykami, szarfami, kwiatami niczym celebrytę. Od czasów, kiedy namalował *Kazanie Skargi*, jego kariera nabrała rozpędu. Nawet na Salonie Paryskim dostał złoty medal. Tylko w domu sytuacja zaczęła się psuć. Teodora stawiała się nie do wytrzymania.

*

Teodora Matejkowa opowiada:

O nie, bardzo przepraszam, wtedy jeszcze bywałam dla Jasia miła. Podróż do Paryża była cudowna.

Zresztą, kiedy udaliśmy się na Wschód, do Stambułu, też było całkiem nieźle. Jasiu zabrał mnie tam, bo remont domu przy Floriańskiej ciągnął się w nieskończoność, a ja tego nie mogłam znieść. Ale gdy wróciliśmy, to kamienica wyglądała jak francuski pałac. Na pierwszym piętrze była jadalnia, do której wchodziło się z naszej sypialni. Wtedy jeszcze sypialiśmy razem. Dopiero później kazałam wstawić moje łóżko do pomieszczenia obok buduaru, a Jasiu z chłopcami przeniósł się na drugie piętro. Ale rano spotykaliśmy się przy śniadaniu. Kucharka przyrządzała je na wzór francuski. Jedliśmy tosty z konfiturami, nabiał, no i jajka po wiedeńsku podawane w szklance z masłem, dla pobudzenia apetytu. To znaczy ja jadłam i dzieci, bo on to chyba żywił się tylko kawą i nikotyną.

Potem Jasiu szedł do Szkoły Sztuk Pięknych albo do swojej pracowni na trzecim piętrze, a ja zajmowałam się sobą. Dzieci miały guwernantki, więc nie musiałam się o nie martwić. Z Paryża sprowadziliśmy madame Charlotte, która miała wpoić im język francuski. No dobrze, prawdą jest, że czasami chciałam się ich wszystkich pozbyć. Wysyłałam wtedy dzieciaki do naszego majątku w Krzeszowicach albo do majątku męża mojej siostry Joanny. Żle tam nie miały, a ja musiałam przecież w spokoju kształcić mój głos, szczególnie jak wróciłam z Drezna, gdzie uczyłam się śpiewu.

Ale gdy byłam w domu, to obiad zawsze podawano w jadalni. I zawsze był on wyborny. Tylko że Jasiu nie przychodził go jeść z nami. Do stołu siadał tylko w niedzielę. W normalny dzień jadł coś pewnie w swojej pracowni. Zgadza się, może rzeczywiście o niego specjalnie nie dbałam, ale miał w końcu tego swojego sekretarza Gorzkowskiego, który miał się nim opiekować. Notabene to był obrzydliwy człowiek. Nawet nie zaglądnijcie do jego pamiętników! Jak on śmiał mnie tak w nich obsmarować?!

*

Marta Kłak-Ambrożkiewicz uważa, że te pamiętniki dostarczają nam dużo cennych informacji, choć co do Teodory, to rzeczywiście trzeba je dzielić na pół, bo sekretarz nie znosił jej tak samo jak ona jego. Ale prawdą jest, że Marian Gorzkowski martwił się o swojego pryncypała. Szczególnie gdy zauważył, iż Matejko bardzo zeszczupłał. Na dodatek narzekał na bóle żołądka, które odezwały się mimo kuracji stosowanych przez medyków. Pewnego dnia sekretarz spojrział na niego z troską i zapytał: „Co mistrz chciałby zjeść?”. Matejko odłożył pędzel i zaczął się zastanawiać. Nie chcąc sprawiać sekretarzowi przykrości, odparł: „Szynki”. Gorzkowski odwrócił się na pięcie i pobiegł do znanej restauracji Pollera, by kupić najlepszą szynkę, jaką można było wtedy dostać w Krakowie. Rzeczywiście, pachniała przednio, co czuła maszerując ulicami miasta. A wyglądała równie imponująco, o czym przekonał się, kładąc ją na srebrnej tacy i stawiając przed malarzem.

Mistrz jeszcze przy sekretarzu ukroił sobie kawałek, machając jednak ręką, żeby Gorzkowski już sobie poszedł. Obraz, z którym się właśnie mierzył, nie mógł czekać ani chwili dłużej. Kiedy skończył, sekretarz jeszcze raz zaglądnął do pracowni. Szynka leżała na stole w tym samym miejscu, w którym ją zostawił, a przy niej siedziała kotka, która ze smakiem pałaszowała wędlinę. Gorzkowski w swoich

pamiętnikach jeszcze nieraz zdradzał sekrety Matejków. Jak choćby ten, kiedy to Teodora wróciła do domu po jednej ze swoich kuracji.

*

Teodora Matejkowa opowiada:

Ja to opowiem, bo on znowu wszystko przeciwko mnie obróci. Ale zacznę od początku. Otóż zmarł mąż, święć Panie nad jego duszą, mojej siostry Joanny. Z dobroci serca zaprosiłam ją z dziećmi, żeby zamieszkała w naszym domu na drugim piętrze.



Jan Matejko z żoną Teodorą i córką Heleną

Gdy się okazało, że stan mojego zdrowia wymaga wyjazdu do wód, to zostawiłam ten niewdzięczny cały dom pod opieką. No i wyobraźcie sobie, że wracam zmęczona po podróży, i co widzę? Na ścianie w moim własnym domu wisi portret *Kasztelanki*, młodej dziewczyny, wypisz wymaluj noszącej rysy mojej siostrzenicy Stasi. Wiecie, jak się poczułam? Owszem, wpadłam w szal, owszem, zrobiłam awanturę, owszem, słyhać mnie było na całej Floriańskiej. Ale każda żona tak by zareagowała. Później nawet żalowałam trochę, że zdarłam ze ściany mój portret, ten na którym Jasiu namalował mnie w sukni ślubnej, i cisnęłam go w ogień. Ale przecież niedługo namalował go jeszcze raz, dokładnie taki sam, więc nic takiego się nie stało. Widziałam go niedawno, wisi spokojnie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

A tej nieszczęsnej *Kasztelanki* nie mogłam spalić, bo namalował ją na desce i do kominka by się nie zmiesciła. Kazałam mu ją natychmiast zniszczyć. Pokazał mi później odpiłowane i nadpalone narożniki tego obrazu. Tylko że coś mu nie do końca uwierzyłam, iż się go zupełnie pozbył.

*

Pani kustosz muzeum uśmiecha się pod nosem, bo wie, że tym razem Matejko oszukał żonę. *Kasztelankę* ukrył w pałacu Tarnowskich, dzięki czemu mogła powstać jej kopia, która stoi dziś na sztalugach w pracowni artysty. Jednak klątwa Teodory zawisła nad dziełem. Do 1938 roku znajdowało się ono w kolekcji prywatnej. Po tym czasie słuch o nim zaginął i nikt nie wie, co się z nim stało. Za to wiadomo, że choroba pani Matejkowej zaczęła się roz-

z tych krakowskich pań, które przechadzają się po A-B w niedzielne przedpołudnie, spędzając czas na plotkach. Za to stała się ich obiektem. Cały Kraków huczał, co znowu zrobiła Matejkowa. Rzeczywiście, nie miała łatwego charakteru, życie z nią nie było lekkie, ale malarz i tak długo był w niej zakochany po uszy. Pociągał go jej temperament, widział w niej swoją muzę, dzięki której stał się wybitnym malarzem. Pewnie sam nie zdawał sobie sprawy z tego, że Teodora dostarczała mu taką amplitudę emocji, iż nie były mu potrzebne, jak innym artystom, ani alkohol, ani narkotyki.

Robi się późno. Hejnął z wieży mariackiej odmierza kolejną godzinę. Jego dźwięk budzi Teodorę z odrętwienia. Nim zdążę się zorientować, krzesło przy stoliku kawowym robi się puste. Zaczynam za-



wijać. Z roku na rok było coraz gorzej. Tyła na potęgę, a było to efektem nieleczzonej cukrzycy, której skutki uśmierzano morfiną. Narkotyk miał bez wątpienia wpływ na jej na trudne do okiełznania, chorobowe wahania nastrojów. Malarz, chcąc chronić dzieci, zdecydował się oddać żonę do zakładu dla obłąkanych.

Teodora nie wróciła już na ulicę Floriańską. Gdy wychodziła ze szpitala, mieszkała w wynajmowanym mieszkaniu albo w majątku w Krzeszowicach. Ciągle toczyła boje z chcącym ją ubezwłasnowolnić mężem. Szantażowała go. Krzyczała, że nie pobłogosławi małżeństwu Heleny, jeśli Matejko nie przekona lekarzy, iż z jej głową wszystko jest w porządku. Ostatecznie uroczystość spędziła w powozie pod kościołem. Nie lepiej zachowała się, gdy przed ołtarzem stanęła Beata. Wkroczyła do świątyni tak ekstrawagancko ubrana, że wszyscy musieli zwrócić na nią uwagę.

Ale przecież właśnie o to całe życie jej chodziło. Nie chciała być tylko zwykłą mieszczką, jedną

stanawiać się poważnie nad sobą i prosić panią kustosz, żeby mnie uszczypnęła. Jednak chyba ze mną wszystko w porządku. Po prostu to Dom Matejki tak działa na wyobraźnię, pozwalając przenieść się w czasie. Przekonajcie się zresztą sami. A gdy go odwiedzicie, zatrzymajcie się na chwilę w drzwiach buduaru. Może dostrzeżecie tam sylwetkę kobiety, która nie chciała być tylko żoną przy mężu.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Dziecięcy i profesjonalny zachwyty Janem Matejką

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Wiktoria Włoczevska



Andrzej Szczerski był jeszcze chłopcem, gdy dostał album z obrazami Jana Matejki. Tamto wspomnienie wciąż w nim żyje.

To była książka Juliusza Starzyńskiego. Dziadzio, z wykształcenia historyk, podarował ją małemu Andrzejowi, bo zauważył, że chłopiec lubi rysować. Pewnie też trochę miał nadzieję, iż w ten sposób zainteresuje wnuka dziejami Polski. Trafił w punkt, wrażenie, jakie zrobiły na nim dzieła Matejki, było niezapomniane. Odwiedziny w Sukiennicach tylko pogłębiły te emocje. Szczególnie że obrazy mistrza pokazywane były wówczas w tajemniczej aranżacji prof. Mieczysława Porębskiego, a wiszący przy wejściu *Wernyhora* stanowił swego rodzaju kulisę, zza której wyłaniał się ogrom *Hołdu pruskiego*.

Te wspomnienia towarzyszyły Andrzejowi Szczerskiemu przez całe życie. I wtedy, kiedy postanowił studiować historię sztuki na Uniwersytecie Jagiellońskim, i wówczas, gdy piął się po szczeblach naukowej kariery, uzyskując tytuł profesora nauk humanistycznych oraz wykładając nie tylko na krakowskiej uczelni, ale też na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem i Uniwersytecie St Andrews w Wielkiej Brytanii. Dziś jako dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie i kurator wystaw nie ukrywa, że dalej patrzy na Matejkę z dziecięcym zachwytem, choć częściej bierze górę nad tym uczuciem chłodne spojrzenie profesjonalisty.

– Przede wszystkim doceniam znaczenie tych obrazów jako kluczowych dzieł naszej ekspozycji. Dla tego przygotowując trzy lata temu w Muzeum Na-

rodowym w Krakowie wystawę *#dziedzictwo*, nie mogłem pominąć prac Matejki. Pokazałem tam artystę na dwa sposoby, które uznałem za nieoczywiste. Z jednej strony widzowie oglądali autorskie, kamienne płyty litograficzne, z których zostały odbite karty albumowe publikacji Matejki *Ubiory w Polsce*, co pozwalało poznać warsztat twórcy, a także odkryć go jako badacza ubioru historycznego. Natomiast w innym miejscu zaprezentowałem reprodukcje z jego cyklu *Dzieje cywilizacji w Polsce*. To były fotografie dokumentacyjne, wykonane na zlecenie Matejki, które potem posłużyły popularyzacji tych obrazów. Wskazywały one na to, jak bardzo Matejko świadomie starał się kształtować wyobraźnię Polaków – mówi prof. Andrzej Szczerski.

Na wyobraźnię widzów współczesnych z całego świata będzie niebawem wpływał *Kopernik*, obraz krakowskiego malarza pochodzący ze zbiorów UJ. W marcu przyszłego roku zawiśnie on w National Gallery w Londynie, w miejscu, które odwiedzą setki tysięcy osób. – Napisałem do katalogu tej wystawy artykuł, wskazując tam przede wszystkim na dyskusję o uniwersalizmie kultury polskiej, której symbolami mogą być i Kopernik i Matejko. Ta wystawa i publikacja jest niebywałą satysfakcją dla historyka sztuki, a szczególnie dla kogoś takiego jak ja, kto niemal od zawsze jest pod wrażeniem niezwykłego talentu naszego twórcy.

Historia średniowiecznego skarbu

Tekst: Marta Gruszecka Zdjęcia: z archiwum i za zgodą bazyliki Mariackiej

531 lat, ponad 200 figur, 13 metrów wysokości, 11 szerokości. Ołtarz Wita Stwosza to najwybitniejsze dzieło średniowiecznej Europy. Już niebawem będziemy mogli znów oglądać je w całości. Kto wie, czy podczas trwających przez ostatnie pięć lat intensywnych prac konserwatorskich w bazylice Mariackiej znów nie zaplątała się przypadkiem żółta cizemka?

Rok 1477. Polską od trzech dekad rządzi król Kazimierz Jagiellończyk, syn Władysława Jagiełły i Zofii Holszańskiej. Nauka i kultura są w rozkwicie. Wszystko, co dzieje się w kraju, skrupulatnie spisuje kronikarz, historyk i heraldyk Jan Długosz. A ma o czym pisać – za panowania Kazimierza Uniwersytet Krakowski otwiera trzy nowe katedry: gramatyki i retoryki, poetyki oraz matematyki i astronomii. W krakowskiej szkole matematyczno-astronomicznej prężnie działają wybitni średniowieczni astronomowie i astrologowie Marcin Bylica z Olkusza, Maciej Miechowita i Jan z Głogowa. Rozwija się gotyckie budownictwo, popularna staje się budowa ołtarzy szafiastych w formie tryptyku lub pentaptyku, czyli takich, które na co dzień są zamykane, otwierane zaś wyłącznie na ważne uroczystości.

Propozycję wykonania jednego z nich otrzymuje od króla niespełna trzydziestoletni norymberski rzeźbiarz Wit Stwosz. Dlaczego Jagiellończyk wybrał akurat jego? Być może ktoś szepnął do królewskie-

Ołtarz Wita Stwosza w średniowieczu był otwierany tylko kilka razy w roku, wyłącznie w święta przedstawione w części środkowej. Ależ wyczekiwano każdego otwarcia! Na pokazy przybywały tłumy, wszyscy chcieli bowiem zobaczyć ten szczególnie moment, kiedy skrzydła się rozsuwają. Potem, gdy ołtarz zaczęto odśłaniać codziennie w południe, nadal miało się wrażenie, że jest się w teatrze, a na scenie dzieje się magia.

go ucha, że to artysta wybitny, w dodatku z zagranicy... Powodów zlecenia pracy temu rzeźbiarzowi nie znamy. Pierwsza informacja o Wicie Stwoszu pojawia się bowiem właśnie wtedy, w 1477 roku, kiedy artysta z Norymbergi zrzuca się obywatelstwa swojego miasta i przybywa do Krakowa. Tutaj, w bazylice Mariackiej, ma stworzyć nastawę ołtarza głównego. Rada miejska proponuje mu 2808 florenów, czyli równowartość całorocznego budżetu Krakowa. Oraz sławę, o której Wit Stwosz zapewne nie ma jeszcze wtedy pojęcia. Chociaż doskonale wie, po co rzucił dotychczasowe życie i przeprowadził się do Krakowa.

Atmosfera serca miasta

Rzeźbiarz wynajmuje pracownię przy Grodzkiej. To już wtedy jedna z najbardziej zatłoczonych ulic Krakowa. Jak mogła wyglądać średniowieczna krakowska ulica prowadząca spod Wawelu na Rynek? Kto i w jakim stroju przechadzał się po Grodzkiej? Czy stukot końskich kopyt o kostkę brukową było słyhać tak samo jak dziś? A może głośniejsze były szalამaje? Czy ktoś wiedział, że pracuje tutaj wielki artysta i zaglądał mu do okien?

Wit Stwosz rezyduje w samym centrum Krakowa, dzięki czemu może poznawać ludzi, obserwować życie miejskie i czerpać z niego inspiracje, które wykorzysta później w budowie ołtarza. Skąd bowiem nagle wśród ołtarzowych rzeźb postaci odziane w krakowskie stroje? Skąd dzbany, kubki, sztucce i inne przedmioty używane przez mieszkańców? Przy Grodzkiej Wit Stwosz spędzi prawdopodobnie dwanaście najbliższych lat, a może i więcej – artysta wyjechał bowiem z Krakowa nie zaraz po konsekracji retabulum w 1489 roku, a dopiero siedem lat później, kiedy skończył nagrobek króla Kazimierza oraz biskupa Piotra z Bnina. Mógł zostać! W Norymberdze spotkały go później same nieszczęścia: kradzież niemal całego wynagrodzenia za ołtarz, śmierć żony, areszt za podrobienie czeku i wypalenie policzków gorącym żelazem...

Trzy lata wcześniej?!

Nie wiadomo, którą część ołtarza mariackiego Wit Stwosz rzeźbi w pierwszej kolejności. Nie wiemy też, czy zaczyna od razu po przeprowadzce – trudno o skupienie, kiedy właśnie rodzi się syn. Stanisław pójdzie zresztą potem w ślady ojca i wyrzeźbi tryptyk przedstawiający świętego Stanisława (1504) nad południową kruchtą wejściową do kościoła Mariackiego.

Pierwszym etapem prac było zapewne przygotowanie precyzyjnego harmonogramu działania oraz zgromadzenie materiałów. Kluczową rolę odegrały dwa rodzaje drewna. Na konstrukcję i tło Wit Stwosz wybrał dąb, zaś na rzeźby, płaskorzeźby oraz inne detale miękką i elastyczną lipę. Ile lat może mieć drewno, z którego artysta zbudował ołtarz? – Konstrukcję nośną retabulum tworzą dęby, a te rosną nawet 500 lat. Lipy, z których Wit Stwosz wyrzeźbił postaci, żyją o wiele krócej, do 180 lat. Określenie dokładnego wieku drewna wymaga analizy dendrohydrologicznej, czyli sprawdzenia, w jakim wieku zostało ono ścięte. To jest możliwe wyłącznie w przypadku dębu. W ramach prac badawczo-



Nazwy ołtarz Wita Stwosza używamy zamiennie z ołtarzem mariackim. Oficjalnie to jednak Ołtarz Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, co wynika z nazewnictwa bazyliki Mariackiej, poświęconej właśnie Matce Boskiej. Retabulum jest pentaptykiem, czyli posiada pięć skrzydeł. Tworzą je część centralna z wyrzeźbionymi figurami, para ruchomych skrzydeł wewnętrznych oraz para nieruchomych skrzydeł zewnętrznych, obie są ozdobione płaskorzeźbami. Całości dopełnia postawiona na mienie ołtarzowej płaskorzeźbiona predella oraz ażurowe zwieńczenie z pełnoplastyczną rzeźbą. Treść ikonograficzna ołtarza dotyczy najważniejszych wydarzeń z życia Marii i jest poświęcona jej roli w dziele Zbawienia. Scena główna we wnętrzu szafy ołtarzowej przedstawia Zaśnięcie NMP. Powyżej, lecz nadal w tej samej szafie, Chrystus i Maria, otocze-

ni glorią promienistą oraz grupa aniołów, obrazują scenę Wniebowzięcia. W zwieńczeniu nastawy widać natomiast Koronację NMP na Królową Nieba i Ziemi. Sceny z życia Chrystusa i Marii przedstawiają skrzydła ołtarza. Otwarte ukazują Zwiastowanie, Boże Narodzenie, pokłon Trzech Króli, Zmartwychwstanie, Wniebowstąpienie i Zesłanie Ducha Świętego, na zamkniętych znajduje się dwanaście scen: spotkanie Joachima i Anny, narodziny Marii, ofiarowanie Marii w świątyni (lewe nieruchome skrzydło), ofiarowanie Jezusa w świątyni, dwunastoletni Jezus nauczający w świątyni, pojmanie Jezusa, ukrzyżowanie, zdjęcie z krzyża, złożenie do grobu (skrzydła ruchome) oraz ukazanie się Marii Magdalenie zmartwychwstałego Jezusa, trzy Marie u grobu, Chrystus w otchłani (prawe nieruchome skrzydło).

-konserwatorskich ołtarza Wita Stwosza w bazylice Mariackiej, które Międzyuczelniany Instytut Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie oraz ASP w Warszawie prowadzą nieprzerwanie od września 2015 roku, staramy się pozyskać takie dane – mówi dr hab. Jarosław Adamowicz, dziekan Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, który przewodzi pracom. Zespół ma na koncie spektakularny sukces. Dzięki ubiegłorocznemu odkryciu nieznannej wcześniej inskrypcji można przypuszczać, że najcenniejszy krakowski skarb był gotowy nawet trzy lata przed oficjalnie uznaną datą.

– Przyjmujemy, że prace nad ołtarzem mariackim trwały dwanaście lat: od 1477 do 1489 roku.

Nie są to jednak daty udokumentowane kontraktem. Za rozpoczęcie budowy uznajemy rok przybycia Wita Stwosza do Krakowa, a za zakończenie datę konsekracji ołtarza, czyli rok 1489. Jesienią 2019 roku odkryliśmy, że na bocznej krawędzi szaty św. Jakuba młodszego, apostoła podtrzymującego zasypiającą Matkę Boską, znajduje się oryginalna, około dwucentymetrowa inskrypcja „1486”. Kto jest jej autorem? Trudno powiedzieć, lecz na pewno nie Wit Stwosz, którego sygnaturę doskonale znamy między innymi ze znajdującego się na Wawelu nagrobka Kazimierza Jagiellończyka. Nie ma ważniejszej części ołtarza niż scena przedstawiająca Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny, stąd zresztą oficjalna nazwa dzieła. Oznacza to zatem, że centralna rzeź-



Dr hab. Jarosław Adamowicz – prof. Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie, dziekan Wydziału Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki. Od 2015 roku nadzoruje prace w ramach programu badawczo-konserwatorskiego ołtarza

Wita Stwosza w bazylice Mariackiej prowadzone przez Międzyuczelniany Instytut Konserwacji i Restauracji Dzieł Sztuki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie oraz Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie.

ba była gotowa trzy lata przed konsekracją ołtarza! – podkreśla dr Adamowicz.

Ręce Stwoszewej Basi

Żadna inna grupa badaczy dotychczas napisu nie odkryła. A okazji było kilka. W XIX wieku, w latach 1866–1871, pod kierunkiem Władysława Łuszczkiewicza oraz Jana Matejki, przekształcono strukturę architektonicznych pinakli i podjęto próbę usunięcia przemalowań z pierwotnej polichromii oraz złocień. Kolejne prace, którym przewodził prof. Julian Makarewicz, rozpoczęto w 1932 roku i zakończono dwa lata później. Konserwatorzy ponownie zajęli się odsłonięciem pierwotnych polichromii, ale także korektą zabiegów z XIX wieku i konserwacją formy rzeźbiarskiej. Wtedy też wykonano znakomitą dokumentację fotograficzną, dzięki której zwykli ludzie mogli po raz pierwszy zobaczyć dzieło i poszczególne rzeźby „od środka”. Zainspi-

rowało to między innymi Adama Bunscha, malarza i dramatopisarza, do stworzenia spektaklu o Wicie Stwoszu *Ręce Stwoszewej Basi*. Basia, czyli Barbara Hertz, była żoną artysty. Bunsch uważał, że sceny rozgrywające się na ołtarzu mariackim są też poniekąd wyrazem tęsknoty mistrza za jego ukochaną partnerką.

W skrytce pod podłogą

Późniejsze losy ołtarza były burzliwe. Kilka tygodni przed rozpoczęciem II wojny światowej niektóre elementy retabulum zdemontowano i ukryto. Ewakuacji przewodził krakowski historyk sztuki prof. Karol Estreicher. Rzeźby z części Wniebowzięcia trafiły do piwnicy przy św. Jana 9, drobne figury do schowka pod podłogą w Collegium Novum, ornamenty ze skrzydeł ołtarza do grobowca w kościele Mariackim. Największe figury popłynęły barakami do Sandomierza. Niestety, Niemcy

szybko, bo już we wrześniu ustalili, gdzie znajdują się brakujące elementy dzieła i wywieźli cały ołtarz do Norymbergi. Uważali bowiem, że skoro Wit Stwosch pochodził z Niemiec, dzieło należy do nich. Szczęśliwie tuż po wojnie retabulum udało się odzyskać. Prace konserwatorskie rozpoczęto niemal natychmiast. Zabiegi prowadzone w latach 1946–1950 pod kierunkiem prof. Mariana Słoneckiego oraz dr. Józefa Edwarda Dudkiewicza, późniejszego twórcy i założyciela Wydziału Konserwacji Dzieł Sztuki ASP, miały rozpoznać i naprawić wojenne zniszczenia.

Przez kolejne pół wieku ołtarz był nietykany. Delikatne prace kosmetyczne – oczyszczenie struktury nastawy ołtarzowej i retusz polichromii oraz złocień – prowadzono dopiero w 1986 roku (nadzorowała je Aleksandra Bogdanowska) i 1999 roku (pod kierownictwem prof. Mariana Paciorka z ASP w Krakowie). W 2013 roku przeprowadzono pełną inwentaryzację ołtarza metodą skaningu laserowego 3D, tworząc dokumentację w postaci ortolanów, fotoortolanów i rysunków wektorowych. Raport określił jednoznacznie, że stan retabulum jest „stabilny, ale zagrożony”. Nikt nie chciał ryzykować dalszych zniszczeń, dlatego podjęto decyzję o programie badawczo-konserwatorskim. Codziennie, w specjalnie przygotowanych pracowniach grupa kilkunastu konserwatorów oraz chemików, fizyków i dendrologów, zarówno z Polski, jak i z Niemiec, Włoch czy Wielkiej Brytanii (badacze z zagranicy brali udział w konsultacjach), dopieszczała krakowski skarb. Konserwatorzy czyścili ołtarz, usuwali wtórne przemalowania na skrzydłach nieruchomych, uzupełniali ubytki, sklejali drobne pęknięcia, impregnowali, uzupełniali zaprawy oraz warstwy polichromii i złocień.

Wielkie odliczanie

Prace mają zakończyć się niebawem. Obecnie konserwatorzy pracują nad parą skrzydeł ruchomych, zamykającą środkową część szafy ołtarza. – Jesteśmy na etapie końcowym. Montujemy poszczególne płaskorzeźby, dokonujemy korekt kolorystycznych i zajmujemy się estetyką ołtarza. Nie możemy doczekać się wielkiego finału. Jesteśmy kontynuatorami dzieła Wita Stwosza, kolejnym pokoleniem dbającym o polskie dziedzictwo – przyznaje z dumą dr Adamowicz.

A gdyby tak hipotetycznie wycenić jeden z naszych najważniejszych skarbów? Kupić można przecież nawet najzwyklejsze dzieła sztuki. Kilka lat temu na rynek trafił *Zbawiciel świata* Leonarda da Vinci. Saudyjski książę Bader ibn Abdullah ibn Mohammed ibn Farhan as-Saud wyłożył z prywatnej kieszki 450,3 mln dolarów i przejął dzieło dla muzeum Luwr w Abu Zabi. – Ołtarz Mariacki to dla Krakowa i Polski dzieło bezcenne. Jesteśmy szczęściarzami, że po tylu latach retabulum wciąż znajduje się w miejscu swojego przeznaczenia. Nie ma innych ołtarzy średniowiecznych, które do dziś stałyby tam, gdzie je zbudowano – podkreśla dr Adamowicz.

Znana jest natomiast kwota, którą miasto zapłaci za obecne prace konserwatorskie. To około 14 mln złotych pochodzących w większości z Narodowego Funduszu Rewaloryzacji Zabytków Krakowa.

Zaginiona ciżemka i dług wdzięczności

Ołtarz Wita Stwosza zagrał w niejednym filmie i sam może wzbudzać filmowe emocje. W średniowieczu był otwierany tylko kilka razy w roku, wyłącznie w święta przedstawione w części środkowej. Ależ wyczekiwano każdego otwarcia! Na pokazy przybywały tłumy, wszyscy chcieli bowiem zobaczyć ten szczególny moment, kiedy skrzydła się rozsuwają. Potem, gdy ołtarz zaczęło odsłaniać codziennie w południe, nadal miało się wrażenie, że jest się w teatrze, a na scenie właśnie dzieje się magia.

Mariackie retabulum zawsze inspirowało artystów. W 1867 roku podczas prac konserwatorskich na ołtarzu odnaleziono dziecięcy bucik. Prawda, że to idealny materiał na książkę? Antonina Domańska, polska pisarka, wykorzystała tę historię 46 lat później w *Historii żółtej ciżemki*. Kiedy pojawiło się kino, przygody Wawrzusia, bohatera książki, zekranizowano. 28 grudnia 1961 roku odbyła się premiera filmu kostiumowego na jej podstawie w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego. Główną rolę zagrał w nim 11-letni Marek Kondrat (i był to jego debiut aktorski), zaś w Wita Stwosza wcielił się Gustaw Holoubek. Akcja zaczyna się w czasach współczesnych, czyli wówczas latach 60., od przedziwnego znaleziska. Otóż, w czasie konserwacji ołtarza Mariackiego, zostaje znaleziona dziecięca ciżemka. Do kogo należał bucik, skąd wziął się w świętym miejscu? Tego widzowie niebawem mają się dowiedzieć, gdyż wraz z tajemnicą wsiadają do wehikułu czasu i przenoszą się 500 lat wstecz. W Krakowie rządzi wtedy Kazimierz Jagiellończyk, a w bazylice Mariackiej nad dziełem swojego życia pracuje wielki norymberski artysta Wit Stwosch. Jest też Wawrzek, młody chłopak ze wsi Poręba, który wolny czas spędza na struganiu w drewnie. Ma talent, pomysły i dziecięcy entuzjazm, nie ma za to wsparcia rodziny, pieniędzy i szans na rozwój. Zasmucony brakiem perspektywy, odważnie postanawia uciec do Krakowa. W podróży Wawrzek musi stawić czoło Czarnemu Rafałowi, bandycie, który chce go zabić, a potem przekonać strażnika Bramy Krakowskiej, by wpuścił go do miasta. Chłopak trafia do pracowni Wita Stwosza i pod uważnym okiem mistrza pomaga w pracach nad legendarnym ołtarzem. Wawrzek zdobywa uznanie nie tylko swojego opiekuna, ale też samego króla Kazimierza, który nagradza młodego rzemieślnika parą złotych ciżemek. Niestety, spełnionym marzeniem chłopak cieszy się krótko – pech chce, że podczas ceremonii konsekracji ołtarza ginie pastorał św. Stanisława, jednej z ołtarzowych postaci. Młody Wawrzek wspina się zwinnie na szczyt, umieszcza pastorał na swoim miejscu, lecz podczas brawurowej akcji gubi jedną ciżemkę. – Tam do licha! – aż chciałoby się krzyknąć, ale w kościele nie wypada. Wawrzek jest zasmucony, gdyż wie, że bucika nie uda się już uratować, z drugiej zaś strony odczuwa wielką dumę i słusznie myśli o sobie jak o superbohaterze.



Marta Gruszecka – dziennikarka z lekkim piórem i łebskim żartem. Rozmówczyni, która potrafi słuchoać. Miłośniczka kotów – czarnych i ciapatych. Maratonka, która nigdy się nie poddaje.

Notre Dame de Cracovie

Mówi ks. infułat dr Dariusz Raś, archiprezbiter bazyliki Mariackiej Zdjęcie: z archiwum i za zgodą bazyliki Mariackiej

Budynek kościoła Mariackiego – fary krakowskiej został zbudowany nie tylko jako ambicja mieszkańców królewskiego miasta, ale przede wszystkim jako miejsce modlitwy i sprawowania sakramentów dla ludzi wierzących. Przez wieki modlitwy odbywały się po łacinie, a modlący się pochodzili z różnych stron ówczesnej Europy. Osiedlali się wśród nas. Dlatego też kościół ten to swoista Notre Dame de Cracovie – miejsce określające duchowość i symbol całego Krakowa. Tutaj wielu ludzi zaskakuje nas prośbą o spowiedź z całego życia czy też nagle odczuwa potrzebę rozmowy o wierze. Powszechnie mało kto wie, że przez cały dzień w bazylice w jednym z jej zakamarków trwa spowiedź święta, a temu sprzyja szlachetna sztuka sakralna. Ludzie ujęci atmosferą piękna tego kościoła szukają Boga.



Sacrum, które bije z głównego ołtarza, pozwala wielu na doznanie odpoczynku i doświadczenie modlitwy przed Bogiem. W tym miejscu wprost odychamy atmosferą nieba i żałuję, że niektóre współczesne kościoły nie mają aż takiego szczęścia do wyposażenia w dobrą sztukę. Dlatego też od sześciu lat pracujemy z konserwatorami nad zachowaniem dziedzictwa późnogotyckiego ołtarza mariackiego. Funkcja ołtarza określona jest przez wiarę chrześcijan – fundatorów. Dlatego nasze dziedzictwo to nie tyle dwieście rzeźb, płaskorzeźb i kilkaset zdobników, ile przede wszystkim jego przesłanie. Życie Maryi – Matki Zbawiciela – ma być według autorów i fundatorów ołtarza wzorem do naśladowania. Pomimo upływu czasu, zmiennej fortuny, nawet licznych epidemii ołtarz nie przestaje być czytelnym znakiem i zaproszeniem również dla naszego pokolenia. Co ciekawe, to przesłanie zostało „ubrane” przez Wita Stwosza w jemu współczesne stroje. Dzisiaj, gdyby artysta żył i jego pracownia realizowałaby to zamówienie, święci i grzesznicy z ołtarza stałiby

przed nami w ubraniach nam współczesnych: krakowatach i szpilkach.

Dziękuję ludziom – konserwatorom, za ich wielką cierpliwość i za to, że uczynili bazylikowy warsztat za wielkim ołtarzem swoim domem w ostatnich latach. Ich znakomita praca zapewni nam na następne dziesięciolecie możliwość spokojnego użytkowania drewnianego retabulum – ołtarza. Nagrodą za ich profesjonalizm jest odkrycie na przykład datowania rzeźby Zaśnięcia NMP (1486 r.). Czujemy, że w ten sposób jako parafia pracujemy dla Krakowa i jego mieszkańców. Dziękujemy za wielki wkład w to dzieło odnowy, renowacji i badań Społecznemu Komitetowi Odnowy Zabytków Krakowa, Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Miastu Kraków oraz krakowianom. Nasze wspólne dzieło kosztowało aż 14 milionów złotych. Mamy nadzieję, że już w 2021 roku ołtarz bez rusztowań załśni pełnym blaskiem. Wszyscy pocujemy się z tego dumni.

Notował wb



Katowice

Tekst: Marcin Krupa **Zdjęcie:** Radosław Kaźmierczak/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Katowic

Strefa Kultury to obszar rozciągający się od rozpoznawalnej w całej Polsce hali widowiskowo-sportowej „Spodek” aż do Parku Boguckiego.

W historii większości miast można wskazać kamienie milowe ich rozwoju. W przypadku Katowic takim przełomowym momentem było ukończenie w latach 2014–2015, kosztem ponad miliarda złotych, Strefy Kultury. W poprzednich dekadach większość osób przyjeżdżających do Katowic z różnych stron Polski miała w głowach stereotypowy wizerunek stolicy województwa śląskiego. Z miasta węgla Katowice stały się stolicą ponad dwumilionowej metropolii, która postawiła na kulturę.

Katowice, podobnie jak wiele miast przemysłowych, musiały się zmierzyć z postępującymi zmianami społeczno-gospodarczymi. Dzisiaj Strefa Kultury to obszar rozciągający się od rozpoznawalnej w całej Polsce hali widowiskowo-sportowej „Spodek” aż do Parku Boguckiego. W Strefie Kultury funkcjonują trzy nowe obiekty, które przyciągają dziś setki tysięcy gości rocznie. Tuż obok „Spodka” powstało Międzynarodowe Centrum Kongresowe (MCK). Te dwa obiekty tworzą obecnie największą w Polsce przestrzeń konferencyjną. Obok MCK powstała nowa siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (NOSPR) z salą koncertową, nad której akustyką pracowała japońska firma Nagata Acoustic. Sala ta jest uznawana przez specjalistów i melomanów za jedną z najlepszych na świecie. Strefę Kultury zamyka nowa siedziba Muzeum Śląskiego, która nawiązuje do terenów pokopalnianych. Duża część zbiorów znajduje się pod ziemią, a część budynków pokopalnianych została zrewitalizowana i zaadaptowana na przestrzenie wystawiennicze. Dużą popularnością cieszy się dawny szyb kopalniany, który został przekształcony w taras widokowy. Wspomniane obiekty nie tylko doskonale wypełniają swoje funkcje, ale zostały też wielokrotnie nagrodzone i wyróżnione w wielu konkursach architektonicznych.

W Katowicach koniecznie należy odwiedzić także zabytkową dzielnicę Nikiszowiec, która wielu osobom kojarzy się z urokliwymi, krakowskimi uliczkami.

*
Kraków jest mi bardzo bliski i przez ostatnie lata obserwowałem, jak dynamicznie się zmieniał i rozwijał. Lubię spacerować po Starym Mieście czy wyjątkowy klimat Kazimierza. Zarówno w Krakowie, jak i w Katowicach przykładamy dużą wagę do kultury, co widać na każdym kroku. Zapewne dlatego, jako jedno z niewielu polskich miast należymy do sieci miast kreatywnych UNESCO.

*
Na zakończenie chciałbym przekazać wszystkim mieszkańcom Krakowa najlepsze życzenia noworoczne – dużo zdrowia, realizacji wszystkich małych i wielkich celów, a także wielu chwil radości i dużo optymizmu. A w wolnych chwilach zapraszam do Katowic!



Zdjęcie: © Wikimedia Commons

Marcin Tomasz Krupa (ur. w 1976 roku w Katowicach) – absolwent Politechniki Śląskiej i doktor nauk technicznych, radny Rady Miasta Katowice, zastępca poprzedniego prezydenta Katowic Piotra Uszoka, samorządowiec i nauczyciel akademicki, od 2014 roku prezydent Katowic, od roku 2017 przewodniczący Zgromadzenia Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii.

Wszystkie dźwięki Kazimierza

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Zapomnijmy na chwilę o rozpościerającej się nad Kazimierzem pandemicznej ciszy i przyśłuchajmy się dźwiękom żydowskiej dzielnicy, które wypełniają w normalnym czasie wszystkie jej zaułki. Pozwólmy, by w naszej wyobraźni nałożyły się one na panujący tu niegdyś gwar, który przypomni o przedwojennych mieszkańcach tutejszych kamienic.

Przykładając ucho do kocich łbów ulicy Szerokiej, na pewno usłyszymy zakłętę w bruku odgłosy. Zaszleszczą nam w uszach poły chałatów pobożnych Żydów, spieszących na modlitwę do synagogi. Dobiegnie nas podniesiony głos sklepikarza, targującego się z upartą klientką, która chce taniej kupić naftę dla synów, by przy jej płomieniu pilnie studiowali Talmud. Odwrócimy głowę, słysząc dochodzący z podwórka metalowy odgłos wiader, które kobiety wyciągają z głębokich studni, a potem ich głuche uderzenia o ziemię, kiedy odstawiają je na progu sieni, by poplotkować z sąsiadkami. Nie krępujemy się i przystańmy przy nich, by posłuchać, o czym mówią, choć niewielu z nas zna jidysz i trudno będzie nam zrozumieć, o czym toczy się rozmowa.

Możemy się tylko domyślić, że Ryfka właśnie opowiada Chaji, iż udało jej się taniej zrobić zakupy u Natana handlującego rybami na targu pod synagogą Izaaka. Chaja nie chce być gorsza i chwali się koleżance, że dostała dziś na placu Nowym piękną kurę. Zabił ją dla niej rzezak, który od dawna patrzy jej zalotnie w oczy. Było miło jednak tylko przez chwilę, bo później musiała wykłócać się z babą, która niezbyt dokładnie oskubała drób. Ale te praktyczne sprawy zaraz pójdą w niepamięć, bo Ryfka zacznie się zastanawiać, kiedy to ich wspólna przyjaciółka Liba wybierze się do mykwy. Przecież to już jutro ma stanąć pod chupą z Herzlem, synem krawca z Miodowej.

Mykwa, z której dochodzą klezmerskie dźwięki

Mogłabym jeszcze długo przysłuchiwać się dziewczynom, którym niespecjalnie spieszy się do czekających je w domu obowiązków, ale przyszedł czas, by zajrzeć do rytualnej łaźni. Wielką Mykwę wzniesiono przy ul. Szerokiej 6 już w 1567 roku. W jej podziemiach znajdował się zbiornik z wodą, w którym zanurzali się Żydzi, nie tylko przywracając świeżość ciała, ale i duszy. Szczególnie ważne było to dla kobiet wychodzących za mąż. Przed ślubem panna młoda musiała obowiązkowo oczyścić się w mykwie, co później, już jako mężatka, powtarzała regularnie po każdej menstruacji. Inaczej mąż nie mógłby się do niej zbliżyć, więc po Kazimierzu nie biegłoby tyle Icków, Rachel czy Esterek.

Dziś nie słychać tu plusku wody. Niemcy podczas II wojny światowej kompletnie zdewastowali budynek, choć w podziemiach zachował się kształt basenu kąpielowego. Gdy chce się go zobaczyć, wystarczy poprosić o pokazanie imponujących piwnic Wojciecha Ornata, właściciela znajdującego się w tym miejscu hotelu i restauracji Klezmer Hois. – Kiedy przejmowałem to miejsce, od razu przysłała mi do głowy nazwa Klezmer Hois. Po żydow-

sku oznacza to dom klezmera. Przez wiele lat był to dom mojego przyjaciela Leopolda Kozłowskiego, którego wszyscy nazywaliśmy Ostatnim Klezmerem Rzeczypospolitej – tłumaczył mi niegdyś Wojtek. Ilekroć sobie to przypominam, staje mi przed oczami stół schowany w kącie restauracyjnej sali, przy którym codziennie zasiadał pan Leopold.

Zawsze zamawiał gęsie pipki, które przypominały mu smak kuchni jego mamy w Przemyślanach, i snuł historię swojego barwnego życia, no i muzyki klezmerskiej, w której był zatopiony bez reszty. – Wyssałem ją z mlekiem matki. Tej żydowskiej muzyki nie sposób się nauczyć w najlepszym nawet konserwatorium. To tradycja przekazywana z dziada pradziada. Trzeba mieć ją we krwi. Klezmer wie, w co ubrać nutkę, jakim otoczyć ją uczuciem, jak załkać, gdzie dać tryl. Zawsze mówiłem moim uczniom, żeby odsunęli od siebie pulpity z nutami, a przybliżyli instrumenty do serca. To serce dyktuje rytm, którym opowiadamy o naszych żydowskich smutkach i radościach – opowiadał mi pan Leopold, którego, niestety, nie ma już z nami. Ale została jego muzyka, snująca się po tajemniczych wnętrzach Klezmer Hois. Można ją dostać na płytach sprzedawanych w mieszczącej się tu obecnie księgarni oficyny Austria.

To prawdziwe zjawisko na mapie wydawniczej Polski. Nigdzie indziej nie znajdziecie tak mądrych, wyrafinowanych książek, publikowanych w zachwycającej szacie graficznej. Znajdują się wśród nich dzieła autorów żydowskich, ale też Josepha Rotha, którym zafascynowany jest Wojciech Ornat. Na półkach kryją się nie tylko ich wznowienia, ale też nowe tłumaczenia oraz pozycje, które do tej pory w Polsce się nie ukazały. Miłość wydawcy do Włoch, Francji i Izraela połączyła go z wyjątkowymi pisarzami, jak nieżyjący już niestety Adam Wodnicki, Piotr Paziński, Jarosław Mikołajewski czy Marek Zagańczyk. Ich książki, a także książki wielu innych twórców wypełniają regały sali, w której niegdyś na fortepianie grywał Leopold Kozłowski. Wśród ogromnej liczby tomów w oczy rzuca się seria *Książek do pisania*. Składają się one z czarno-białych zdjęć i fragmentów utworów oraz czystych kartek do własnych literackich refleksji. Nieskromnie dodam, że z prawdziwą przyjemnością biorę do ręki *Książkę do pisania* poświęconą miesięcznikowi „Kraków”.

Cmentarna cisza przerwana modlitwami chasydów

A z Klezmer Hois jest niedaleko do wciąż czynnej synagogi Remu, gdzie do dziś słychać modlitwy pobożnych Żydów. Stają się one nieco głośniejsze, kiedy w rocznicę śmierci Mojżesza Isserlesa, zwanego Remu, przyjeżdżają tu chasydzi z całego świata. Wy-



Janusz Makuch (z lewej)

znawcy słynnego XVI-wiecznego talmudysty i filozofa pielgrzymują do jego grobu, który znajduje się obok synagogi. Zazwyczaj jednak panuje tu cisza, która jest muzyką tego miejsca. Można się tu zadumać, przechadzając wśród renesansowych i barokowych nagrobków i przypominając sobie legendę związaną z krakowskim rabinem.

Otóż obok miejsca jego spoczynku rośnie drzewo, które przykleiło się do starych kamieni. Według legendy, wyrosło ono z rękopisu, który zakopał tu Mojżesz Isserles, kiedy pewien przybysz w podzięce za gościnę ofiarował mu swoją książkę. Rabin już po pobieżnym jej przekartkowaniu zrozumiał, że duża część tomu jest identyczna z jego własnym dziełem, nad którym pracował latami. Rozczarowany zakopał swoje zapiski w ziemi, zostawiając tylko niewielką ich część, z komentarzami, których nie znalazł u konkurenta. Remu zachował się honorowo, dlatego drzewo, które z nich wyrosło, otoczyło jego grób opieką. Kiedy pielgrzymujący do niego chasydzi chcieli je ściąć, rozpętała się taka burza z piorunami, że zaniechali tego pomysłu. Podobnie nie udało się zlikwidować nagrobka talmudysty Niemcom. Drzewo ukryło go w swoich gałęziach.

Pięknie pisał o tym Henryk Halkowski w wydanej przez Austerię książce *Żydzi krakowscy*, oczywiście sceptycznie podchodząc do legendy i przytaczając naukowe fakty związane z bezspornie wielkim dziełem, które stworzył Mojżesz Isserles. Podobnie do legend ustosunkowany jest przewodniczący gminy żydowskiej Tadeusz Jakubowicz, dla którego istotniejsze jest to, że grób Remu jest wciąż otaczany

przez wiernych kultem. – Przyjeżdża tu wielu ludzi, którzy zostawiają na nim karteczki z prośbami do rabina. Musimy je co jakiś czas wyciągać ze szczeplin nagrobka. Postawiłem też tu skrzynki na świece. Palono ich tyle, że grób był cały osmolony – mówi.

Podziałało, a może po prostu ostatnimi czasy zmniejszyła się liczba pobożnych Żydów pielgrzymujących na Kazimierz. Niegdyś chasydzi z Izraela i Ameryki przylatywali do Krakowa gremialnie, czasami czterema samolotami, i wszyscy równocześnie udawali się na stary cmentarz. Potrafili, nie zważając na nic, stłoczyć się na noc w synagodze Remu, by odpocząć tu przed drogą do grobu cadyka w Leżajsku. – Co mogłem w takiej sytuacji zrobić? Przecież nie zabronię modlić się w synagodze? Tym bardziej że synagoga Remu od zawsze należała do ortodoksyjnych Żydów. Ja z rodzicami chodziłem do postępowej świątyni, czyli do synagogi Tempel – wyznaje Tadeusz Jakubowicz, a my za jego radą przenosimy się właśnie tam, na ulicę Miodową.

Heretycka muzyka rozbrzmiewa w synagodze Tempel

Kiedy w 1862 roku otwierano synagogę Tempel, nie wszystkim był w smak jej w reformowany charakter. Janusz Makuch nic jednak na ten temat nie wiedział, gdy w latach 80. XX wieku pojawił się na Kazimierzu. Ówczesny student polonistyki szukał tu śladów interesującej go kultury. – Pamiętam, że była jesień, zmierzchało. Wśród zaniedbanych murów ówczesnego Kazimierza dostrzegłem charakterystyczny budynek. Zastukałem do drzwi, ale nikt mi



Anna Jeziorna

nie otworzył. Zacząłem obchodzić synagogę Tempel dookoła i doszedłem do przylegającego do niej budynku. Paliło się w nim światło. W drzwiach stanął postawny mężczyzna, który widział tylko na jedno oko. Spojrzał nim na mnie, a ja zapytałem, czy mogę wejść? Odsunął się i uchylił mi drzwi. Okazało się, że w ten szabasowy wieczór znalazłem się domu modlitewnym – opowiada.

Spotykano się w nim, ponieważ nie opłacało się dla takiej garstki Żydów, jaka została po 1968 roku w Krakowie, ogrzewać całej synagogi. Sytuacja zmieniła się dopiero w latach 90. ubiegłego stulecia, kiedy to Janusz Makuch razem z Krzysztofem Gieratem zorganizowali pierwszy Festiwal Kultury Żydowskiej. Z biegiem czasu zaczął on przyciągać mieszkających za granicą dawnych mieszkańców Kazimierza i ich potomków. Odwiedzali oni wyremontowaną już synagogę Tempel, słuchając tu najlepszych festiwalowych koncertów.

Początkowo rozchodziły się po świątyni głosy kantorów i dźwięki instrumentów klezmerskich. Jednak festiwal ewoluował i coraz częściej zamiast tradycyjnej żydowskiej muzyki pojawiały się nieco współczesniejsze gatunki. – W Nowym Jorku nastąpił wówczas jej renesans, a ona sama przesuwała się w stronę bardziej awangardowych, jazzowych brzmień. Klezmerics, Andy Statman Trio, Conservatory Klezmer Band czy David Krakauer nagrywali swoje najlepsze płyty, a myśmy robili wszystko, by ściągnąć ich na Kazimierz. Podobnie jak wykonawców takich jak Shlomo Bar, w którego muzyce słychać zarówno mozaikę wielu kultur,

ducha pustyni, jak i brzmienie Jeruzalem – mówi Janusz Makuch.

Z biegiem czasu gust dyrektora festiwalu coraz bardziej się radykalizował, a publiczność podążała za nim, zachwycając się heretycką muzyką, jak określa nowe żydowskie dźwięki dyrektor festiwalu. Jednak ostatnimi czasy powierzył on, przynajmniej częściowo, odpowiedzialność za stronę muzyczną czerwcowych spotkań na Kazimierzu młodemu współpracownikom, którzy zaczęli sprowadzać grupy reprezentujące jeszcze bardziej nowoczesne nurty. Niezmiennie jednak Janusz Makuch wychodzi sam na scenę, ubrany w białą koszulę, jarmułkę i opowiada o magii żydowskich dźwięków, jak i o miejscach, w których dziś się rodzą.

Pieśni Mordechaja Gebirtiga wydobywają się z otwartych na oścież okien dzień i noc...

Żydowską muzykę usłyszymy też, kiedy z synagogi przejdziemy na pobliską ulicę Berka Joselewicza. Pod numerem 5. znajduje się tablica poświęcona Mordechajowi Gebirtigowi. Wystarczy spojrzeć niżej i zbliżyć się do okien sutereny, które są otwarte dzień i noc, z wyjątkiem mroźnej zimy. Zobaczymy tam biedne, zakurzone wnętrza, z wiszącymi na ścianach skanami rękopisów wierszy i zdjęciami znakomitego żydowskiego poety. Dom, w którym mieszkał, wciąż żyje swoim życiem. Dzieje się tak za sprawą Anny Jeziornej, która sama przedstawia się jako bliska sąsiadka Mordechaja. I rzeczywiście nią jest, gdyż zaraz za rogiem, przy ul. Brzozowej prowadzi Galerię 2 Świat oraz Szkołę Kaligrafii.



Leopold Kozłowski i Wojciech Ornat (z prawej)

– Wstyd mi, że tak późno, bo dopiero na studiach dowiedziałam się o istnieniu Mordechaja Gebirtiga. Nie miałam pojęcia, że był, że cały Kazimierz śpiewał jego piosenki, że jest w nich zapisane żydowskie życie takie, jakie znał, że był ważną postacią dla kultury jidysz. Całe życie mieszkał na Kazimierzu, był stolarzem, aktorem, działaczem społecznym, bardem. Pracował w składzie mebli swojego brata, miał żonę Blumę i, tak jak ja, trzy córki. Staram się dowiedzieć, jak oni żyli i jak zginęli. Szukam w archiwach śladów ich obecności. To jest dla mnie ważne – opowiada Anna, która staje na głowie, by przybliżyć dzisiejszym mieszkańcom i turystom postać barda żydowskiego Kazimierza.

Na razie nie może pokazywać znajdującego się w oficynie na pierwszym piętrze małego mieszkania, w którym mieszkali Gebirtigowie. Stworzyła więc w suterenie, w miejscu, gdzie kiedyś musiał być dom jakiejś żydowskiej rodziny, przestrzeń na pograniczu instalacji i scenografii teatralnej. To Poetycki Warsztat Mordechaja Gebirtiga. Jeżeli zadzwonicie do Anny, chętnie oprowadzi po tej ubogiej izbie i opowie o pieśniarzu z Krakowa, którego utwory wykonuje się dzisiaj na całym świecie. Założyła jego stronę internetową, zamontowała też skrzynkę na listy z nazwiskiem poety. Każdy może do niego napisać list i... wysłać maila. Dzięki temu poznaje ludzi, którzy uzupełniają jej wiedzę na temat barda i stają się jej przyjaciółmi.

– Tak poznałam pana Nahuma Manora, człowieka, który osobiście znał Gebirtiga, gdyż jego ojciec wydał pierwszy tomik jego wierszy – opowiada Anna,

a ja zostawiam ją z piosenką *Bywaj zdrów, mój Krakowie*, która wciąż dźwięczy mi w uszach, kiedy wracam do Klezmer Hois.

*

Siadam tam przy starym, drewnianym stole, zamawiam nadziewane gęsie szyjki z kuglem ziemniaczanym i czuję się bezpiecznie jak w domu mojej babci. Na deser proszę o paschę i jeszcze jedną herbatę purimową. Jej zapach i rozgrzewająca moc przywołuje duchy ludzi, którzy przysiadają na sąsiednich krzesłach. Jest rozkrzyczany sprzedawca nafty, jest Ryfka, Chaja i Liba, która zaraz stanie pod chupą z Herzlem, synem krawca z Miodowej. Jest Mordechaj Gebirtig, który rozgląda się za swoimi córkami. Chce, żeby wróciły do domu, bo Bluma potrzebuje pomocy przy praniu. Ci ludzie żyją wciąż swoim życiem w murach Kazimierza, choć naziści zrobili wszystko, by zrównać z ziemią ich świat. On się jednak odrodził i stał naszym wspólnym dziedzictwem.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...



„Żydowscy adwokaci przedwojennego Krakowa”

Bartosz Heksel
Wydawnictwo EMG
Kraków 2020



Wojciech Kapela, grafika cyfrowa, cykl *ArchVint seria III*

PRL: ideologia czy tradycja?

Tekst: Krzysztof Jakubowski

Często dzisiaj używany termin „dziedzictwo” w czasach PRL funkcjonował raczej incydentalnie.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Kraków wyszedł z wojny i okupacji stosunkowo obronną ręką. Po 1945 roku zadania konserwatorskie znalazły się w gestii państwa i jego zcentralizowanych organów. Gwarancję ciągłości w opiece nad zabytkami miasta dawała osoba Bogdana Tretera, którego zasługą (jeszcze przedwojenną) było między innymi wpisanie do rejestru zabytków układów urbanistycznych Krakowa w granicach Plant oraz Kazimierza ze Stradomiem. Treter powrócił na swe stanowisko, jednak śmierć szybko przerwała jego kolejną misję. W latach 1946–1951 funkcję tę przejął Józef Dutkiewicz, artysta malarz i zarazem konserwator zabytków.

Nowa władza zajęta problemami natury polityczno-organizacyjnej początkowo nie ingerowała w tak przyziemne kwestie jak ochrona zabytków, pozostawiając rzecz fachowcom. Cóż z tego, kiedy uregulowania prawne – jak na przykład dekret *O publicznej*

nawet mieszkalne (*sic!*). Jedną z pierwszych ofiar był najbardziej znany i eksponowany fort wokół kopca Kościuszki, którego częściową rozbiórkę rozpoczęto już w 1947 roku. Wyszadzono wówczas chroniące fosy kaponiery i rozebrano sąsiadujący z nimi od strony południowo-zachodniej bastion.

Dopiero w połowie lat 50. na skutek licznych protestów, nie tylko ze strony środowisk konserwatorskich, zaprzestano dalszej dewastacji solidnych na szczęście fortyfikacji. Był to spory sukces, bo drugiego fortu o charakterze cytadelowym, wzniesionego wokół kopca Krakusa, nie udało się niestety uratować.

Innym przykładem bezsensownej rozbiórki prowadzonej w latach 1956–1958 (problematyczny „odzysk” cegły dla Warszawy) był fort Krowodrza. Dopiero kilkanaście lat później urządzono na jego miejscu park im. Wyspiańskiego, w przyjaznym sąsiedztwie ogródków działkowych.

Ciekawym przykładem ówczesnego stosunku do dziedzictwa był pancerny fort typu górskiego Skała, gdzie w latach 1961–1964 urządzono Obserwatorium Astronomiczne Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zasadniczym mankamentem tamtej, ze wszech miar udanej, potrzebnej adaptacji był demontaż i zniszczenie głównego atutu fortu, unikatowej wieży pancernej systemu Grüssona. Obrotowa wieża o ręcznym napędzie, wyposażona w dwa działa kaliber 120 mm, była jedyną ocalałą na terenie Polski i jedną z nielicznych w Europie.

Dokonania bardziej i mniej udane

Spośród prac wokół zaniedbanych budynków uniwersyteckich najbardziej spektakularna była żmudna restauracja Collegium Maius (1949–1964), którą wyjednał u władz Karol Estreicher. Ta trudna operacja polegała na przywróceniu Collegium kształtu sprzed XIX-wiecznej przebudowy, a tym samym pozbycie się neogotyckich naleciałości wszędzie, gdzie tylko było to możliwe. Przy okazji usunięto stamtąd i przeniesiono na Planty pomnik Kopernika, który nie bardzo pasował do koncepcji pryncypialnego profesora.

Rewaloryzacja nie była pustym hasłem i począwszy od drugiej połowy lat 50., wykonywano zalecane prace na mocy uchwał rządowych i Rady Narodowej Miasta Krakowa. Inną sprawą była niska jakość tych prac, a niekiedy skandaliczny wręcz brak nadzoru konserwatorskiego. Przykłady zwykłej fuszerki można mnożyć. W odnowionych, oddanych do użytku Sukiennicach (rok 1959) przeciekał szklany dach, a kontrowersyjny (wykuszel!) remont wieży Ratusza trwał aż sześć lat.

Do zjawisk mniej korzystnych zaliczyć należy ekspansję reklamy neonowej, szczególnie widoczną w latach 1958–1965. Posiadanie neonu stało się

Istotnym momentem w rewitalizacji miasta było powołanie w 1978 roku Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Jego podstawowym źródłem finansowania był i jest budżet państwa, przy wsparciu osób prywatnych i instytucji.

gospodarce lokalami – forsowane przez ówczesny system godziły w prywatną własność. Już wkrótce wielowiekowe kamienice pozbawione naturalnych gospodarzy zaczęły popadać w ruinę. To wówczas utrwalił się nadzwyczaj żywotny stereotyp: państwowe znaczą niczyje.

Po eliminacji kamieniczników przyszedł czas na kupców, przedsiębiorców czy restauratorów, którzy w latach 1949–1950 polegli w tak zwanej bitwie o handel. Równoczesna likwidacja samorządu lokalnego sprawiła, że miasto straciło ekonomiczną niezależność wraz z całym majątkiem komunalnym.

Priorytet, jakim szybko stała się budowa Nowej Huty, sprawił, że w Krakowie, nie działało się nic szczególnego. Wyjątkiem były może zmiany nazw ulic i placów na bardziej wymowne ideologicznie. Według nowych pryncypiów urząd miasta przecież nie mógł mieścić się na placu Wszystkich Świętych, a komitet PZPR przy ulicy św. Tomasza. Nazwy zatem zmieniono – odpowiednio na plac Wiosny Ludów i ulicę Solskiego.

Forty (i cegła!) na celowniku

Czasy po II wojnie światowej nie były łaskawe dla ocalałych poaustriackich fortów, pełniących wówczas na ogół funkcje magazynowe, a początkowo



Karol Estreicher, w mundurze majora WP, z jedną z rzeźb rewindykowanego ołtarza Wita Stwosza, fot., 1945, Karol Szczeciński



Wieża artyleryjska Krzemionki (wyburzona w 1957 roku), w trakcie pożaru dachu w 1933 roku. W latach 1965–1968 zbudowano w tym miejscu ośrodek TVP Kraków, fot., 1933, NAC

niejako punktem honoru, toteż prawie każdy większy sklep – nie wyłączając masarni czy pasmanteerii – starał się o jego instalację. Nie trzeba dodawać, że przy tej okazji pruto bezceremonialnie również zabytkowe fasady. Ta swoista moda spowodowała na tyle szybki obieg dokumentów, że Hanna Pieńkowska, ówczesny konserwator wojewódzki, powiadamiana była często jako ostatnia.

Ponieważ preferowano odnowę dużych bloków śródmiejskiej zabudowy, aby zrobić miejsce na plac budowy i ciężki sprzęt, burzono nierzadko wartościowe oficyny. Zdecydowanie ostrożniej postępowano z budynkami frontowymi w obrębie Plant, toteż w latach 1945–1990 odnotować można zaledwie cztery przykłady nowych realizacji: Bibliotekę Czarotorskich przy ul. św. Marka 19 (1959–1960), pawilon Biura Wystaw Artystycznych u zbiegu pl. Szczepańskiego i Plant (1960–1964) oraz blok mieszkalny przy ul. św. Tomasza 25 (1966). Ponadto dla kawiarni Literackiej ukończono betonowy pawilon przy ul. Pi jarskiej (1956), wzniesiony w stanie surowym jeszcze podczas wojny.

W niezdrowym pędzie ku nowoczesności niszczone też efektownie urządzone wnętrza. W 1966 roku podczas remontu kina Uciecha wypruto bezpowrot-

nie secesyjne dekoracje i wyposażenie z 1912 roku autorstwa Henryka Uziembły. Najbardziej jaskrawym przykładem takiej remontowej demolki był los Grand Hotelu, bo pozostawiony bez dozoru budynek systematycznie rozkradano, a nawet dewastowano.

Smutny los apostołów z Grodzkiej

U progu lat 60. konserwatorski zapał obudziły zbliżające się obchody 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jego ofiarą padły posągi apostołów z ul. Grodzkiej. Niezbędne jest tu przypomnienie, że w latach 1715–1722 przed kościołem św. Piotra i Pawła powstało oryginalne ogrodzenie według projektu wybitnego architekta epoki baroku Kacpra Bażanki. Składało się na nie dwanaście kamiennych postumentów oddzielających dziedziniec świątyni od ulicy Grodzkiej. Wkrótce rzeźbiarz i snycerz rodem ze Szwabii, związany wtedy z Krakowem jezuita Dawid Heel, ustawił na nich odkute posągi dwunastu apostołów. Oddane naturalistycznie późnobarokowe figury, wzorowane na rzeźbie rzymskiej końca XVII wieku, szybko stały się jedną z atrakcji i osobliwości Krakowa. Wpływ czasu na strukturę plenerowej rzeźby jest nieubłagany, jednak nie ulega wątpliwości, że w tym konkretnym przypadku przyspieszo-



Neon sklepu mięsnego Fernando przy ul. Floriańskiej 51, widokówka, ok. 1968, archiwum Krzysztofa Jakubowskiego

na degradacja postępowała zwłaszcza od końca lat 40. ubiegłego wieku. To pyły przemysłowe i kwaśne deszcze sprawiły, że rysy apostołów, ich atrybuty i inne detale rzeźbiarskie stawały się coraz mniej czytelne. W 1959 roku zapadła decyzja o poddaniu ich konserwacji, a we wrześniu następnego roku zdemontowano z postumentu ostatnią figurę.

Już wówczas liczone się z tym, że być może niektóre rzeźby trzeba będzie odtworzyć. Ponieważ jednak doktryna konserwatorska nakazywała zawsze ratowanie oryginalnego dzieła, podjęto próbę odczyszczenia posągów z ponad dwuwiekowej patyny. Tymczasem upływały miesiące i lata, a posągi pozostawały w konserwacji. Były to lata 60., czas, jak wiadomo, niełatwy w stosunkach państwo-Kościół, toteż krakowianie zaczęli wkrótce szeptać, że tajemnicze zniknięcie figur jest zapewne jedną z represji ze strony władz. Jeżeli spektakularnie „aresztowano” kopię obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, to przecież to samo mogło spotkać dwunastu apostołów z ul. Grodzkiej...

Prawda była jednak bardziej prozaiczna: dziś wiadomo, że to podstawowe błędy w sztuce konserwatorskiej sprawiły, że posągi nie wracały na swe miejsce. Preparat na bazie kwasu zastosowany do

ich mycia okazał się po prostu zbyt agresywny dla wapienia pińczowskiego, z którego były wykonane. Kwas zniszczył krystaliczną kilkumilimetrową warstwę, która w naturalny sposób powstaje na tym kamieniu, a nowa już się nie wytworzyła. Mimo że już marcu 1961 roku przywieziono 14-tonowe bloki tego samego pińczaka, w którym odkute były oryginały, nikt nie kwapił się do podjęcia decyzji, czy mają być wykonane ich repliki. W tej sytuacji wszystkie figury zgrupowano pod zadaszeniem zabezpieczonym siatką przy ścianie kościoła od strony klasztoru Klarysek. Tkwiły tam, niszcząc, przez następnych 30 lat. Później przeniesiono je na mały dziedziniec za kościołem, a dopiero całkiem niedawno, w 2012 roku, zawieziono w celu konserwacji do Krzeszowic. Figury stojące dziś na postumentach są kopiami wykonanymi przez Kazimierza Jęczyńską w latach 1980–1987. Ich artystyczna jakość odbiega niestety od XVIII-wiecznego oryginału. Taki to już los wszelkich replik.

Komunikacja w historycznym centrum

Dopiero w latach 1952–1953 roku nastąpiła zasadnicza zmiana w komunikacyjnym kształcie tak zwanego ścisłego centrum: usunięto tramwaj z Ryn-



Parking wraz z ruchem kołowym przetrwał na płycie Rynku Głównego do lipca 1962 roku, archiwum Krzysztofa Jakubowskiego

ku Głównego i przyległych ulic. Rzecz zbiegła się – przypadkowo jednak – z powołaniem miejskiego konserwatora zabytków. Istotne było też przeniesienie dworca autobusowego z pl. św. Ducha na ulicę Pawią w roku 1957.

Wzmógł się ruch samochodowy sprawił, że podejmowano też nieprzemysłane decyzje, jak organizacja parkingu na płycie Rynku Głównego w 1959 roku, mimo że od kilku lat nieliczne auta zajmowały już plac Szczepański. Parking przetrwał tam do nieszczęsnego remontu rozpoczętego w lipcu 1962 roku i trwającego całe dwa lata. Po jego ukończeniu, w celu uporządkowania ruchu samochodowego, na kilku ulicach odchodzących od Rynku zaprowadzono ruch jednokierunkowy (między innymi na Siennej, Szczepańskiej i św. Anny).

Niekorzystnym zjawiskiem drugiej połowy lat 60. było systematyczne asfaltowanie bruków z kostki na większości śródmiejskich ulic. Wieloletnie dysputy na temat ograniczenia ruchu samochodowego w ścisłym centrum zakończył dopiero definitywny zakaz wjazdu na Rynek wprowadzony w 1979 roku.

Na skraju nowej epoki

Istotnym momentem w rewitalizacji miasta było powołanie w 1978 roku Społecznego Komitetu Odnowy Zabytków Krakowa. Jego podstawowym źródłem finansowania był i jest budżet państwa, przy wsparciu osób prywatnych i instytucji.

Po boomie neonowym przez wiele lat kwestie reklamy nie budziły już takich emocji, chociażby ze względu na znikomy rozwój prywatnej przedsiębiorczości. Mimo to w latach 70. i 80. dość rygorystycznie traktowano kwestię reklamy wizualnej. Wszystkie projekty przechodziły wówczas przez biuro Głównego Plastyka, którym był w latach 1972–1990 Jerzy Napieracz.

Nadchodziła nowa epoka, a wraz z nią ożywienie gospodarcze, jeden z symboli nowych uwarunkowań ustrojowych. Wkrótce coraz trudniej było zapanować nad wszechobecną i na ogół chaotyczną reklamą w postaci szyldów, wysięgników i gablot.

*

Często używany dziś termin „dziedzictwo” w czasach PRL-u funkcjonował raczej incydentalnie. Ważny urząd administracji rządowej – resort Kultury i Sztuki – przeistoczono w Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, dopiero w 1999 roku.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Lublin

Tekst: Krzysztof Żuk **Zdjęcie:** Mikołaj Majda/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Lublina

Kaplica Świętej Trójcy na lubelskim Zamku to unikatowa gotycka świątynia ozdobiona malowidłami w stylu cerkiewnym.

Lublin jako miasto historyczne, Pomnik Historii, może się pochwalić wieloma wyjątkowymi zabytkami, dokumentującymi niezwykłą przeszłość naszego miasta. Podkreślamy wielokulturowe, wielowyznaniowe i wielonarodowe dziedzictwo Lublina, gdzie przez wieki żyli katolicy, prawosławni, protestanci i Żydzi. Społeczności chrześcijańskie są nadal obecne, a pamięć o żydowskim Lublinie jest przedmiotem naszej troski.

Chciałbym szczególnie podkreślić znaczenie Kaplicy Świętej Trójcy na lubelskim Zamku. Obok obronnego donżonu Kaplica zbudowana w XIV wieku stanowi pozostałość dawnego zamku, który był siedzibą królewską. Kaplica jest zabytkiem szczególnym, bo na początku XV wieku na polecenie króla Władysława Jagiełły, który często przebywał w Lublinie, artyści z Rusi ozdobili wnętrze świątyni, zbudowanej w stylu gotyku typowego dla zachodniej Europy, malowidłami w stylu cerkiewnym. Szczęśliwie to wspaniałe dzieło przetrwało do naszych czasów.

*

Kraków, piękne historyczne miasto, ma ogromną liczbę wspaniałych miejsc. Wawel, kościół Mariacki to miejsca, które zna każdy z nas. Dlatego chciałbym wspomnieć o obiekcie współczesnym, a mianowicie o kładce Ojca Bernatka. To przykład konstrukcji, która jest odpowiedzią na potrzeby mieszkańców współczesnego dużego miasta, czyli rosnącego udziału pieszych i rowerzystów w ruchu ulicznym. Niedługo w Lublinie oddamy do użytku podobny obiekt nad rzeką Bystrzycą, łączący Park Ludowy z pieszo-rowerowym nadbrzeżnym bulwarem.

*

Niech nowy 2021 rok będzie dla nas wszystkich łaskawszy i pełen nadziei, niech dodaje sił do pokonywania wszelkich trudności. Życzę wszystkim krakowianom przede wszystkim zdrowia, bezpieczeństwa i spokoju, które są nam teraz najbardziej potrzebne. Mimo obecnej trudnej sytuacji zachowajmy pogodę ducha. Wszystkiego dobrego.



Zdjęcie: Maciej Rukasz/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Lublina

Krzysztof Jan Żuk (ur. w 1957 roku w Krasnymstawie) – doktor nauk ekonomicznych na Uniwersytecie Marii Curie Skłodowskiej, ekonomista, samorządowiec, od 2007 do 2009 roku podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu Państwa, od roku 2010 prezydent Lublina.



Dr Wojciech Kapela jest absolwentem Wydziału Architektury Wnętrz krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Obecnie prowadzi tam Pracownię Inter-

mediów, ucząc studentów wykorzystywania środków multimedialnych w przestrzeni architektonicznej, oraz Pracownię Projektowania Graficznego.

Nomad w świecie cyfrowym

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec **Zdjęcie:** archiwum Wojciecha Kapeli

Multimedialna rzeczywistość jest środowiskiem naturalnym Wojciecha Kapeli. Dzięki temu my także możemy zanurzyć się w wykreowanych przez jego wyobraźnię przestrzeniach.

Gdy wchodzę do pracowni artystów, przeważnie trafiam do świata rozrzuconych w nieładzie pędzli, sztalug, rzeźbiarskich dłut czy osełek. Wojciech Kapela, zwany przez przyjaciół Wojem, zachowuje w swojej twórczości zdecydowanie większy ład. Może dlatego, że na artystyczny bałagan nie wystarcza mu przestrzeni. Cała jego pracownia to plecak. Niczym nomad wędruje z nim po różnych miejscach, wśród których prym wiodą krakowskie kawiarnie. Przysiada tu i tam, zamawia kawę i wyjmuje laptop. Dzięki niemu łączy się ze specjalnie oprogramowanym, domowym komputerem i stwarza multimedialne światy, które wciągają nas w cyfrową rzeczywistość. Jak bardzo, wie to każdy, kto choć raz widział wystawy współaranżowane przez Woja, spektakle, do których przygotowywał projekcje, czy filmy z wymyślonymi przez niego efektami komputerowymi.

Jak na artystę multimedialnego przystało Wojo porusza się swobodnie w różnych technikach i estetykach, tworząc stronę wizualną, dźwiękową i świetlną przestrzeni, które aranżuje. Jednak najpierw obrazy rodzą się w jego głowie. Zamiast jednak wziąć do ręki pędzel i przenieść je na płótno, co kiedyś namiętnie czynił, klika zawzięcie w klawiaturę, malując na ekranie poszczególne klatki. Pojawiają się one później w spektaklach w postaci projekcji, często animowanych, tak jak to było choćby *W zielonej krainie Oz*, która powstała niedawno w teatrze w Płocku, a do której scenografię i kostiumy projektował Krzysztof Małachowski. Aktorzy funkcjonowali w tej mieniącej się, pulsującej przestrzeni, a mali widzowie mieli wrażenie, że razem z bohaterami wędrują z jednego miejsca na drugie.

– Mojej kreacji nie ogranicza narzucony przez dyrektora teatru budżet. Jedynie ograniczenia mam w głowie. To, co stwarzam na ekranie, zależy wyłącznie od mojej wyobraźni – mówi Wojo, który potrafi rzeczywiście poszybować wysoko. Jeżeli widzieliście film *Anioł w Krakowie* Artura „Barona” Więcka, to przypomnijcie sobie stworzoną przez artystę iniryczną scenę, z wyczarowanym w komputerze impresjonistycznym pejzażem. Zachodzące słońce odbijało się tam w wodzie, po której swobodnie przechadzał się grający tytułową rolę Krzysztof Globisz.

Multimedialne projekty Kapeli sprawiły, że na wystawie poświęconej Andrzejowi Wajdzie w Muzeum Narodowym w Krakowie, którą zaprojektował Tomasz Wójcik, widzowie stawali się bohaterami filmów reżysera. Siedząc na czerwonej kanapie, patrzyli na otaczające ich z każdej strony projekcje, pokazujące, jak dyrygował on aktorami na planie. Odnosili w ten sposób wrażenie, że są w środku dzieła, tuż obok jego twórcy.

– Wybrałem fragmenty filmów, które pasowały do koncepcji tej części wystawy. Następnie prze-komponowałem tak poszczególne kadry, by rozbić płaskość obrazu. Dzięki temu materiał ten mógł zaistnieć w trójwymiarowej przestrzeni. To jest jak budowanie z klocków nowej jakości, czegoś na kształt kolażu filmowego. Myślę, że Andrzej Wajda zrozumiałby tę konieczność przetworzenia jego dzieł, by mogły się one odnaleźć w sytuacji wystawienniczej – twierdzi Wojo, który wciąga widzów do swojej gry, angażując ich zmysły i emocje na wielu poziomach.

Tak jak choćby w innej części tej samej wystawy, nazywanej strefą Piekła, gdzie odbiorca doświadczał wojennej traumy przez wkroczenie w świat takich filmów Wajdy jak *Lotna*, *Korczak*, *Kanał*, *Katyń*... Działo się to za sprawą ciemnego kanału, nawiązującego do podziemnych przejść, którymi przedzierali się uczestnicy powstania warszawskiego. Jednak nie miał on nic wspólnego ze scenograficzną dosłownością. Przekształcone, zmodyfikowane przez Kapelę fragmenty filmowych obrazów, wyświetlanych w ciemnej, klaustrofobicznej przestrzeni, sprawiały, że widz nie był już tylko biernym obserwatorem, ale całym sobą wchodził w interakcje z bohaterami obrazów.

Wrażenie na publiczności robią też przygotowywane przez Woja mappingi, czyli projekcje na fasadach budynków, takich jak Bunkier Sztuki czy Małopolski Ogród Sztuki. – W obrazach wideo zderzam naturalną płaszczyznę budynku z rytmem architektonicznymi, a to wszystko podbijam dźwiękiem i światłem – tłumaczy, a ja chcę wiedzieć, czy czasami opuszcza swoje cyfrowe światy. – Wyobraź sobie, że tak. Tworzę wtedy wielkoformatowe grafiki i robię zdjęcia. Fotografowanie zwierząt i ptaków jest moją pasją. Najchętniej podglądam ich życie w Biebrzańskim Parku Narodowym albo u ujścia Warty. Zасыwam się w krzakach i godzinami czekam, aż na horyzoncie pojawi się jakiś ciekawy okaz jelenia albo sowy – opowiada.

Jednak bezruch nie jest stanem naturalnym nomada. Kiedy taka sytuacja się przedłuża, Wojo wyciąga z plecaka laptopa i zaczyna klikać, zanurzając się w swoich cyfrowych światach.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Odpowiada Wojciech Kapela

Obrazy, jakie przywołujesz przed zaśnięciem?

Zima. Mróz. Biało i cicho. A ja człapię na nartach pod górę. Najczęściej jest to jednak, niestety, kalejdoskop z dnia minionego lub nadchodzącego, który mi w głowie wiruje.

Stan twojego umysłu, gdy budzisz się rano?

Przed pierwszą kawą boje się tam zaglądać.

Jakie miejsce na ziemi chciałbyś jeszcze odwiedzić?

Z tych, w których byłem, to Nepal. Nie zapomnę zapierającej dech scenerii himalajskich dolin, fantastycznych mieszkańców, pysznej, prostej kuchni... Ale są też miejsca, które planuję odwiedzić w przyszłości. Na mojej liście wypraw równorzędne miejsce zajmuje Nowa Gwinea, jak i dzikie zakola Bugu, Nidy czy Wisły. Są to miejsca, gdzie natura pozostaje nienaruszona przez człowieka.

Gdzie mógłbyś osiąść na dłużej?

Tu mam problem, gdyż dwie moje podstawowe potrzeby: kontakt z dziewiczą naturą i kontakt z ludźmi wzajemnie się wykluczają. Po za tym „osiąść” równa się nie być w innych miejscach, więc odpowiem na to pytanie pewnie nie znaję.

W jaki region świata nigdy nie chciałbyś wrócić?

Poza Australią i Antarktydą byłem na wszystkich kontynentach i nie ma miejsca, do którego nie chciałbym wrócić. Istnieją oczywiście wiążące się z nimi doświadczenia, których wolałbym uniknąć – choć w sumie i te z biegiem czasu tracą swój negatywny wydźwięk.

Czym dla ciebie jest stan wędrowania?

To stan, w którym oczy widzą więcej, uszy słyszą wyraźniej, a serce czuje bardziej. Chyba zabrzmiałem, jakbym cytował Paulo Coelho.

Kiedy osiągasz wewnętrzny spokój?

Rzadko.

Gdybyś mógł zmienić w sobie jedną rzecz, co by to było?

Aż tak kart nie odkrywam.

Gdybyś po śmierci miał odrodzić się jako inna osoba, kto by to mógł być?

David Attenborough. I tytuł „Sir” nie ma tu nic do rzeczy.

Czy jest zwierzę, w którego skórze chciałbyś być?

Tygrys syberyjski – nie tyle ze względu na imponującą postać, ile na metraż. Pojedyncze osobniki zajmują czasami ponad tysiąc kilometrów kwadratowych dziewiczego terytorium. A na marginesie: słaby czas dla zwierząt nastał i zamiana na skórę z jakimkolwiek mogłaby być dla nas traumatycznym doświadczeniem.

Przesąd, któremu się poddajesz choćby żartem?

Podnoszę z ziemi nawet jedną groszówkę.

Ważniejsze jest wchodzenie pod górę czy jej zdobycie?

Łatwe pytanie! Pewnie, że wchodzenie.

Jakie cechy najbardziej cenisz u mężczyzn?

Stalość charakteru.

Jakie cechy najbardziej cenisz u kobiet?

Kobiety i ich cechy wciąż pozostają dla mnie zagadką.

Jeśli Niebo istnieje, co chciałbyś usłyszeć, docierając do jego bram?

Jesteś wreszcie!

Jeśli Piekło istnieje, kogo byś tam chciał spotkać?

Hmm... Tak z nazwiska mam wymieniać?



Łódź

Tekst: Hanna Zdanowska **Zdjęcie:** z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Łodzi

Księży Młyn wciąż służy mieszkańcom.

Wierzę, że w czasie pandemii i zapaści lokalnych rynków turystycznych wzajemna solidarność jest nam potrzebna bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

*

Dziedzictwo bywa przez niektórych traktowane jak obciążenie. Bywa to w końcu problematyczne, gdy jesteśmy postrzegani jedynie przez pryzmat historii. Łódź i Kraków, choć na pozór tak różne od siebie, mają wiele punktów stykowych. To dwa największe miasta w Polsce po Warszawie. Oba z nich nie zniszczyły działania wojenne. Oba straciły na znaczeniu w okresie PRL i oba na swój sposób mierzą się z faktem bycia miastem historycznym, miastem określanym przez symbole przeszłości: Łódź przez dziedzictwo przemysłowe, a Kraków przez dziedzictwo architektoniczne gotyku i renesansu.

Nasze metropolie są jednak dowodami, że dziedzictwo nie jest i nie powinno być tylko ozdobną książką kurzącą się na półce. Wręcz przeciwnie: swoimi działaniami pokazują, że miasta są organizmami nie tylko „zarządzającymi” swoim dziedzictwem, lecz także kreującymi nową jakość, opierając się na niej. Tworzącymi synergię tego, co odeszło, z tym, co dopiero ma nadejść.

W mojej Łodzi przykładem takiego podejścia jest rewitalizacja, czyli przywracanie do życia terenów pofabrycznych i symboliczne włączanie dawnej estetyki w żywą i współczesną tkankę miasta, tak by nie ująć ani jednemu, ani drugiemu. Odnawiając Księży Młyn – dawne prywatne „miasteczko” fabrykanta Karola Scheiblera – szanujemy jego zabytkowy charakter, kładąc jednocześnie nacisk na komfort życia i wyjątkowy nastrój, który przyciąga tam zarówno mieszkańców, jak i turystów. Ten „polski Manchester” złożony z domów robotniczych, zabytkowego parku i budynków dawnych fabryk, szkół, biurowców, sierocińców, elektrowni czy straży pożarnej, jawi się dziś jako przestrzeń działania licznych pracowni artystycznych, firm z branży kreatywnej czy organizacji imprez plenerowych. Nie zwracamy historii kijem:

Księży Młyn wciąż służy mieszkańcom tak zwanych famułów, powracających po remontach do swoich starych mieszkań, ale otwiera się na wszystkich.

*

Mam też swoje ulubione miejsca w Krakowie: jednym z nich jest Mały Rynek z charakterystycznymi gotyckimi kamienicami i kościołem św. Barbary ukrytym jakby w cieniu „dużego” Rynku. Od kiedy Mały Rynek przestał być parkingiem samochodowym, wróciło na niego życie: koncerty, wystawy, obchody ważnych rocznic. A to wszystko z poszanowaniem historycznego charakteru miejsca, która udało się dzięki remontowi odzyskać.

*

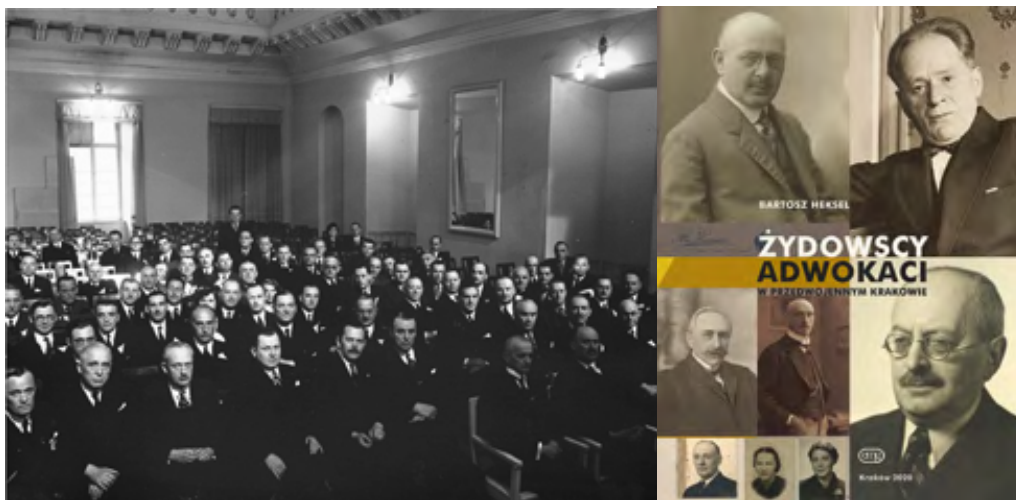
Kończąc, korzystam z okazji, by złożyć mieszkańcom Krakowa oraz czytelnikom magazynu najserdeczniejsze życzenia szczęśliwego, i przede wszystkim zdrowego Nowego Roku.



Zdjęcie: © Wikimedia Commons

Hanna Elżbieta Zdanowska z domu Aleksandrak (ur. w Łodzi) – inżynier środowiska, samorządowiec, polityk, posłanka na Sejm VI kadencji, od roku 2010 prezydent Łodzi.





Walny zjazd adwokatów RP w Krakowie, 1935 (aut. fot. nieznanym)

Między *numerus clausus* a Zagładą

Tekst: Krzysztof Jakubowski

W Galicji początków rozwoju nowoczesnej adwokatury opartej na ustroju samorządu zawodowego szukać należy w liberalnym trendzie, jaki dotknął też wymiar sprawiedliwości po wydarzeniach Wiosny Ludów 1848 roku. Już w sierpniu następnego roku wyszło zarządzenie cesarskie, które wprowadzało w Austrii prowizoryczny ustrój adwokatury oparty na ograniczonym samorządzie adwokackim, z mianowaniem adwokatów przez ministra sprawiedliwości.

Dopiero przemiany ustrojowe w monarchii Habsburgów zwieńczone konstytucją z grudnia 1867 roku przyniosły powstanie autonomicznych izb adwokackich. Wprowadzenie ustawy o postępowaniu karnym (1873) z dość liberalnymi przepisami proceduralnymi, dającymi szerokie gwarancje praw oskarżonego, sprawiło, że profesja adwokata stawała się coraz bardziej popularna.

Rozwój nauki prawa na uniwersytetach we Lwowie i Krakowie oraz wzrost kultury prawnej społeczeństwa sprawił, że przedstawiciele społeczności żydowskiej dość szybko zaczęli się garnąć do zawodu adwokackiego. Pod koniec XIX wieku liczba studentów Żydów na Wydziale Prawa UJ sięgała już 20 proc.

O ile w 1870 roku wśród 20 krakowskich adwokatów było zaledwie czterech Żydów, to w 1910 roku stanowili oni już ponad połowę ich ogólnej liczby. W 1914 roku na 172 krakowskich adwokatów już stu było pochodzenia żydowskiego. Doszło do tego, że w takich miastach jak Dębica czy Jaworzno wszyscy praktykujący adwokaci byli Żydami.

Ta nasilająca się tendencja sprawiła, że w odrodzonej Polsce uczelnie stosowały formalnie nieobowiązujący *numerus clausus* (zwłaszcza na kierunkach prawniczych

i medycznych). W latach 30. XX wieku w dynamicznie zmieniającej się sytuacji politycznej – szczególnie po śmierci J. Piłsudskiego – uczelnie stały się areną ostrych starć, prowokowanych przez nacjonalistyczne organizacje młodzieżowe. Pod ich naciskiem usankcjonowano w roku 1937 ministerialną decyzją tak zwane getta ławkowe celem uspokojenia sytuacji. W efekcie większość rektorów – mimo protestów środowiska naukowego i pozostałych studentów – zaprowadziła getta. Chlubnym wyjątkiem był Uniwersytet Jagielloński, którego rektor prof. Władysław Szafer nie poddał się szowinistycznej presji. Na pytanie, czy wyznaczenie mojżeszowe było jakkolwiek przeszkodą w byciu dobrym adwokatem-Polakiem, wypada zdecydowanie odpowiedzieć: nie! Teza ta jest historycznie potwierdzona i nie wymaga szczególnej egzegezy.

Wiele wątpliwości wyjaśnia książka Bartosza Heksela *Żydowski adwokaci w przedwojennym Krakowie* – ważny tytuł w zawsze drażliwej materii badań stosunków narodowościowych. Następni w kolejce czekają krakowscy lekarze żydowskiego pochodzenia...

Bartosz Heksela, *Żydowski adwokaci w przedwojennym Krakowie*, EMG, Kraków 2020.

Poznań

Tekst: Jacek Jaśkowiak Zdjęcie: z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Poznania

112 żeliwnych rzeźb liczy praca Magdaleny Abakanowicz *Nierozpoznani*, którą można zobaczyć w poznańskim Parku Cytadela.



Dbałość o dziedzictwo to nie tylko remonty zabytków, ale znacznie szerzej rozumiane, konsekwentne inwestowanie w kulturę i akcentowanie jej znaczenia w codziennym życiu miasta. Stąd bierze się moja – być może nieoczywista – rekomendacja dzieła, które nie tylko warto, ale wręcz trzeba w Poznaniu zobaczyć.

Dzieło, o którym myślę, to tak naprawdę 112 dzieł. Tyle żeliwnych rzeźb, przedstawiających pozbawione głów postaci, liczy praca Magdaleny Abakanowicz *Nierozpoznani*, którą można zobaczyć w poznańskim Parku Cytadela. Artystka miała do dyspozycji olbrzymią przestrzeń parku, ale świadomie zgrupowała rzeźby ciasno: można przejść się między nimi, by doświadczyć wrażenia bycia w tłumie. Figury są zwrócone w różnych kierunkach, co powoduje refleksję, że idąc wspólnie, tak naprawdę rzadko idziemy w tym samym kierunku. Kontekst *Nierozpoznanych* pozostaje otwarty i zależy od momentu w historii – dziś tłumy symbolizują desperację i wspólny niepokój o przyszłość, niewykluczający jednak różnych poglądów, i taki tłum widzę, patrząc na rzeźby Magdaleny Abakanowicz. Paradoksalnie, czuję wtedy nadzieję – bardziej niepokojący byłby dla mnie tłum postaci w równych szeregach, bezrefleksyjnie podążających w tym samym, zadekretowanym odgórnie kierunku.

Gdyby nie światowa epidemia, świat sztuki mówiłby dziś o wystawie Magdaleny Abakanowicz w londyńskiej Tate Modern. Planowano ją na czerwiec 2020 roku – nowa data nie została jeszcze ogłoszona, ale prawdopodobnie w przyszłym roku zbiegnie się ona z nadaniem poznańskiemu Uniwersytetowi Artystycznemu imienia artystki i wieloma wydarzeniami w Poznaniu z jej sztuką w roli głównej.

Nie mógłbym oczywiście poprzestać na zaproszeniu tylko do Parku Cytadela – najstarsze dziedzictwo miasta, a zarazem polskiej państwowości odnaleźć można na poznańskim Ostrowie Tumskim, gdzie obok monumentalnej katedry powstały nowoczesne przestrzenie pomagające w interpretacji zachowanego dziedzictwa: Brama Poznania i rezerwat archeologiczny Genius Loci. Niebawem zaprosimy mieszkańców i turystów także

do obejrzenia instalacji przestrzennej, obrazującej Palatium Mieszka i Dobrawy.

Ze względu na pełną funkcję patrzę na miasta w specyficzny sposób. Do zgłębiania historii Krakowa i zainteresowania nim skłoniła mnie lektura książki Jacka Olczyka *Życie literackie w Krakowie w latach 1893–2013*, pokazująca rolę i wpływ kultury na jego rozwój – to, jak z czasem zmieniała to prowincjonalne miasto w prężny ośrodek kulturalny. To była dla mnie inspiracja do zmian w Poznaniu.

*

Kraków odwiedziłem w 2020 roku dwa razy i to pozwoliło mi odkryć go na nowo, jako miasto nie tylko atrakcyjne turystycznie, z bogatą historią, ale też przyjazne do życia, rozwijające się i zmieniające się dla swoich mieszkańców. Rzeczy i rozwiązania, które dla mnie są obecnie najbardziej interesujące, są dość nietypowe. Jest to między innymi gospodarowanie odpadami czy rozwój parków kieszonkowych.

Moje, czysto osobiste rekomendacje są natomiast klasyczne. Najbardziej magicznym miejscem w Krakowie zawsze będzie dla mnie Kazimierz. Gdy odwiedzam to miasto prywatnie, zatrzymuję się zazwyczaj w hotelu Ester przy ulicy Szerokiej, niedaleko synagogi i Żydowskiego Muzeum Galicja. Urok tej dzielnicy to oczywiście nie tylko historia, którą czuć tu na każdym kroku. To także ciekawe życie artystyczne, galerie, świetne restauracje serwujące tradycyjną kuchnię żydowską i nie tylko. Zachęcam do odkrywania zakamarków Kazimierza, ale też innych dzielnic Krakowa, pokazujących jego bardziej nowoczesne oblicze.

*

Ten rok, który minął, był dla każdego z nas wyjątkowo trudny. Dlatego wszystkim mieszkankom i mieszkańcom Krakowa życzę przede wszystkim zdrowia, siły i dużo pozytywnej energii na kolejne miesiące. Gorące pozdrowienia z Poznania!



Zdjęcie: Paweł Matysiak/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Poznania

Jacek Jaśkowiak (ur. w 1964 roku w Poznaniu) – absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, polityk i przedsiębiorca, od 2014 roku prezydent Poznania.



Krakowski spleen Wojnarowskiej

Tekst: Witold Bereś Zdjęcie: Jacek Wrzesiński/za książką *Światoodczucie*

„– Przyjechałeś do Krakowa z...

– ...równiny mazowieckiej.

– I zostałeś. Dlaczego? Czego brakowało Ci w Warszawie?

– Aury. Ludzi. Odpowiedniego towarzystwa. Niekoniecznie tego z dużej litery. W Warszawie jest odrobinę większa nerwica. I ja jej ulegałem. Tu jest troszkę spokojniej. Oczywiście nie wszędzie. Czasami wydaje mi się, że aby zacząć tworzyć naprawdę, powinienem poszukać jeszcze spokojniejszych rejonów. Ale oprócz tego chodziło o kilka osób. Dosłownie kilka”.

Ten fragment rozmowy Elżbiety Wojnarowskiej z Michałem Zabłockim (*Kontrabanda*, miesięcznik „Kraków” 2011, nr 1) dobrze oddaje ton tej książki, ciekawi, rozpoznawalni krakowianie rozmawiają o kulturze, a w tle krakowski spleen.

Niektórych to irytuje, ja, przyznam, mam to zboczenie, że ten spleen mnie kręci – lubię listopadowe mgły i smętne poetyckie pieśni w Piwnicy pod Baranami.

Elżbieta Wojnarowska z wykształcenia jest przyrodnikiem, ale jest też pieśniarką i aktorką (m.in. należała do zespołu Teatru STU), autorką powieści, baśni dla dzieci, sztuk teatralnych i scenariuszy filmowych. Nieczęsto spotyka się tak intensywne połączenie wrażliwości artystycznej, poetyckiej z wielką empatią dziennikarską wobec rozmówcy i czystą, ludzką, humanistyczną skalą tematyki oferowaną czytelnikowi.

Co porządkuje cały ten zbiór? Ona sama pisze we wstępie, że „... jak mówi tytuł, światoodczucie właśnie. Każdy z bohaterów odczuwa świat na swój własny, niepowtarzalny sposób”.

Mnie się jednak wydaje, że ważniejszy jest w tej książce ton rozmowy, a nawet jeszcze mocniej: to, że autorka nie tyle odpytuje, ile umie słuchać.

A zadanie miała trudne, bo za sobą czterdzieści pięć rozmów i czterdziestu rozmów-

ców, bardzo różnych, trudnych, łatwych i spektakularnych.

Zaczyna się zatem od owego Zabłockiego (prawie dziesięć lat temu, kupa czasu) poprzez Sikorowskiego, Zagajewskiego, Krawczuka, Piaseckiego, Wodeckiego, Sołtysika, Stasiuka, Mleczkę aż po ostatnie wywiady z Zofią Zarębianką, Martą Wyką i Stanisławem Gałońskim.

Mnie jednak chyba najbardziej odpowiada rozmowa z Wojciechem Ligęzą, gdzie rozmówca nie owija w bawełnę i wali z dwururki we współczesną cywilizację oraz grafomanów rozmaitych. „Błędy: słowotoki bez dyscypliny formalnej, artystowskie teatralne gesty, kopiowanie jako inwencja. Samozadowolenie – czyli zbyt nikła metarefleksja. To tylko kilka pozycji z katalogu poetyckich wykroczeń”.

I jeszcze o dzisiejszych czasach: „Szept w konfrontacji z wrzaskiem nie ma wielu szans. (...) Dobre wiersze obliczone zostają na długie trwanie. Ich siła jest utajona. A zatem – ktoś wie, co będzie w przyszłości?”.

Elżbieta Wojnarowska, *Światoodczucie*, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków (przy wsparciu finansowym Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO, realizowanej przez KBF ze środków Gminy Miejskiej Kraków), Kraków 2020.



Rzeszów

Tekst: Tadeusz Ferenc **Zdjęcie:** Tadeusz Poźniak/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Rzeszowa

Już wkrótce znowu będzie otwarta Trasa Podziemna Rzeszowskie Piwnice.

Rzeszów, jako miasto, nie posiada znaczących samodzielnym atrakcji turystycznych, które mogłyby być miejscem docelowym osób z innych regionów Polski czy też gości zagranicznych chcących zwiedzić Rzeszowszczyznę. Jednak ze względu na świetne skomunikowanie autostradą czy lotniskiem w Jasionce jest bardzo znaczącym ośrodkiem tranzytowym dla turystów udających się w Bieszczady, do pobliskiego Łańcuta z pięknym kompleksem pałacowo-parkowym czy nawet w drodze do niedległowego Lwowa. Jeśli chodzi o największą atrakcję turystyczną samego Rzeszowa, czyli Trasę Podziemną Rzeszowskie Piwnice, to jest ona obecnie gruntowna przebudowywana oraz modernizowana i po zamontowaniu najnowocześniejszych rozwiązań audiowizualnych nabierze nowego wymiaru. Z pełną otwartością mógłbym zaprosić Państwa na niezwykle efektowne pokazy Fontanny Multimedialnej, które zawsze gromadziły tłumy obserwatorów, w tym także turystów spoza naszego miasta i województwa. Bardzo dużym zainteresowaniem wśród zwiedzających cieszy się Muzeum Dobranocek, unikatowa w skali kraju placówka. Odwiedzają je zarówno dzieci, jak i rodzice, przypominając sobie dawne dobranocki i filmy. Niestety, w dobie pandemii wszystkie te atrakcje są niedostępne dla odwiedzających ze względu na rygorystyczne obostrzenia.

*

Z Krakowem jestem bardzo związany emocjonalnie. Jako zawodowy piłkarz miałem grać w klubie GTS Wisła. Studia kończyłem na Uniwersytecie Ekonomicznym. Jednym z moich ulubionych miejsc był Barbakan, gdzie często kupowałem obrazy. Byłem częstym gościem w Grand Hotelu. To właśnie w Krakowie poznałem takich wspaniałych ludzi jak były prezydent

Krakowa Edward Barszcz, prof. Wawrzyniec Wierzbicki z obecnej Akademii Ekonomicznej czy znakomity rzeźbiarz Marian Konieczny. Miałem ogromną przyjemność przyjaźnić się z nimi.

*

Z okazji Nowego Roku proszę Państwa o przyjęcie najserdeczniejszych życzeń. Okoliczności zewnętrznie sprawiają, że w tym roku ten czas wymaga od nas wszystkich przemyślanego podejścia. Jestem absolutnie przekonany, że podobnie jak do tej pory, wykażecie się Państwo pełną odpowiedzialnością, nie zapominając jednak o ludzkiej solidarności i potrzebie niesienia pomocy, szczególnie osobom starszym, niepełnosprawnym i samotnym.



Zdjęcie: Tadeusz Poźniak/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Rzeszowa

Tadeusz Ferenc (ur. w 1940 roku w Rzeszowie) – ekonomista, polityk, poseł na Sejm IV kadencji, od roku 2002 prezydent Rzeszowa.



Wojciech Kapela, mapping na Bunkrze Sztuki

Koniec i początek

Tekst: Maria Malatyńska **Zdjęcie:** kadr z filmu *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy* (reż. Jan Holoubek), materiały prasowe dystrybutora

Co roku o tej porze powtarzamy ważny rytuał – i to w każdej dziedzinie: podsumowujemy osiągnięcia minionych dwunastu miesięcy, snujemy plany, cieszymy się z nowych możliwości, a zbliżający się rok to oczekiwana, nie do końca znana, ale zawsze inspirująca perspektywa.

Czy teraz również jesteśmy w stanie wykrzesać z siebie podobny optymistyczny porządek reakcji? Choćby niewielki? Mało prawdopodobne. Zresztą, czy można, czy wypada się cieszyć? Wszak „wampir”, który niemal od roku przechodzi przez nasz świat, nasz kraj, przez nas samych nie jest do końca siłą znaną i obłąskawioną. Idzie, sieje zarazę, pustoszy, pozostawia nas bezradnymi lub zbuntowanymi. Im dłużej jesteśmy razem, tym trudniej rozpoznajemy jego zasady, choć coraz mocniej doceniamy zwykłość i codzienność, którą utraciliśmy. Co może z tego wyniknąć?

W dziedzinie sztuki filmowej może to przynieść wiele artystycznych rezultatów. Trzeba się tylko na nowo zastanowić, czego potrzebujemy teraz od filmów? Odzwierciedlenia sytuacji? Uspokojenia? Optymistycznej perspektywy? Czy może wielkiej metafory niszczenia świata. Może nawet... końca świata? Wszak nie od dziś wiadomo, że dla kina wszelkie obrazy zniszczenia mogą być inspirujące i atrakcyjne. Przywołanie w tym kontekście postaci wampira ma sens, bo to jedna z tych ikon kultury masowej, która niemal od początku kina stała się najbardziej dekoracyjną metaforą siły niszczących świat. Wystarczy przypomnieć wampira najbardziej klasycznego, tego z ekspresjonizmu, a więc niemal sprzed stu lat, owego tragicznego Nosferatu, wykreowanego przez Friedricha Murnaua. Ale to nie znaczy oczywiście, że kino ma iść tą drogą, tworząc 248 adaptację klasycznego dzieła literackiego Brama Stockera. „Zgoda” na stałą obecność wampira jako symbolu zagłady to raczej akceptacja tradycji, że pewna postać i obrazy z nią związane były niegdyś tragiczną i trochę baśniową metaforą siły niszczącej świat, znakiem społecznego strachu, rozpacz, bezradności. Być może więc kiedyś było to wszystko „łatwiejsze” do pokazania. I aż szkoda, że teraz nie można skorzystać z takiej tradycji. Teraz kino, które przeszło różne stadia notowania rzeczywistości, od lat podąża realistyczną ścieżką wiwisekcji, rezygnując z metafory, poezji i baśni. Można nawet przyjąć, że jedyną formą budowania narracji, opowiadania zdarzeń staje się dosłowność. Ale czy dosłowność może mieć siłę syntezy?

*

Pandemiczna sytuacja, w której się znaleźliśmy, paraliżuje sztukę. I finansowo i myślowo.



Paraliżuje także jej odbiorców, którzy boją się iść do kina. Ale przecież filmy są. I chociaż ten rok produkcyjny stał się właściwie półroczem z pierwszymi dwoma miesiącami roku, a potem dopiero miesiącami od sierpnia do grudnia, to przecież łącznie z filmami wcześniejszymi, które nie zdążyły wejść do kina przed pandemią, powstała całkiem pokaźna ich liczba. Czy te filmy pokazują ja-

kaś wspólnotę doświadczeń? Dają jakąś pociechę w sytuacji bezwyjściowej?

Spójrzmy na kilka najgłośniejszych tytułów.

Oto sam początek, gdy jeszcze nie mogliśmy się podnieść z pandemicznego szoku – na ekrany wszedł film Jana Komasy *Sala samobójców. Hejter*. Opowieść o młodym, inteligentnym oszuście i cyniku, który wykorzystując każdą słabość nawet najbardziej przyjaznego mu otoczenia, działa głównie

propozycją osobową. Inni istnieją tylko po to, by on mógł po ich „trupach” podążać ku swoim celom. Jan Komasa, którego poprzedni film, czyli obsypane nagrodami *Boże Ciało*, pokazał, jak z niekonwencjonalnego zła zrodzić się może najprawdziwsze dobro, w nowym filmie nie pozostawił żadnej nadziei. Cynizm i oszustwo – to jedyna przydatna zasada życiowa. Zwłaszcza w filmowo pokazanym kraju, gdzie każdy do każdego zieje nienawiścią, każdy na każdego ma haki, a hak jest jedynym



po to, by budując własną karierę, zniszczyć tych „przyjaznych”, bo od losu dostali więcej. Taka irracjonalna złość budzi najgłębsze przygnębienie i nie daje nadziei. Odrażająca w swej charakterystyce twarz znakomitego przekonującego, młodego aktora Macieja Musiałowskiego, idealnie odbija ów świat bez moralności, zasad i honoru. Jego psychopatyczna osobowość staje się tu trochę jedyną

argumentem w kontaktach międzyludzkich i dlatego nie istnieje pojęcie wzajemnej pomocy, jakiegokolwiek współpracy, wspólnoty. Nawiązanie w tytule do pierwszej *Sali samobójców*, filmu Komasy sprzed dziewięciu lat, pokazuje, jak z upływem czasu coś, co było alternatywnym życiem, ucieczką od strachu i bezradności stało się jedynie zniewoleniem, szantażem, hejtem.

*

Gdy minęło kilka tygodni i powoli zaczęliśmy wychodzić z izolacji, a politycy radośnie wołali, że pandemii już nie ma i to oni właśnie zwalczyli wirusa, na ekrany trafił film *25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy*, operatora Jana Holoubka, debiutującego w reżyserii. Tym razem nie chodzi o hiperboliczny scenariusz z tezą i umiejętnością społecznej syntezy, wymyślony po to, by ludzi przestraszyć i przygnębić. Bo tym razem krzyczy sama rzeczywistość. Ten fabularny przecież i aktorski film, z rewelacyjną rolą tytułową mało znanego Piotra Trojana, tylko rejestruje fakty: gigantyczną, niczym niezasadzoną pomyłkę sądową, która spowodowała, że na 25 lat więzienia skazany został niewinny człowiek. Sprawa stała się głośna, gdy uparta i rzetelna trójka prawników doprowadziła do rewizji wyroku i powtórnego procesu, w wyniku którego tytułowy Tomasz Komenda został po osiemnastu latach zwolniony z niewinnionym z zarzutu gwałtu oraz zabójstwa nastolatki. Ponieważ stało się to w rzeczywistości, niemal na naszych oczach, mogło się wydawać, że film powstał zbyt wcześnie, ale jego wielkie powodzenie, nagrody, które otrzymał i siła rażenia autentycznego, głębokiego cierpienia człowieka, pokazanego tu pod prawdziwym imieniem i nazwiskiem, stała się przerażającym dowodem na osaczenie bezbronnej jednostki i na bezkarność aparatu władzy. Jasny przekaz-podejrzeń, że każda władza jest taka sama, niespodziewana aktualność rozważań o praworządności, korespondująca ze współczesnymi rozważaniami na te same tematy, wszystko to niespodziewanie umocniło ten film. Opowieść o barbarzyńskim zabranii człowiekowi młodości, gdy skazany 23-latek wychodzi z więzienia jako ponad 40-letni mężczyzna, niespodziewanie zmieniła przykład jednostkowy w poczucie systemowego zagrożenia.

Czy taki film mógł mieć jakikolwiek optymistyczny wydźwięk?

*

I znów minęły tygodnie, a może nawet miesiące, bo rzecz dotyczy nie tak dawnej, październikowej premiery. Tkwiliśmy wtedy, jak się wydawało, w samym środku rosnącej gwałtownie pandemii, która wskutek chaotycznych decyzji politycznych, zmieniających się z dnia na dzień, ba, z godziny na godzinę, wymknęła się spod kontroli, ludzie bali się wychodzić z domu, restrykcje były coraz dotkliwsze, liczba zachorowań i śmierci coraz wyższa... I w takiej sytuacji na ekrany wszedł nowy film Piotra Domalewskiego *Jak najdalej stąd*. Podobnie jak w swojej obasypanej nagrodami *Cichej nocy*, alternatywę dla życia w kraju reżyser znajduje w emigracji. W poprzednim filmie młody bohater, któremu rozsypało się życie, a rodzina okazała się zbyt bezradna wobec własnych trudności,

wyjeżdża do Londynu jako do obłąkawanego już rajy.

W nowym filmie – z owego domniemanego rajy, gdzie miały się spełniać sny o minimalnym choćby „bogactwie”, rajy tym razem mieszczącym się w Irlandii, sprawa otrzymuje wymiar ostateczny w swoich zawiedzionych nadziejach: bo „tylko” trzeba sprowadzić ciało ojca rodziny, który nawet po śmiertelnym wypadku pozostaje bez jakiegokolwiek pomocy finansowej. Osobą działającą jest nastoletnia córka, w brawurowym wykonaniu młodziutkiej debiutantki Zofii Stafiej. I znowu: ponure, biedne warunki polskie, los, który nie rozpieszczał nigdy polskiej rodziny, a z drugiej strony owa Irlandia. Z bliska – równie ponura, poddana tylko innym rygorom prawnym, a w niej grupka biednych, krańcowo zdeterminowanych Polaków, którzy w prymitywnych warunkach i w pracy ponad ludzką miarę realizują swoją nadzieję. I patrząc na to, silna i młoda dziewczyna, która dopiero teraz, po śmierci ojca – poznaje go. I zaczyna go rozumieć. Jakby w swoim bardzo odpowiedzialnym zadaniu staje się na naszych oczach nowym „ojcem rodziny”. Przywracającym nowy ład. U siebie, w swojej rodzinie, w Polsce.

*

To tylko trzy charakterystyczne filmy, które wiodły nas przez te ciężkie miesiące. Było ich w tym czasie oczywiście więcej, ale te obrazy są konkretną propozycją tematyczną i emocjonalną dla społecznych oczekiwań wobec tej sztuki. Propozycją jednostronną, ale wyrazistą, a więc może wymagającą odpowiedzi: czym powinno być kino teraz? W czasach pandemii, wobec „nieznanej przyszłości” i wobec naszej wyobraźni, podpowiadającej totalną zagładę. Czy powinno nas straszyć – czy uspokajać? Czy powinno pokazywać rzeczywistość, czy raczej nas od niej odrywać, bo może zgnębnym ludziom potrzebna jest komedia, a więc uśmiech, a może wyjście z „tego” życia i, na przykład, wędrówka po odległych rejonach przyrody i przygody? A może potrzebne jest kinu wejście w odległą historię, by znaleźć analogie? Wbrew pozorom to są teraz ważne pytania. Bo może zdecydować o tym, czy kino przetrwa. Czy przetrwa jako partner człowieka, czy też jako jego usypiająca bylejakość, na którą często szkoda czasu. Już dawno nie zastanawialiśmy się nad taką bardzo podstawową wagą prezentowanych opowieści ekranowych.



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



Szczecin

Tekst: Piotr Krzystek **Zdjęcie:** Adam Słomski/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Szczecina

Wały Chrobrego to ważny punkt miasta. Zwłaszcza gdy cumują pod nimi żaglowce z The Tall Ships Races.

Punktem obowiązkowym na mapie wycieczek w Szczecinie są Wały Chrobrego, czyli majestatyczne tarasy położone na skarpie, bezpośrednio przy Odrze. Nad nimi wznoszą się trzy charakterystyczne budynki – Akademia Morska, Muzeum Narodowe oraz Zachodniopomorski Urząd Wojewódzki. Stąd roztacza się przepiękny widok na rzekę, bulwary, port oraz stocznię. Najbardziej niesamowity klimat jest jednak wtedy, gdy do Szczecina przyplývają największe żaglowce świata i cumują właśnie u stóp Wałów Chrobrego. Najbliższa okazja ich podziwiania to przełom lipca i sierpnia 2021 roku. Odbędzie się u nas wtedy kolejny finał zlotu żaglowców The Tall Ships Races. Zapraszam!

*

Nie będę oryginalny: Kraków od zawsze kojarzy mi się z Rynkiem. Wiele miast Wam tego zazdrości, Szczecin także. Miałem przyjemność poznać Kraków bardziej w zeszłym roku. Spędzałem z rodziną kilka dni w Waszym pięknym mieście. Przewodnik pokazał nam wiele niezwykłych miejsc. W pamięci na pewno zapadnie mi Kazimierz.

*

Wszystkim mieszkańcom Krakowa życzę, by ten dziwny czas, jakim jest pandemia, skończył się jak najszybciej. Liczę, że wkrótce ponownie będziemy mogli bez przeszkód podróżować i poznawać uroki naszego pięknego kraju.



© Wikimedia Commons

Piotr Tomasz Krzystek (ur. w 1973 roku w Szczecinie) – prawnik (absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Szczecińskiego), polityk i samorządowiec, od roku 2006 prezydent Szczecina.

Styczeń-luty 1921 roku

Tekst: Krzysztof Jakubowski

✂ **1 stycznia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Wieczór sylwestrowy w Teatrze im. J. Słowackiego powtórzoną będzie w dzień Nowego Roku z tym samym programem; początek o godz. 11 w nocy. Wieczór ten oprócz solowych produkcji monologów i występów artystów w najdziwniejszych rolach zawiera także 1-aktówkę pt. *Strach przed kijem* J. Courteline’a i szopkę satyryczną p. J. Migowej pt. *Twardowski w Krakowie*. Conferencierem będzie p. Z. Nowakowski”.

✂ *Wspomniany wyżej conferencier – Zygmunt Nowakowski – to późniejszy dyrektor tegoż teatru i zarazem jego aktor, ponadto znakomity literat i felietonista, jedna z najbardziej popularnych i charakterystycznych postaci ówczesnego Krakowa.*

✂ **1 stycznia.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „W ostatnich czasach kradzieże maszyn do pisania przybrały w Krakowie epide-

Dekretem Naczelnika Państwa kolej została zmilitaryzowana. Na ulicach rozklejono odezwy przestrzegające, że odtąd za udział w strajku grozić może nawet kara śmierci.

miczne rozmiary. Miedzy innymi skradziono dwie maszyny w biurze opieki społecznej przy pl. Wszystkich Świętych 1 II p., dokonano nadto kradzieży maszyn w kilku kancelariach adwokackich oraz w biurach wojskowych. Sprawców dotychczas nie ujęto i maszyn nie odnaleziono, co budzi podejrzenie, że jest tu czynną jakaś zorganizowana szajka złodziejska, która wywozi je z Krakowa”.

✂ **2 stycznia.** „W uzupełnieniu notatki podanej onegdaj, należy dodać, że już od dłuższego czasu ustatła w naszym mieście epidemia duru plamistego, dzięki energicznemu oczyszczeniu ludności zawszonej. Nasilenie epidemii szkarlatyny wskutek wakacji szkolnych i bardzo energicznego izolowania chorych, nieco osłabło. Natomiast trwa i wzmagają się epidemia duru brzuszno, szczególnie w dzielnicach VIII i XXII” – odnotowała „Nowa Reforma”.

✂ *Tytułem wyjaśnienia: dur plamisty i brzuszny zwane też tyfusem, to choroby zakaźne o ciężkim przebiegu, różniące się czynnikiem etiologicznym. Do reformy w 1954 roku dzielnicą VIII był Kazimierz, a XXII Podgórze.*

✂ **3 stycznia.** „IKC” relacjonował wiec w sali „Sokoła” poświęcony plebiscytowi na Górnym Śląsku. Obecni byli między innymi gen Franci-

szak Latinik i gen. Karol Piasecki. W przyjętej rezolucji złożono hołd powstańcom śląskim, zobowiązując się także do udzielenia tamtejszej ludności niezbędnej pomocy.

✂ **5 stycznia.** „IKC” zamieścił *Ostrzeżenie*: „Wobec dochodzących mnie wieści, właściciel Kawiarni Teatralnej Emil Finder zamierza odstąpić tę kawiarnię wraz z lokalem osobom trzecim. Jako zastępca prawny właściciela realności ostrzegam nabywców przed kupnem kawiarni, albowiem wedle umowy z właścicielem realności, lokal kawiarni teatralnej nie może być ani odstąpiony, ani podnajęty, a to pod rygorem natychmiastowego rozwiązania umowy najmu. Dr Józef Maschler”.

✂ **6 stycznia.** Z kroniki „IKC”: „Kto by przypuszczał, kiedy jeszcze pod znakiem dwugłowego orła mieścił się przy ul. Mikołajskiej gmach dyrekcji policji, że kiedyś piwnice tego gmachu służyć będą za spichlerz dla złodziei. A jednak... Oto wczoraj późnym wieczorem policjant zauważył dwóch ludzi kręcących się koło resztek zabudowań tego gmachu, gdzie – jak się okazało – nałogowi złodzieje urządzili sobie w zakamarkach piwnicznych spichlerz, do którego znosili swe łupy. W czasie rewizji znaleziono tam 80 kg cukru oraz inne artykuły spożywcze pochodzące z kradzieży. W czasie aresztowania jeden ze złodziei zdołał zbiec, drugiego Władysława Sudera, zdołano doprowadzić i osadzić w areszcie „Pod Telegrafem”.

✂ *Dwupiętrową kamienicę przy ul. Mikołajskiej 32, mieszczącą do 1913 roku Dyrekcję Policji wyburzono dwa lata później. W latach 1922-1923, stanął tam najwyższy wtedy w mieście gmach Spółki Akcyjnej „Gródek”. Na przestrzeni lat miał on wielu użytkowników, między innymi Giełdę Pieniężną i lokalny komitet PZPR. Od roku 2000 zajmuje go Akademia Muzyczna.*

✂ **7 stycznia.** „Dwa wieczory tańców ekspresjonistycznych mające się odbyć w »Bagateli« w środę 5 bm. i w czwartek 6 bm., o godz. 11 w nocy, zapowiadają się doskonale. Wykonawcami będą słynni tancerze rosyjscy Borys i Katia Kandińscy, twórcy nowego kubistycznego kierunku w sztuce tanecznej. Artyści wystąpią na tle dekoracji futurystycznej, skomponowanej przez artystę malarza Zbigniewa Pronaszkę, w oryginalnych strojach odpowiednio uplastyczniających ich intencje, na tle muzyki Solmhofera i Scholza, stworzonej w duchu skrajnie nowoczesnych poglądów futurystycznych. Bilety na oba wieczory po cenach zwyczajnych sprzedaje już kasa teatralna” – reklamował „IKC”.

✎ **8 stycznia.** Komunikat z „IKC”: „Urząd do Walki z Lichwą przypomina, że pączki i chrust należą do ciast, których wypiek i sprzedaż są zakazane. Winni przekroczenia zakazu pociągnięci zostaną do odpowiedzialności, a towar ulegnie konfiskacie”.

✎ **12–20 stycznia.** Dzienniki rozpisywały się o napadzie na zakład zegarmistrzowsko-jubilerski Zahnów przy ul. Floriańskiej 31. Podczas napadu na miejscu zginęła Zahnowa. Jej mąż zmarł wkrótce w wyniku odniesionych ran w szpitalu. Liczne zaniechania i błędy popełnione w śledztwie sprawiły, że sprawców tej zbrodni nigdy nie ujęto.

✎ **12 stycznia.** Z kroniki „Nowej Reformy”: „Onegdaj podczas wieczornego przedstawienia *Moralności pani Dulskiej* w teatrze Bagatela, zdarzył się przykry wypadek. Oto w czasie drugiego aktu rozległ się nagle przeraźliwy okrzyk: »Gdzie moja żona!«. W teatrze powstał popłoch, który zwiększył się jeszcze bardziej, gdy ktoś zawołał »pożar!« i publiczność rzuciła się tłumnie ku wyjściu. Jak się okazało w pierwszych rzędach jakiś sierżant dostał ataku szału. Dopiero siedzący obok żołnierze zdołali obłąkanego obezwładnić i wyprowadzić z sali. Publiczność po dłuższej przerwie wróciła na swoje miejsca, a przedstawienie kontynuowano”.

✎ **14–15 stycznia.** Prasa przyniosła wiadomość o śmierci Konstantego Buszczyńskiego, konsula generalnego RP w USA, a także przemysłowca i współwłaściciela majątku ziemskiego Górka Narodowa.

✎ **15 stycznia.** Z rubryki policyjnej „Czasu”: „Onegdaj przybył do swojej narzeczonej, służącej u konduktora kolejowego Ligieri, zamieszkałego przy ul. Starowiślniej 44, Józef Samek szeregowy 8. pułku ułanów. Gdy Ligierowie wyszli z domu, a pozostały tylko dzieci i służąca, Samek pogasiwszy światła urządził seans spirytystyczny, podczas którego skradł z szafy futro, dwa garnitury i gotówkę, po czym zniknął bez śladu”.

✎ **22 stycznia.** „Nowości Ilustrowane” zamieściły fotoreportaż z uroczystości powitalnych urządzonych w Rynku Głównym na cześć VI Dywizji Piechoty. Przy tej okazji odznaczono 53 żołnierzy i oficerów orderami *Virtuti Militari*.

✎ **22 stycznia.** Farsą karnawałową *Raz na tydzień nocy* zainaugurował działalność kinoteatr „Warszawa” mieszczący się w dobudowanej oficynie kamienicy przy ul. Stradomskiej 15. Było to wówczas ósme kino Krakowa.

✎ *Dodać warto, że w 1933 roku kino otrzymało nazwę Atlantic, po ostatniej wojnie nazywało się znów Warszawa, a przed likwidacją (2004 r.), powróciło do nazwy Atlantic.*

✎ **22 stycznia.** „Nowa Reforma” odnotowała otwarcie nowego warsztatu sztuki kościelnej Wit Stwosz. Zakład prowadzony przez artystę rzeźbiarza Zygmunta Langmana, powstał z inicjatywy Związku Artystów Pol-

skich w Krakowie, a mieścił się w domu artysty, przy ul. Raclawickiej 19.

✎ *Niewielki, parterowy budynek pracowni przetrwał do dziś pod tym adresem, przy samej ulicy. W głębi parceli stoi stylizowana, częściowo drewniana willa rodziny Langmanów.*

✎ **25 stycznia.** Dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci wybitnego kompozytora, dyrektora krakowskiego Konserwatorium, Władysława Żeleńskiego, ojca Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

✎ **6 lutego.** Felietonista „IKC” przypomniał o nie tak dawnej legendzie – „wozie Drzymały”. Ta cenna historyczna pamiątka stała wówczas w zapomnieniu na jednym z podworców wawelskiego zamku. Felietonista zakończył krótką opowieść aktualną konkluzją: „Zajrzawszy do wnętrza wozu widzimy, że jest on całkiem przyzwoicie urządzony. Pokoiki wcale przestronne, kuchenka, wszystko *comme il faut*. Wczoraj oglądając ten wóz żałowałem, że nie mogę ulokować w nim swych znajomych, którzy chcą się pobrać, lecz nie mają 150 tys. marek na wynajęcie pokoju z kuchnią. O, jakby mnie błogosławili za taki wóz Drzymały!”.

✎ *Wóz, w którym – przypomnijmy – zamieszkał wraz z rodziną wyrugowany przez Prusaków ze swej ziemi Michał Drzymała – wykupiony został przez Wielkopolan i jako darowizna przewieziony w 1910 roku do Krakowa. Tu wpisano go do zbiorów Muzeum Narodowego i eksponowano w Barbakanie, później znalazł się na Wawelu. Kiedy Muzeum Narodowe w Poznaniu nie wyraziło chęci przejęcia pamiątki, sprzedano go w 1922 roku za symboliczną kwotę spedytoremu z Prądnika Czerwonego, zachowując jedynie pamiątkową tablicę.*

✎ **7 lutego.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj zawieziano Pogotowie Ratunkowe do hotelu Drezdeńskiego, gdzie zaczął się niejaki Stanisław Goryl, służący. Po zastosowaniu środków leczniczych, Goryla przewieziono do szpitala”.

✎ *Były to już ostatnie miesiące działalności jednego z najstarszych krakowskich hoteli, działającego w kamienicy Margrabskiej przy Rynku Głównym 47. Wkrótce dom zaadaptowano na biura Polskiego Banku Krajowego (od 1924 roku Bank Gospodarstwa Krajowego).*

✎ **13 lutego.** „Przy ul. Sławkowskiej 4 mieści się Fotoplastikon o wielkim znaczeniu dydaktycznym zwłaszcza dla uczącej się młodzieży. Tu na wiernych zdjęciach z natury powinien kształcić się umysł młody, a zwłaszcza w zakresie historii i fotografii. Grona nauczycielskie powinny kierować młodzież do tego zakładu, odciągając ją od innych nie zawsze godziwych rozrywek” – zachęcał „IKC”.

✎ *Choć fotoplastikony należały do rozrywek jeszcze XIX-wiecznych, w Krakowie urządzenie takie działało do wiosny 1969 roku, w oficynie przy ul. Szczepańskiej 7, od godz. 9 do 21, za bilet wstępu 2,5 zł. Ów fotoplastikon upamiętniony został rok wcześniej w 10 odc. Stawki większej niż życie. W latach 70. odkupiło go od ostatniej właścicielki obecne Muzeum*



Nieistniejący gmach Dyrekcji Policji u zbiegu ul. Mikołajskiej i św. Tomasza, fot. Muzeum Krakowa



Wnętrze kawiarni Teatralnej przy ul. Szpitalnej 38, w latach 30. i w czasach PRL-u restauracja o niezbyt dobrej sławie, dziś sklep spożywczy, widokówka, 1912, archiwum Krzysztofa Jakubowskiego



Zygmunt Nowakowski (1891–1963), pisarz, felietonista, reżyser i aktor teatralny, fot. ok. 1920, NAC



Rynek Główny i hotel Drezdeński, widokówka, 1907, archiwum autora

Krakowa. Ta starannie odnowiona maszyneria w secesyjnej obudowie, eksponowana była ostatnio w muzealnych wnętrzach dawnej Fabryki Schindlera.

✦ **16 lutego.** Prasa doniosła o otwarciu nowo wybudowanego domu noclegowego dla przyjezdnych Żydów, przy ul. Starowiślniej 93. Dom został zbudowany dzięki funduszom przekazanych przez Żydowski Komitet Amerykański, na gruntach подарowanych przez miasto. Dom mógł dać schronienie 219 osobom.

✦ *Niespełna kilka lat później prowizoryczny budynek stojący u zbiegu z ul. Wawrzyńca rozebrano. W 1933 roku stanęły w tym miejscu dwie bliźniacze kamienice (ul. Starowiślna 93a i 93b).*

✦ **17–18 lutego.** Redakcja „IKC” mogła poszczycić się zebraniem na plebiscyt górnośląski 1 128 796 marek, a samo wydawnictwo ofiarowało na ten cel 30 tys. marek.

✦ **22–25 lutego.** W związku z pojawiającymi się w prasie pogłoskami o planowanym strajku na kolei, a następnie wstrzymaniu się od pracy pewnej liczby pracowników, dekretem Naczelnika Państwa kolej została zmilitaryzowana. Na ulicach rozklejono odezwy przestrzegające, że odtąd za udział w strajku grozić może nawet kara śmierci.

✦ **24 lutego.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj o godz. 3 po południu na rogu ul. Dietla i Stradomia przejechał wóz jakiegoś żebraka. Po kilku minutach lekko uszkodzony żebrak wstał spod wozu i zażądał od woźnicy 100 marek odszkodowania. Między woźnicą a żebrakiem powstała sprzeczka, która zakończyła się aresztowaniem obydwu”.

✦ **24 lutego.** Wiadomość z tej samej kroniki: „Kurs rysunkowy dla szewców urządza dyrekcja Miejskiego Muzeum Przemysłowego. Zgłoszenia przyjmuje i informacji udziela kancelaria Muzeum (ul. Smoleńsk 9), do 25 bm., w godz. od 9 do 1”.

✦ **24 lutego.** Kolejna wiadomość z tejże kroniki: „Zamieszczony nekrolog o śmierci p. Adama Gronieckiego w numerze naszego pisma z dn. 22 bm., nadesłany został Admi-

Nowa ustawa o ochronie lokatorów została ogłoszona we wczorajszym numerze Dziennika Ustaw. Oprócz podwyżki zasadniczej opłaty za lokal, lokatorzy będą płacili za wodę, światło, wywóz śmieci, czyszczenie kominów i połowę wynagrodzenia dozorca.

nistracji przez złośliwe jednostki. Jak się informujemy z wiarygodnego źródła, p. Adam Groniecki jest obecnie na kuracji w Nervii we Włoszech i cieszy się najlepszym zdrowiem”.

✦ **27 lutego.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „Za pobieranie wygórowanych cen za potrawy skazano właściciela restauracji Grand Hotelu Jana Czernickiego na grzywnę 10 tys. marek lub osiem tygodni aresztu”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Anna i Jerzy

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Piotr Kubic/za zgodą Radia Kraków

Środa

Gigantyczna krowa o osiemnastu wymionach i rogach afrykańskiego bawołu – jedna z kuriozalnych gwiazd rozrywkowego programu *Kolej na was* komercyjnej stacji Centro Spacjale Televisio – zaryczy w nagle zapadłych w studiu egipskich ciemnościach, budząc na widowni salwy rechotu. I wtedy też, moment po krowiej arii, skulony w tej samej ciemności na środku sceny Fred szepnie do drżącej przy jego ramieniu Ginger: „Jesteśmy duchami, które przychodzą z ciemności i w ciemność odchodzą”. Ale to później, dużo później. Na razie film Federica Felliniego *Ginger i Fred* dopiero się zaczął. Chwilę temu Ginger, a naprawdę Amelia Bonetti, przybyła do Rzymu, aby pierwszy raz od zamierzonych czasów młodości – kiedy to z Fredem, czyli Pippo Botticellą, jako włoskie echo legendarnej stepującej pary Ameryki, Ginger Rogers i Freda Astaire’a, byli gwiazdami świata variété – znów zatańczyć z Fredem. Zatańczyć akurat w odpustowo tandetnym telewizyjnym show, pełnym najkuriozalnniejszych dziwadeł ludzkich i zwierzęcych, lecz cóż to szkodzi. Oni przecież zatańczą, zastępują w istocie po to, by przypomnieć sobie, by zgnieść czas, by znów było, jak wtedy, by się powtórzyło, by na chwilę wrócić... Gaża marna – 800 000 lirów na głowę. Dla nich jednak to jest coś. W końcu on od lat ociera się o los kloszarda, sprzedaje po domach lichą encyklopedię, by móc dziennie choćby tylko kolację wypić. A ona? Wdowa, babcia, ma tycki sklepik z mydłem i powidłem w doskonale nieistotnym miastku Włoch. To wszystko. Czas był dla Ginger o tyle łagodniejszy, że nie torturuje jej od świtu do nocy, jak Freda, bezlitosny ciemny kaszel palacza o oczach wiecznie zażawionych i wiecznie trzeszczącej wątrobie. I nocami nie rozsadza jej gardła chrapanie, co zdolne jest kruszyć na piach tynki sufitów. Teraz na peronie stacji Termini przejęła Ginger sekretarka show *Kolej na was*. I oto w czas świąteczny, bożonarodzeniowy, wraz z kilkoma ludzkimi dziwadłami jadą tandetnym busem przez Wieczne Miasto do hotelu. Fred dotrze późniejszym pociągiem. Na desce rozdzielczej busa miniaturowy telewizor i w nim naraz – Dante. Dante – w reklamie... Wtedy stopuję starą, wieczną opowieść Felliniego, obchodzącą w tym roku jubileusz 35-lecia powstania, i kolejny raz puszczam właściwie nową opowieść Ewy Lipskiej *Droga pani Schubert...*

Piątek

Słucham. To, co dźwięczy, to coś jak wymiana intymnych listów, nie większych od haiku.

Mogę patrzeć przez okno albo przyglądać się grzbietom książek. Mogę zerkać na podłogę, blat biurka, lampę pod sufitem, na cokolwiek, na kogokolwiek. Obojętne. Naprawdę obojętne...? Mogę też zlepić powieki na 39 minut i sekund 11 i widzieć ciemność, jak Ginger i Fred w wiecznej opowieści Felliniego, gdy naraz zgasło światło w telewizyjnym studiu. Prawie 40 minut – tyle trwa opowieść *Droga pani Schubert...* Tyle czasu brzmi rozmowa *Mężczyzny z Kobieta*, przez Lipską i Józefa Opalskiego ułożona ze spokojnych drobnych lirycznych Lipskiej, przez Opalskiego wyreżyserowana i w Radiu Kraków nagrana, a teraz, w czasie przedświątecznym, bożonarodzeniowym, na płycie wydana. Dwa głosy, dwa brzmienia ludzi, którzy... Jak dawno mówili z sobą po raz pierwszy? Nie prywatnie, nie. W sztuce. W variété. W variété poważnym, co zwie się teatrem dramatycznym.

Sobota

On – Jerzy Trela. I Ona, pani Schubert – Anna Polony. Jak dawno temu dotykali się głosami po raz pierwszy? Jako Muza i Konrad w wyreżyserowanym przez Konrada Swinarskiego *Wyzwoleniu* Stanisława Wyspiańskiego? Nie, wcześniej było przecież *Żegnaj, Judaszu* Ireneusza Iredyńskiego, także w reżyserii Swinarskiego. A może coś jeszcze wcześniej zagrali? Zostawmy w spokoju źródło. Niech wystarczy spotkanie, które okazało się spotkaniem wiecznym. *Wyzwolenie* Swinarskiego. Ile to lat temu? Ile dziesiątek lat temu? Istotne, że było to w czasach, kiedy gigantycznej krowie o osiemnastu wymionach i rogach afrykańskiego bawołu – w teatrze polskim jeszcze nie było dane występować w ogóle, a zwłaszcza w charakterze królowej metaforyki scenicznej, ani też w końcówkach antraktów ryczeć, że czas, drodzy państwo, wracać na widownię.

Poniedziałek

Ten w *Ginger i Fred* monstualny, wręcz babiloński odpust złego smaku, tak bezlitośnie ukazany przez Felliniego! Ten jego genialny ruchomy portret nieogarnionej tandety reklam telewizyjnych i plakatowych, atrakcji z papuziego *papier-mâché*, kolorowych żaróweczek, bibuły i pozłotka, na czele z gipsową golonką wielkości Polifema, co na stacji Termini mruga kolorowymi światełkami do przechodzącej pod nią Ginger! W końcu ta rzeka ludzkich i zwierzęcych dziwolągów, zmierzających do telewizyjnego studia, aby za psi grosz pokazać swą trywialną wyjątkowość w show po amatorsku kleconym dla widzów umiających rachować co najwyżej



Anna Polony (z prawej), Ewa Lipska (w środku), Jerzy Trela (z lewej) oraz Józef Opalski (drugi z prawej) podczas nagrania *Droga pani Schubert*

do osiemnastu wymion gigantycznej krowy o rogach afrykańskiego bawołu! 24 tańczące liliputy, lewitujący ksiądz, producent damskich jadalnych majtek w wielu ciekawych smakach, sobowtóry dosłownie każdego, kolorowi transwestyci, niewiasta podająca się za kochankę Marsjanina, monstrialne wymiona o wielu strzykach, z których cieknie przezroczysta maź, były ksiądz, który przed kamerami pocałuje żonę, młodzieniec, co poślubił staruszkę, gadający kosz na śmieci z migającymi na kłapiącej pokrywce kulka-

mi, mężczyzna głodujący w proteście przeciwko polowaniu na ptaki, kobieta słyszająca głosy widm, a także ta domowa gospodyni, która mało co, a zmarłaby z rozpacz, gdyż dla pieniędzy przez bity miesiąc nie oglądała telewizji, jeszcze...

Wtorek

Co ja mówię! Monstrialne wymię, pękate od hektolitrów przezroczystej mazi? I w trakcie gadania mrugający kulkami na pokrywce kosz śmieciowy? Nie, tego w cyrku tandety



u Felliniego nie ma. Ja to w teatrze polskim na scenie znalazłem niedawno, Bóg mi świadkiem, i do Felliniego cyrku tandety wstawiłem teraz cichcem. I co? Weszło bezboleśnie, jak po maśle! Weszło jak swój do swego po swoje i zmieściło się bez bólu oraz bez reszty! I podobnie weszłoby tysiąc innych polskich cudactw scenicznych, na poziomie estetyki, a także myśli porównywalnych z wymionami wielkości Polifema, z gadającym koszem na śmieci, a zwłaszcza z gigantyczną krową o osiemnastu wymionach i rogach afrykańskiego bawołu. I jeszcze jedna bliźniaczość – rzeczony Dante w reklamie. Czego? Bodaj czasomierza jakiegoś.

Środa

Dante na ekranie tyciego telewizora w busie wiozącym Ginger do hotelu już nawet aktorem nie jest (a może jednak, tyle że zupełnie drewniany to aktor, czyli w wystarczający do wykonania nałożonego zadania?). Dante – klasyk nad klasykami. Dante – góra jeśli nawet nie największa, do jedna z niewielu nie do ogarnięcia w pełni. W Felliniego portrecie babilońskiej tandety jest on tanią marionetką z odpustowym wieńcem laurowym na drewnianym łębku. Ot, figurka odpustowa. Drewnianym głosikiem tępo odklepuje pierwsze tercyny *Piekła*. „W życia wędrówce, na połowie czasu, / Straciwszy z oczu szlak niemyślnej drogi, / W głębi ciemnego znalazłem się lasu”. I tak dalej. I gdybyż jeszcze drewno klepało tę starą, wieczną doskonałość po to i tylko po to, by wybrzmiała ona, po prostu – gdybyż klepało ją dla niej samej! Lecz nie. Dla drewnianka najmniej istotny jest Dante, nic dlań nie ważą jego tercyny. Drewnienko klepie je tylko dlatego, że tam słówko „czas” pada, i tylko po to, by na tej kanwie zareklamować bodaj czasomierz, jakiś Beatrix Watch. Ile razy w latach ostatnich klasyka zdechła na polskich scenach, zdechła tylko dlatego, że ktoś pragnął klasyką zareklamować swą pretenjonalną troskę o pałacę problemy społeczeństwa polskiego? Ktoś ma siłę i chęci, aby rachować ten gruz?

Czwartek

Nie, jednak nie jest obojętne, na co patrzysz, co widzisz, gdy słuchasz łagodnej melancholii drobiazgu *Droga pani Schubert...* Lipskiej i Opalskiego, tej długiej chwili, ulepionej z pamięci i nieoczywistych powrotów. I nawet jak zlepisz powieki – ciemność nie będzie pusta. Julian Przyboś mawiał: „Czytając maluję”. Nie inaczej ze słuchaniem. Dźwięki, zwłaszcza słowa Lipskiej tak czysto przez Polony i Trelę zmieniane w falę, tak czysto i tak czule, jak by nie w naszym czasie to robili, a w odległej epoce bez kuriozalnych krów na scenie – takie dźwięki nigdy nie zostają zbyt długo bez obrazów. Takie dźwięki zawsze pragną mieć z kim porozmawiać. Na przykład – drobne poetyckie prozy Lipskiej, prozy niczym ty-

cie listy, które mówi Trela, i drobne wiersze Lipskiej, którymi Polony odpowiada Trela. „Książki rozmawiają między sobą”, uczy Umberto Eco w eseju zamykającym cudowną, buczącą bibliotekę, którą jest jego *Imię róży*. Kilka akapitów wcześniej Eco dźwięczy jednak subtelniej. Jest mniej kategoryczny, więc bliższy sedna. „Odkryłem na nowo to, co pisarze zawsze wiedzieli (i co tyle razy nam mówili): książki mówią zawsze o innych książkach i wszelka opowieść snuje historię już opowiedzianą”.

Sobota

Znów zatem (który to już raz w życiu?) lektura obrazkowej księgi *Ginger i Fred*. Tym razem – jubileuszowa. Wybieram dwie sceny. Wpierw stepujący staruszkowie Ginger i Fred, czyli Amelia i Pippo, więc także Giulietta Masina i Marcello Mastroianni – przed występem niegdysiejszy swój popisowy taniec próbują wskrzesić w remontowanej, obwieszanej płachtami folii toalecie na zapleczu telewizyjnego studia. Okruch po okruchu – wraca pamięć. Scena druga to Wielki Finał, Wielki Występ pięknych staruszków, w środku którego naraz gaśnie światło, ryczy kuriozalna krowa, a Fred szepce Ginger zdanie nieuchronne. Dotyka ją słowami czule, najczulej. „Jesteśmy duchami, które przychodzą z ciemności, i w ciemność odchodzą”. Gdy znów błyska światło – podejmują urwany taniec, wracają do pamiętania, do ściskania czasu, do bezsilnego, lecz jednak powtarzania dalekiej chwili. A teraz raz jeszcze: próba i finał. Tylko że teraz – wyłączam dźwięk.

Niedziela

Dwie sceny z opowieści Felliniego *Ginger i Fred* puszczam z wyłączonym dźwiękiem, i jednocześnie puszczam głośno opowieść *Droga pani Schubert...* Lipskiej i Opalskiego. Eco miał rację. Doskonały związek zgody! Opowieść snuje historię już opowiedzianą. Tak, związek jest doskonały. Możliwe zatem, że tam, w wiecznym mieście pęczniejącej tandety i robienia durnia z Dantego, to Mężczyzna i pani Schubert tańczą swój stary taniec po to jedynie, by go powtórzyć, czyli wrócić. Zaś tutaj, w krainie bliźniaczo pęczniejącej tandety bliźniaczej i Szekspirów skretyniałych na scenach zupełnie, być może to Amelia i Pippo czule dotykają się słowami Lipskiej po nic innego, jak tylko po to, by nie zapomnieć.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.



Warszawa

Tekst: Rafał Trzaskowski **Zdjęcie:** z archiwum i za zgodą Miasta Stołecznego Warszawy

Warszawska Starówka to miejsce-symbol.

Dziedzictwo, które Warszawa chciałaby pokazać Polsce? Tu odpowiedź przychodzi sama. To serce miasta – warszawska Starówka. Miejsce-symbol. Emocje i dumą łącząca pokolenia. Wojna zrównała ją z ziemią, odrodziła się – nie mogło być inaczej. Stało się tak dzięki mądrym i przemyślanemu planowi, między innymi wysiłkom prof. Jana Zachwatowicza – architekta i wieloletniego wykładowcy Politechniki Warszawskiej, którego niebawem uczymy pomnikiem.

Tu historia splata się z rytmem współczesności – na Rynku i w wąskich uliczkach, otwartych, przyjaznych. Obchodząc w tym roku 75. już rocznicę odbudowy Warszawy, przypominamy sobie heroizm rekonstrukcji Starego Miasta. Wpis zabytku na listę światowego dziedzictwa UNESCO 40 lat temu sprawił, że stała się ona wizytówką naszego miasta i głównym punktem na szlaku atrakcji turystycznych stolicy. Przyciąga jak magnes. I swoich, i gości. Zapraszam!

*

W Krakowie zawsze będzie mi bliska Piwnica pod Baranami. Miejsce, którego dyrektorem przez długie lata był mój brat. I w związku z tym także miejsce, w którym poniekąd się wychowałem, przesiąkając tamtejszym klimatem, panującym tam poczuciem humoru. Bezcenne wspomnienia.

*

Jako syn krakowianina i warszawianki jestem w oczywisty sposób związany z oboma miastami. Taka sytuacja sporo ułatwia, bo mogę jasno powiedzieć, że

uwielbiam oba miasta. Z głębi serca przesyłam najserdeczniejsze noworoczne życzenia krakowiankom i krakowianom. Prosto z warszawskiego ratusza – Wesołego Nowego Roku!



Zdjęcie: Magda Pawluczuk/z archiwum i za zgodą Miasta Stołecznego Warszawy

Rafał Kazimierz Trzaskowski (ur. w 1972 roku w Warszawie) – polityk i politolog, specjalista w zakresie spraw europejskich, od 2018 prezydent miasta stołecznego Warszawy, doktor nauk humanistycznych, były poseł, minister administracji i cyfryzacji, w latach 2014–2015 sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, od 2020 roku wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej, kandydat na urząd prezydenta RP w 2020 roku.

Wawel – historia prawdziwa

Tekst: Anna Grochowska

Proces podupadania rangi Wawelu jako siedziby polskich królów rozpoczął się na długo przed utratą suwerenności.

Jako cezurę podaje się 1609 rok, kiedy to przeniesiono siedzibę królewską do Warszawy. Już kilka lat wcześniej, bo od 1559 roku, Kraków i Warszawa przypominały ośrodki królewskie podobne do średniowiecznych *sedes regni principales* („główne siedziby królestwa”). Zamek w pewnym stopniu zaniedbano, a Wzgórze straciło w ten sposób swą pierwotną funkcję. W epoce narodowej niewoli Zygmunt III Waza, który owego aktu dokonał, opisywany był jako ten, który sprzeniewierzył się świętości tego miejsca. Kazimierz Morawski pisał: „Zygmunt III sprzeniewierzył się Wawelowi dla Warszawy. Fatalność jakaś zaciążyła na zamku krakowskim w związku z jego osobą: ten dziwny, zamknięty w sobie monarcha, to »nieme djable«, obcujące na przemian z mocami niebieskimi i ciemnymi kunsztami, z jezuitami i alchemistami, nie był sprawcą ruiny Wawelu, ale mimo woli przyczynił się do jego upadku”. W literaturze zaś Kraków i Warszawa porównywane były do rodziców polskich grodów, do królewskiej pary. W 1585 roku Sebastian Fabian Klonowic w VII *Żalu* z cyklu *Żale nagrobne na śmierć Jana Kochanowskiego* opisał Kraków przez pryzmat Wawelu jako miejsce, „Gdzie na skale smokorodnej matką polskich grodów,/Grunt sarmackich narodów”, a zatem miasto polskich królów zostało przyrównane do matki. Jest to jednak rzadsze ujęcie – częściej spotkać można porównanie Krakowa do ojca (mężczyzny), Warszawy zaś do matki (kobiety). Poświadcza to słynny cytat z wiersza *Kraków i Warszawa* Józefa Epifaniego Minasowicza, osiemnastowiecznego poety i wydawcy: „Warszawa królestwa sercem, Kraków – głową”, dalej zaś: „Kraków będzie miastem Królem, Warszawa – Królową”. Podział ten był również logiczny z językowego punktu widzenia – rzeczownik „Kraków” jest rodzaju męskiego, podobnie jak „król”, zaś „Warszawa” żeńskiego, tak jak „królowa”. Tak jest również w poemacie Teofila Lenartowicza *Warszawa i Kraków*:

Dla Polaków ojciec Kraków a Warszawa matka.

(...)

A dla czego ojciec Kraków? bo stary za katy,

Siwe mchy mu opędziły ten Wawel garbaty,

Choć niewiada już którego krzyżyka dościga,

Jeszcze na swych silnych barkach stary zamek dźwiga.

(...)

Ku Warszawie okiem mruga przez Floriańską bramę,

(...)

Oj! powiedział ojciec Kraków, co wiedział powiedział:

Dzieci moje zabierają będęz ja tak siedział.

Daléj moje głośne dzwony dzwońcie na wsze strony,

Niechże będzie kraj zbawiony i Bóg pochwalony.

(...)

Usłyszała to Warszawa kochane miasteczko,

Oj! Warszawo ty Warszawo serdeczna mateczko,

Niedaremno Bóg cię związał tą Wiślaną wstęgą,

Niedaremno cię z Krakowem połączył przysięgą

(...).

Również w *Krakowiaku* Anny Libery z 1860 roku można znaleźć porównanie Krakowa i Warszawy do „rodzicielskiej pary”. W jednej z opowieści Jadwigi Strokowej, zatytułowanej *Do Krakowa! Gawęda dla ludu i młodzieży*, czytamy, że „Dla Polaka, choćby i najdalej mieszkał, do Krakowa nigdy daleko nie będzie, bo nigdy dziecku nie zdaje się daleko do ojcowskiej chaty” i w pierwszej kolejności zaprasza zwiedzających Polaków na Wawel. Do tych, już wówczas znanych i ukształtowanych metafor odwołują się w treści swego programu członkowie Polskiego Związku Narodowego założonego w Krakowie w 1908 roku. Na łamach jego nowo powołanego organu – czasopisma „Wawel”, czytamy:

„A głosem naszym: »Wawel«. Jak ów stary »ojciec« Kraków nad przepiękną Wisłą jej modrymi falami łączy się z »matką« Warszawą, tak my głosem »Wawelu« chcemy popłynąć w serca polskie i ogrzać je ciepłem ojczystym, zebrać je wszystkie razem w jedno wielkie serce i rzucić na szalę bytu i szczęścia Ojczyzny!”

Kolejną parą podlegającą w XIX wieku twórczej personifikacji stał się Wawel oraz oplatająca go Wisła. Jak pisała Grażyna Królikiewicz: „Wawel (rzadziej cały Kraków) jawi się tutaj zatem jako *magna parens re-*

rum, podkreśla się jego cechy patriarchalne i władcze, gdy tymczasem pozostałe zabytki i ruiny okoliczne przedstawiane są jako dzieci lub – w stylizacji heroicznej – żołnierze”. Bywa również, że nosi ono cechy matriarchalne („łono matki”). Motyw ów znaleźć można w *Krakowiakach* Edmunda Wasilewskiego z 1839 roku. Wawel to, jak zauważyła Królikiewicz, *Vir dolorum*:

Na skalistym brzegu stary zamek siedzi,
Siwą głowę schylił, z myślami się biedzi,
A wież jego siedem, jak siedem boleści
Za dziećmi, co w świecie przepadły bez wieści!
A mur, co mu biodra w koło opasywał,
Jak suknie z rozpachy, z bólu porozrywał,
I żałośnie jęczy ze smoczej gardzieli:
„Dzieci moje, dzieci! gdzieście polecieeli?
Gdzieście polecieeli, czy szukać ojczyma?”
I bez końca jęczy, – a ich nie ma – nie ma!...

Do Wasilewskiego nawiązywał między innymi jeden z przedburzowców Jan Kanty Turski, który w swym poemacie *Gordyan* uczynił Kraków starym grodem Piastowym, zaś Wawel antropomorfizował. W poemacie *Wzgórze* jest zatroskanym ojcem w sędziwym wieku, rozmyślającym nad dziejami tego miasta:

A stary Wawel patrzy na swe dzieci,
Co u stóp jego... by nad grobem płaczą,
A krzyż mogilny tak się nad nim świeci,
Że pewno w niebie to wszystko obaczą.

Podobną metaforykę odnaleźć można w wierszu Teofila Lenartowicza *Dzwon Zygmunt*, który przenosi czytelnika w złoty wiek kultury polskiej. Zamek Królewski na Wawelu zostaje upersonifikowany: porównuje się go do ojca, który strzeże swych

dzieci, czyli w tym wypadku do miejskich domów, które go otaczają. Kraków jest zaś miejscem, w którym „Polska w serce wchodzi”. Takich przykładów można podać wiele.

Nie tylko Wawel ulegał antropomorfizacji, ale też oplatająca go Wisła, która również prezentowana była przez poetów i pisarzy jako narodowa świętość. W *Bez chaty* Michała Bałuckiego przeczytać można następujące wersy:

Znów będę klęcząc patrzył ze wzgórze
Na Wisłę jasną, co u podnóża
Wawelu niby córka narodu,
Z rozpuszczonymi rzek warkoczami
Leży, ubrana w blaski zachodu
I tuli Wawel i coś wargami
Szeptą mokrymi na pocieszenie.

Bałucki zresztą w tym samym utworze antropomorfizował Kraków – „miasto śliczne i poważne”:

Jak staruszek, co na piersi nosi
I świętości, i rany, i kule,
I białego orła – na pamiątkę
Tego życia, co je dobrze przeżył.

Nie zawsze jednak stary Kraków był synonimem cnót. W wierszu Konstantego Damrota *Wisła pod Krakowem* wiek miasta wskazuje na jego konserwatywny, opierający się zmianom charakter, Wisła zaś symbolizuje życie, to, co się zmienia, jest młode duchem, wciąż płynie i płynnie się przeobraża, pochodzi z natury. Zabiega ona jednak o względy starca:

Cóż się, Wisło wiecznie młoda,
Tak umizgasz do starego,
Na twą piękność nieczułego
Bolesławów groda?

Anna Grochowska – doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, historyczka literatury i historyczka sztuki, badaczka *cracovianów* (w tym krakowskiego i nowohuckiego życia literackiego) i *de natu* krakowianka, przez lata związana z Wydziałem Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego jako absolwentka i wykładowczyni. Autorka m.in. nagrodzonej Krakowską Książką Miesiąca monografii *Wszystkie drogi prowadzą na Krupniczą. Rzecz o Domu Literatów* (2017) oraz *Literackiego przewod-*

nika po Nowej Hucie (2019). Stypendystka MKiDN (2014), inicjatorka i współtwórczyni festiwalu literackiego oraz współredaktorka naukowej serii wydawniczej *Ścieżkami Pisarzy*. Autorka około 40 artykułów naukowych i popularnonaukowych. Książka *Święte Wzgórze? Wawel w literaturze, sztuce i kulturze w latach 1795–1918* oparta została na rozprawie doktorskiej obronionej w 2019 roku pod kierunkiem prof. dra hab. Franciszka Ziejki, za którą autorka otrzymała Nagrodę Miasta Krakowa (2020).

Niegdyś był on, jak ty, młody,
 Wtedy znał się na piękności,
 Umiął cieszyć się z miłości
 Twojej i urody.
 Kraków niegdyś tak namiętny,
 Jak polski młodzik swawolny,
 Dziś jak starzec cierpki, wolny,
 Martwy, obojętny.

Takie obrazowanie występowało jednak dość rzadko w tym kontekście i często wynikało z trudnych doświadczeń autora. W wierszu *Dwóch wędrowców Wawel* jest dlań osobną jakością, leży pod Krakowem, stanowi pewne centrum, miejsce mocy, uczucia, skontaktowania z samym sobą, odnalezienia tożsamości. To miejsce, które pozwala podjąć decyzję, dookreślić swą świadomość, konfrontuje, zaprasza do przestrzeni uczucia i kierowania się sercem. Tu albo stajesz się Polakiem, albo idziesz dalej szukać swej tożsamości:

Pod Krakowem, na górze Wawela
 Stoi dwóch; jeden z nich smutny, płacze,
 Drugi nie tając w oku wesela,
 Jak dziecko niemal z radości skacze,
 A co im mroczy, krasi powieki.
 Odgadnie ten, co umie czuć z nimi:
 Wygnaniec – idzie ów, w świat daleki,
 Ten do ojczystej powraca ziemi.

W *Wawelu: krakowiaku* Napoleona Ekielskiego Wisła jest córką Babiej Góry. Gdy wyrusza od matki „z góralami”, napotyka Kraków z jego „trzema mogiłami”, który z miłością oplata. Tam zaś:

Na wysokiej skale stoi zamek stary
 A Wisła mu stale dochowuje wiary.
 Stoi zamek stary, o przeszłości gwarzy,
 A Wisła go słucha czatując na straży,
 Tam króle, tam wodze, tam mężowie
 święci
 Śpią w cichych grobowcach, słodkim
 snem ujęci.
 (...) ta polska ziemia ten ma urok w sobie,
 Że kto ją pokocha, nie zapomni w grobie!

Motyw upersonifikowanej Wisły jako córki czy wnuczki Wawelu znalazł swą realizację także w sztukach plastycznych w wykonaniu rzeźbiarza Antoniego Kurzawy, który w 1878 roku stworzył grupę rzeźbiarską *Wisła i Wawel*. Inspirowała ona między innymi Stanisława Wyspiańskiego, który zawarł w swej *Legendzie* podobną personifikację. W jego pracowni znajdował się odlew tego dzieła. Na skalnym tronie, opa-

sanym fragmentami murów i oblanym falami rzeki, zasiada pogrążony w głębokiej zadumie starzec w królewskiej zbroi. Starzec w klasycznej symbologii to reprezentacja odwiecznej wiedzy ludzkości lub też zbiorowej nieświadomości, przy tym w tym konkretnym przypadku starzec symbolizujący Wzgórze odnosiłby się do tego, co święte i boskie w nieświadomości, do wyższej wiedzy i szerszego rozumienia dziejów. Widoczne jest zmęczenie postaci, jej bagaż i ciężar spoczywający na plecach. Nie odkłada on jednak miecza. Pochyla się nad nim jakby w geście ochrony, osłonięcia własną pierś swoich ziem, swego kraju i jego dzieci. Rękojeść miecza prawą dłonią obejmuje młoda dziewczyna w stylizowanym krakowskim stroju – to Wisła, personifikacja podwawelskiej rzeki, której atrybutem jest wiosło umieszczone między nią a starcem-królem, personifikacją Wawelu. Wisła wspiera starca w walce. Jej postać łączy w sobie żywioł ziemi i wody, przy czym woda w widoczny sposób ukształtowała tę materię. Nieregularna struktura rzeźby, bruzdy pozostawione w kamieniu, przywodzą na myśl trwanie mimo upływu czasu.

(...) W XVIII wieku Wawelskie Wzgórze przypominało swym kształtem i zabudową niewielkie, chaotycznie i gęsto zabudowane miasteczko – punkt przecięć różnego rodzaju miejsc, a także dróg i ścieżek. Na znaczącą część obiektów składały się domki parterowe i piętrowe, a zatem przestrzenie prywatne, domowe, mieszkalne. Katedra Wawelska historycznie pełniła także funkcję kościoła dworskiego, ponieważ znajdowała się przy rezydencji monarszej. Był to więc w pewnym sensie kościół prywatny, na co wskazywała architektura, a mianowicie znajdująca się w prezbiterium empora, która była połączona z pomocą krytego ganku z mieszkaniem króla. (...)

Wawel nie był (...) miejscem prywatnym dla ostatniego króla Rzeczypospolitej. (...) Stanisław August Poniatowski nie koronował się w Katedrze na Wawelu, lecz w kolegiacie św. Jana Chrzciciela w Warszawie 25 listopada 1764 roku, gdzie przewiezione zostały insygnia koronacyjne, zaś w 1765 roku przewieziono tam w pięciu skrzyniach archiwum koronne, za które Wawel otrzymał dotację na renowację części zamkowej. Owo niepoddanie się wielowiekowej tradycji, czyli koronacja poza Wawelem (w dodatku nie w polskim stroju, lecz hiszpańskim), zostało symbolicznie powiązane z rychłą utratą niepodległości. Polacy uznali, iż suwerenność Polski utrzymała się

dzięki podtrzymywaniu tradycji koronacji w świętym dla ojczyzny miejscu, przekazując tę ideę w formie złowrogiej przepowiedni, przestrogi. Aleksander Jełowicki pisał w swych wspomnieniach: „Ostatni król Polski nie modlił się na Skałce, to też był ostatni; nie koronował się w Krakowie, to też nie w Krakowie, ani w polskiej ziemi kości jego; nie przemieszkiwał nigdy w Zamku krakowskim, to też Zamek opustoszała, i tak jak cała świetność Polski zbiegła do serc polskich, jak do twierdzy niezdobytej, tak świetność siedliska królów polskich zbiegła do góry Wawelu”. Sprzeniewierzenie się świętości, jak w każdym micie, kończyło się klęską. Dodatkowo król ów na imię miał Stanisław, podobnie jak święty biskup, którego szczątki pochowane są w Katedrze i symbolizują jedność Rzeczypospolitej (legenda o zrośnięciu się członków świętego zapowiadająca scalenie polskich ziem po rozbiu dzielnicowym). Z imieniem Stanisław wiązała się kolejna ze złowrogich przepowiedni, znana już od dynastii piastowskiej: od 1079 roku żaden władca na Wawelu imieniem Stanisław nie utrzyma władzy oraz nie zostanie pochowany w polskim wawelskim panteonie (warto zaznaczyć, że Stanisław August Poniatowski podczas wizyty na Wawelu w 1787 roku wybrał sobie miejsce pochówku w krypcie św. Leonarda w Grobach Królewskich). Należy dodać, że te wierzenia dotyczyły także Stanisława Leszczyńskiego, koronowanego 4 października 1705 roku w Warszawie, również zmuszonego do abdykacji. Tego typu myślenie magiczne dotyczy zazwyczaj kary za przekroczenie pewnych granic, zbezczeszczenie świętości. Chciano ustrzec się przed karą, jaką wymierzały mistyczne siły. Takie klątwy i przesady polegają najczęściej na zasadzie samospełniającej się przepowiedni, bowiem znająca je jednostka, która zna zasadę i ją łamie, odczuwa lęk. Mają zatem działanie psychogenne i socjogenne. (...) W tym nieco żartobliwym tonie pisał o Wawelu Karol Estreicher w *Nie od razu Kraków zbudowano*, rozpoczynając od apostrofy:

„Góro święta! Góro mściwa! Kto ciebie zaprażył, znieważył, sprofanował, zawsze bywał ukarany. Czy wyliczyć tutaj różne przekleństwa, jakie opłoty się wokół dziejów twoich lat tysiąca? Że żaden biskup krakowski imienia świętego patrona Wawelu nosić nie może, jak również żaden król, co to imię nosi, na tronie polskim się nie utrzyma. Wiedzieli o tym Piastowie i pamiętały jeszcze Jagiellony.

Czy przypomnieć, że tego, kto za życia spocząć zapragnie w chłodnych podziemiach katedry, los potem ściga zawistny? Wyzaczył sobie miejsce i Leszczyński, i Poniatowski, i Piłsudski. Dwaj pierwsi nie spoczęli na Wawelu, trzeciemu wróg wartość honorową u grobu postawił na śmiech, na urągowisko narodowi”.

Wawel opisany z perspektywy mitów i legend oraz wierzeń rodaków jawi się tu jako istota przypominająca bóstwo, karzące tych, którzy mu się sprzeniewierzają, usiłują je sprofanować, zlekceważyć niepisany „dekalog”.



Fragment (z pominięciem przypisów naukowych): Anna Grochowska, *Wawel końca XVIII wieku – przestrzeń kościelno-królewska. Degradacja i mitologizacja*, [w:] *też Święte Wzgórze? Wawel w literaturze, sztuce i kulturze w latach 1795–1918*, Kraków 2021.

Wrocław

Tekst: Jacek Sutryk Zdjęcie: Rafał Ogrodowczyk/z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Wrocławia

Szukajcie krasnali! We Wrocławiu jest ich ponad 500...



Wrocław to miasto głęboko zakorzenione w skomplikowanej historii, a zarazem stawiające na nowoczesność, które dobrze wykorzystało szansę z ostatnich 30 lat polskiej samorządności. Staramy się zatem w atrakcyjny sposób pokazać to wszystko, co zbudowało tożsamość naszego miasta, a po 1945 roku scementowało nową miejską wspólnotę. Trzeba bowiem przypomnieć, że przedwojenne, zniszczone Festung Breslau opustoszało kompletnie, a nowy Wrocław wznosili nowi mieszkańcy, zjeżdżający tutaj głównie, choć nie wyłącznie, ze wschodnich rubieży przedwojennej Rzeczypospolitej. Ich historię w taki właśnie nowoczesny sposób pokazuje Centrum Historii Zajezdnia, które swoją opowieść o „Solidarności” rozpoczyna od wydarzeń z 1945 roku.

Ruszając z Rynku, w ciągu około godziny możemy przejść także przez Ostrów Tumski, a dalej „zieloną obwodnicą” centrum miasta – ciągiem parków okalających dawną fosę miejską – możemy dotrzeć do Dzielnicy Czterech Świątyń, zwaną także Dzielnicą Wzajemnego Szacunku. Synagoga, prawosławna cerkiew, protestancki zbór i katolicka świątynia – choć nie prezentują całego spektrum kultur i tradycji, które spotykają się we Wrocławiu dzisiaj, oddają to właśnie historyczne przesłanie: Wrocław jest i robimy wszystko, aby był miastem otwartym.

Wart uwagi nie tylko miłośników architektury będzie z pewnością kompleks Hali Stulecia wraz z usytuowanym obok Pawilonem Czterech Kopuł

i WuWą – wystawą architektoniczną modelowego osiedla do zamieszkania z przełomu lat 20. i 30. XX wieku. Ta także historyczna tkanka Wrocławia i wyraz troski o wielonarodowe dziedzictwo naszego miasta łączy się z bardzo nowoczesnym miejscem ulokowanym w pobliskim Ogrodzie Zoologicznym. Myślę o pawilonie Afrykarium – miejscu, w którym przez cały rok spotkamy zwierzęta z krajów gorących i odległych od nas.

I tu przechodzimy do głównej atrakcji – naszych najmniejszych i wszechobecnych mieszkańców, którzy będą towarzyszyli Państwu w życiu. Mowa oczywiście o wrocławskich krasnalach, których już blisko 500 postanowiło się zadomowić w naszym mieście. Nie wiem, czy podczas jednej wizyty spotkają je Państwo wszystkie, ale... warto spróbować!

*

Kraków to piękne miasto – mówię o tym jako wrocławski patriota. Gdybym miał wskazać jedno miejsce i wspomnienie zarazem, to związę je z elementem duszy Krakowa, ale bardzo wspólnej z duszą Wrocławia i moją zresztą także. Myślę oczywiście o Piwnicy pod Baranami. To magiczny punkt na mapie miasta, wart odwiedzenia i wart wsłuchania się.

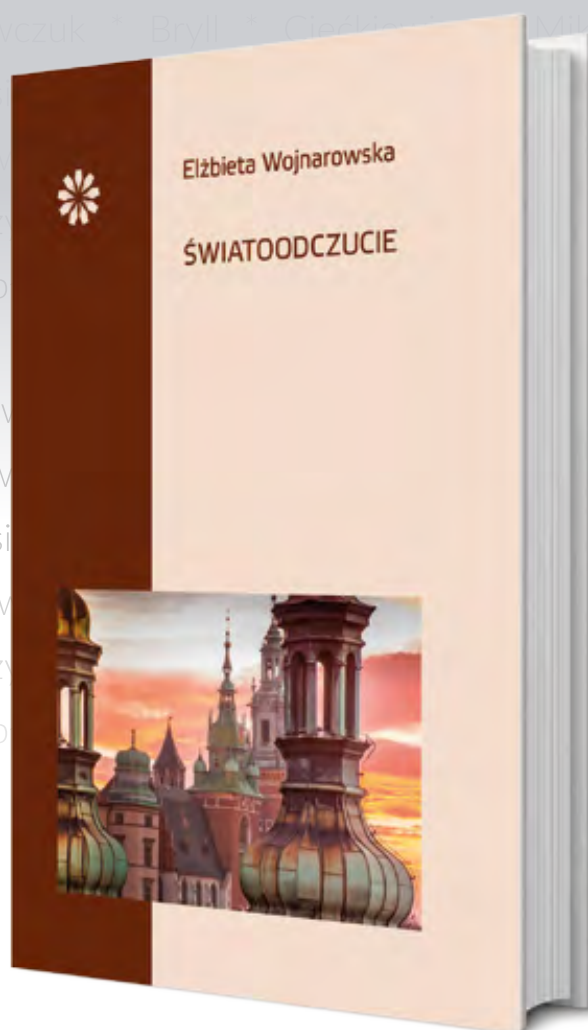
*

Życzę Państwu, żeby to, co – jak wierzymy – szybko się skończy, nie zmieniło w nas tych najważniejszych przestrzeni czy pokładów: otwartości na drugiego człowieka, zaufania, odwagi. Wrocław i Kraków to turystyczne wizytówki Polski. Niech Święta Bożego Narodzenia, które w naszej tradycji przynoszą nadzieję, zaopatrzą nas w nią na cały 2021 rok. Wszystkiego dobrego dla wszystkich mieszkańców Krakowa!



Zdjęcie: z archiwum i za zgodą Urzędu Miasta Wrocławia

Jacek Sutryk (ur. 1978 we Wrocławiu) – absolwent socjologii na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Wrocławskiego, od roku 2018 prezydent Wrocławia.



...opowiadają...

ELŻBIETA WOJNAROWSKA

...słucha...

Zabłocki * Sikorowski * Pawluśkiewicz * Bąk * Jackowski * Zagajewski
 Ostrowski * Krawczuk * Bryll * Ciećkiewicz * Miklaszewski * Piasecki
 Wodecki * Sołtysik * Stasiuk * Mleczek * Dziedzic * Piekorz * Nowak
 Krzyżowski * Nowakowska * Przemyk * Sobol * Kosińska * Bonowicz
 Świetlicki * Biedrzycki * Lisowski * Frymorgen * Lebda * Heller * Sonner-
 berg Zechenter-Spławińska * Ziemanin * Papużanka * Szymańska * Stabro
 Shuty * Ligęza * Łazarkiewicz * Zarębiana * Wyka * Gałoński

Fisheye

Tekst: Łukasz Maciejewski Zdjęcia: materiały prasowe dystrybutora

Oko rybie, rybie oko. Można po angielsku: *fisheye*. Po angielsku brzmi lepiej. Rybie oko: widzi, a nie widzi, zauważa, ale niespecjalnie, kadry się rozmywają.

Michał Szcześniak, jeden z najciekawszych twórców młodego pokolenia, autor wielu ciekawych dokumentów, nakręcił o tym film. Co można zobaczyć, kiedy inni uważają, że nic nie widzisz. W normalnych wypadkach: podglądamy klatkę schodową, akwizytorów albo sąsiadów z zakupami. O ile podglądamy. W *Fisheye* – oglądamy swoją przeszłość, swoją historię, dostajemy wgląd do tej historii, jakakolwiek jest.



Podglądającą jest kobieta. Naukowiec. W związku, w relacjach, z osiągnięciami. Ktoś ukradł jej życie, przemocował do powierzchni, przygwoździł. Widzi tylko tyle, ile pozwala jej „rybie oko”.

Widzi faceta, mniej lub bardziej fałszywych znajomych, widzi mamę. Oni jej nie widzą. Jej obraz jest ostry, detaliczny, brutalny. Oni dostrzegają jej wspomnienie jako zamazane, wykrzywione, „nieskorygowaną dystorsję”. Cokolwiek to znaczy.

Grana przez Julię Kijowską bohaterka debiutu Szcześniaka została porwana, uprowadzona, zamknięta. Szarpie się, szaleje, szuka wyjścia, nie znajduje wyjścia. Jej oprawca – brauwrowo obsadzony, grający głównie głosem Piotr Adamczyk – jest być może jej przyjacielem. Ale ona tego nie wie, widz tego nie wie, nie wiedzą o tym również ci, którzy znaleźli się poza wizjerem, poza judaszem, poza *fisheye*.

No właśnie, Kijowska. Jak ona się drze! Jak krzyczy. Krzyczy aktorka. Czy raczej: aktorski fenomen. Krzyczy, ponieważ (w filmie) ktoś grana przez nią bohaterkę uwięził. Krzyczy, bo nie rozumie tego uwięzienia, krzyczy, po-

nieważ z perspektywy rybiego wizjera, *fisheye*, ogląda świat, życie które toczy się bez niej.

Nie będę się bawił w pretensjonalnego demistyfikatora, że mistyk Szcześniak przewidział lockdown. Że opowieść o uwięzieniu dziewczyny we własnym mieszkaniu jest profetyczna. Dla kogo jest, dla tego jest. W filmach ten motyw jest na tyle oswojony, że prorocstwem na pewno bym tego nie nazywał. A zatem, najkrócej jak to możliwe. W tym filmie był dom. Była rodzina. Rodzina z problemami, a każdy miał jeszcze problemy odrębne. I ona (Kijowska), i on (Andrzej Zieliński), a jeszcze ci, którzy ten dom odwiedzali, a jeszcze rodziny. I naraz koniec, *finito*, bęc. Nie ma rodziny. Jest tylko ona. Ona podpatrująca się tamtym, widząca ich, dowiadująca się od nich o sobie. Ona – zamknięta. Ona – niepojęta. Ona – Kijowska.

W *Fisheye* jest właściwie tylko ona. Grają inni, grają pięknie, ale pamięta się Kijowską. I nie ma znaczenia, że ciężar bohaterki to stan pamiętany z *Niny*, ze *Zjednoczonych Stanów Miłości*, z *Dobrze, że jesteś*. Ciężar wciąż pracuje. Kijowska krzyczy, Kijowska chce wyjść na zewnątrz, myje zęby, sika, nie zauważa, że ceruje się jej cera, że zacerowała właśnie urodę, a ścieg nie jest nieskalany, ścieg się poplątał. Patrzy przez wizjer na świat, który znała, niezacerowany jeszcze. Był obłaskawiony, był oswojony, mniej bolesny. A jednak teraz nie widzi różnicy, tylko tę ciężkość, tylko dawny ciężar nakładający się na nowy. Dwa ciężary Julii.

Fisheye (Polska, 2020); barwny, 97 min

Reżyseria: Michał Szcześniak

Scenariusz: Szymon Bogacz, Michał Szcześniak, Piotr Tołoczko

Zdjęcia: Paweł Dyllus

Producent: Ewa Szwarz i Kosmos Production

Obsada: Julia Kijowska – Anna Waterman, Wojciech Zieliński – Jan, Piotr Adamczyk – porywacz, Andrzej Mastalerz – komisarz, Ewa Błaszczuk – matka Anny



Łukasz Maciejewski - wykładowca na Wydziale Aktorskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi. Dyrektor artystyczny festiwalu Kino na Granicy w Cieszynie, ambasador projektu „Kultura Dostępna w Kinach”, kurator filmowy Małopolskiego Ogrodu Sztuki w Krakowie, członek kapituły Paszporty Polityki w kategorii „Film”, członek Europejskiej Akademii Filmowej i Międzynarodowej Federacji Krytyków Filmowych FIPRESCI.

Dziennik generalnego gubernatora

Tekst: Mieczysław Czuma

Trudno teraz pisać o pamiętnym dla Krakowa dniu 18 stycznia 1945 roku. A to dlatego, że w naszych czasach nie wszyscy jednakowo wyrażają się o Armii Czerwonej. Toteż wracając do tamtych chwil, przypominał będę nie o tych, którzy do miasta wchodzili, ale o tych, którzy z niego musieli się wynosić.

1961 dni trwała w Krakowie hitlerowska okupacja. 15 lat, 4 miesiące i 12 dni powiewała nad Wawelem flaga z czarnym „hakenkreuzem”. Stolica Piastów i Jagiellonów naznaczona została na siedzibę General-Gouvernement, centralnych władz hitlerowskich. Kraków w tej roli miał stać się szybko miastem czysto niemieckim. Urzeczywistnienie tego dzieła było życiową pasją Hansa Franka, generalnego gubernatora.

Rynek Główny zamieniono więc na Adolf Hitler-Platz, Zamek Królewski na Wawelu na Krakauer Burg. Stu dwudziestu dziewięciu najważniejszym ulicom nadano nazwy wyłącznie niemieckie, w herbie miasta Białego Orła zastąpiono swastyką. Zburzono pomnik Grunwaldzki, strącono z cokołu Mickiewicza, Kościuszkę, Fredrę, ze ścian budynków usunięto tablice pamiątkowe. Ławki usytuowane przy głównych alejach Plant opatrzone napisami „Nur für Deutsche”, w tekstach polskich zabronione było używanie innej nazwy jak Krakau. 60-tysięczna rzesza ludności pochodzenia żydowskiego skazana została na unicestwienie.

Od końca 1939 roku nie było już Teatru im. Juliusza Słowackiego, był Stadt Theater. Na przyjęciu wydanym wtedy z okazji koncertu na tej scenie wiedeńskich filharmoników Frank oświadczył: „Kraków znów jest niemieckim ośrodkiem kultury”. 20 kwietnia 1940 roku, w dniu urodzin Hitlera, powołano Institut für Deutsche Ostarbeit (Instytut Niemieckich Prac na Wschodzie), z siedzibą w Collegium Maius. Miał za zadanie udowodnić niemiecki charakter całych ziem polskich. Hitlerowscy dygnitarze obdarowywali się obrazami z muzeów, przedmiotami z Wawelu. Hitler wspaniałomyślnie podarował Frankowi *Damę z łasiczką* Leonarda da Vinci, Wachterowa, żona gubernatora dystryktu, sprezentowała któremuś ze swoich znajomych obraz Breughla, przedstawiający walkę karnawału z postem. Nawet z Ogrodu Botanicznego zabrano ponad 1200 okazów rzadkich roślin do przyozdobienia biur i rezydencji.

Rozpoczęte dzieło kontynuował gubernator wytrwale i konsekwentnie, mimo tak zwanych przelotnych niepowodzeń wojsk III Rzeszy na frontach. Jeszcze w maju 1944 zapewniał: „Jest jasne jak słońce, że kraj nad Wisłą będzie tak samo niemiecki jak Nadrenia”. Swoje historyczne posłannictwo w General-Gouvernement przedstawił Frank w pedantycznie prowadzonych dziennikach. To 40 tomów, 11 367 stron. Osobista sekretarka, Helena Krafczyk, skrupulatnie dokumentowała każdą czynność swojego szefa. Warto przytoczyć, co zapisała w połowie stycznia 1945:

„Wtorek, dn. 16 stycznia 1945 r., Kraków, zamek wawelski:

13.30 – Obiad w sali kolumnowej zamku z członkami rządu.

14.00 – Pan generalny gubernator otrzymuje wiadomość, że Częstochowa i Radomsko są w rękach Rosjan.

16.00 – Pan generalny gubernator przechodzi przez komnaty zamku i przez budynki administracyjne,

Historyczną misję przemieniania Krakowa w miasto czysto niemieckie udokumentował Hans Frank w swoich kronikach. To 40 tomów, 11 367 stron.

które sam wybudował i wzruszony żegna swoich podwładnych.

19.00 – Kolacja w komnacie wieżowej.

22.30 – Dowódca oddziałów wojskowych zdaje panu generalnemu gubernatorowi telefonicznie sprawę z aktualnej sytuacji, która jest bardzo poważna. Częstochowa zajęta jest przez nieprzyjaciela i Kraków chyba zagrożony.

Środa, dn. 17 stycznia 1945 r., Kraków, Wawel:

8.00 – Alarm lotniczy.

9.00 – Płk Fischer melduje panu generalnemu gubernatorowi o tym, że czołgi rosyjskie przełamały się w kierunku drogi Kraków – Trzebinia, koło Tomaszowic. Gen. Kruse każe prosić generalnego gubernatora o natychmiastowe opuszczenie Krakowa, gdyż miastu zagraża poważne niebezpieczeństwo.

13.00 – Panowie żegnają się z generalnym gubernatorem.

13.25 – Pan generalny gubernator opuszcza zamek wawelski w Krakowie wraz z towarzyszącą mu kolumną samochodów przy najwspanialszej pogodzie zimowej”.

Chcę jeszcze uzupełnić skrupulatne zapiski Heleny Krafczyk. Otóż w czwartek, 18 stycznia 1945 roku, także była w Krakowie najwspanialsza pogoda zima. Pamiętam, świeciło słońce, był mróz.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

NASI MIESZCZANIE I ICH CODZIENNE CZYNNOŚCI



KOŁOBRZEG

SZCZECIŃ

POZNAŃ

ŁÓDŹ

WROCLAW

KATOWICE

KR



GDĄŃSK

FROMBORK

MALBORK

BIAŁYSTOK

WARSZAWA

LUBLIN

RZESZÓW

USTRZYKI
DOLNE

Dobrego roku. Absolutnie!

Tekst: Magda Miśka-Jackowska

Styczeń jest dobrą okazją, aby zacząć od nowa. A w styczniu 2021 roku mamy wręcz taki obowiązek. Wybrałam dla nas wszystkich trzech bohaterów świata polskiej kultury, którzy nam mogą w tym pomóc. I którzy – gdyby byli z nami – świętowaliby okrągłe, piękne urodziny.

Setne urodziny Stanisława Lema z samym Lemem to oczywiście marzenie. Nie każdy przecież dożywa setki, ale setki takich postaci jak Stanisław Lem z radością się świętuje. Rok 2021 będzie Rokiem Lema, tak zdecydowały polskie władze. Kumulacja wydarzeń w Krakowie, gdzie mieszkał autor, którego książki przetłumaczono na 45 języków i sprzedano w kilkudziesięciu milionach egzemplarzy na całym świecie. Publicysta, filozof, futuro-

Lem to więcej niż czytanie. Ale czytanie Lema w 2021 roku może mieć szczególną moc.

log, eseista, jeden z największych twórców literatury fantastyczno-naukowej. Właściwy człowiek na czasy, kiedy ścigamy się sami ze sobą i z naturą, a pójście do restauracji jest tak nierealne jak wyprawa na Planetę Lem. Setne urodziny pisarza świętowane będą zapewne w całym kraju i rozpędzą wiele literackich wydarzeń. Lem to więcej niż czytanie. Ale czytanie Lema w 2021 roku może mieć szczególną moc.

Tak jak słuchanie zresztą. Czytelnicy „Kra-kowa” świetnie wiedzą, że dla mnie słuchanie, połączone często z oglądaniem, to chleb powszedni. Niech nam jednak nie spowszednieje w 2021 Krzysztof Komeda. Kiedy nieco ponad dwa lata temu było w Polsce o nim głośniej niż zwykle, łączyło się to z 50. rocznicą śmierci jazzmana, pianisty i jednego z najwybitniejszych kompozytorów muzyki filmowej, jakich mieliśmy. Szczerze mówiąc, nigdy nie rozumiałam tradycji celebrowania czyjegoś odejścia. Znacznie przyjemniejsze są urodziny i to nawet wtedy, gdy jubilata już nie ma. A 2021 daje nam taką okazję. Komeda jest bowiem o 10 lat młodszy od Lema i gdyby miał trochę więcej szczęścia, mógłby z nami te urodziny świętować. Na przykład w Poznaniu, gdzie się urodził. Albo w Sopocie, gdzie w 1956 roku na pierwszym jazzowym festiwalu powołał do życia jazz nowoczesny w Polsce. Krzysztof Komeda-Trzciniński mógłby te urodziny wyprawić też w Warszawie, gdzie mieszkał i wszędzie indziej, gdzie znajduje się chociaż jeden muzyk, gotowy zagrać jego kompozycje.

Komedy można, a może i należy słuchać w momentach, kiedy coś zaczyna się od nowa. Bo jego muzyka właśnie taka jest. Zarówno jazz, tworzony na nowych zasadach, w których brak zasad jest zasadą naczelną, jak i muzyka filmowa, która po latach nadal jest tak nieprawdopodobnie świeża, że wręcz modna. Jeden z moich studentów, oczarowany kompozycjami filmowymi Komedy, powiedział mi ostatnio, że to jest to, czego on właśnie dzisiaj szuka. Oto filmowa recepta na artystyczną nieśmiertelność, według Wajdy zresztą: wiedzmy dziś, czego ludzie będą chcieli jutro.

80. urodziny obchodziłby w 2021 roku Wojciech Młynarski. Trzeba kilkunastu takich felietonów, żeby opisać wszystko to, co zrobił dla polskiej kultury, ale w najprostszych słowach: był po prostu mistrzem polskiej piosenki, tej pisanej i wykonywanej, a dzisiaj nawet mówionej. Piosenki jako obrazka z rzeczywistości, która choć piecze i boli, ma jeszcze jakieś przebłyski piękna. On to piękno zauważał. Ubierał w słowa. I nam podawał, często z celnym komentarzem. Mówił, że nawet najsmutniejsze tematy filtruje przez optymizm i tak też opisuje. Stąd Młynarska ironia, którą tak pokochaliśmy. Do wzięcia. To najmiłsza perspektywa, jaką pamiętam, odkąd wróciłam z wakacji w lutym, aby stanąć oko w oko ze światem, który postanowił się niespodziewane zakończyć. Czas na nowy.

Czego Wam życzyć?

Lemowskiego dystansu do tego, co ma się wydarzyć, i nieustannej gotowości. 2021 być może niesie więcej niż internet, Kindle i biotechnologia, które przewidział.

Komedowej frazy. Zrozumiałej, ale fascynującej. I zawsze historii o dwojgu osób, które opowiadał muzyką. Byłe z happy endem.

A od Wojciecha Młynarskiego weźmy trochę dystansu. Absolutnie.



Magdalena Miśka-Jackowska – autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej, jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju, fanka muzyki filmowej i Krakowa.

Dziennik pandemiczny

– Nowy Rok

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Nina siedziała przy komputerze, gdy jej syn nagle wypalił:

Mama, ty jesteś jak Tamagotchi. Jesz, śpisz i pracujesz. I tak w kółko.

– No wiesz, nie zawsze tak było. Życie dorosłej osoby dzieli się na to przed dziećmi i po dzieciach.

– To przed dziećmi był szampan i impreza?

– Właśnie tak!

– A mówiłaś, że jestem twoim najważniejszym skarbem!

– Bo jesteś. Jakoś muszę się pocieszyć. Coś straciłam, ale jednak coś zyskałam!

– No i które życie jest lepsze?

– Trudno powiedzieć. To są właśnie dylematy dorosłych!

Syn zaczął podduszać matkę, a potem walić w nią poduszkami. Przed snem Nina zrobiła sobie rachunek sumienia. Właściwie to prawda, że żyje jak Tamagotchi – je, śpi i pracuje. Oczywiście to wszystko wina koronawirusa. Covidowy Kraków bez knajp i restauracji wydaje się dogorywającym, pozbawionym tętna molochem. Oczywiście można jakoś reanimować trupa i urządzać nielegalne domówki albo przeprowadzać resuscytację winem z Lidla. Ale nawet te domowe spotkania mają w sobie coś ze stypy. Zazwyczaj wygląda to tak:

Do Niny przychodzi parę osób. Każdy po kolei długo przekonuje, że nie ma covida albo przysięga, że już go przechodził. Następnie ktoś wyciąga zioło, ale natychmiast przeprosza za marną jakość suszu, bo w covidzie wszystkie porządne „sklepiki” splajtowały. Zapach jednak pozwala tkwić w iluzji, że wszyscy jesteśmy na Jamajce. Wino też smakuje jakoś inaczej. Może dlatego, że z każdym łykiem biesiadnicy uświadamiają sobie, że kolejne chardonnay czy pinot noir będzie z niższej półki, aż dotrzemy do Kelerisa albo wina Tur. Nie ma już w portfelu kasy, którą można beztrudno przesasinić na dobre alkohole. Nikt nie ukrywa podkrążonych oczu, śladów bezsenności i ogólnego rozbicia. Żarty z Szajera, który uciekał po rynnie w czasie brukselskiej orgii, nikogo już nie bawią. Hasło ***** *** tylko na chwilę pobudza zgromadzonych, aż w końcu ktoś wzdycha: niech ten rok już się skończy...

Tylko co potem?

Nina zastanawia się nad tym, jakie ma marzenia i czy w ogóle można jeszcze o czymś marzyć. Natychmiast jednak porzuca te rozważania, próby nalania czegoś z pustki są raczej bez sensu. Postanowienia noworoczne? Proszę bardzo: będzie częściej chodzić na spacer, przeczyta więcej książek, posprząta w szafach. Potrzeb duchowych ani cielesnych właściwie nie ma. Ale zawsze są jeszcze jakieś życzenia. Czego sobie życzy? Kruczaty feministek i obalenia rządu. Rewolucji i końca ery dziadersów.

Przynajmniej dwudziestu milionów polskich apostatów. Wiosny w marcu. Festiwalu techno i pełnych sal teatralnych. Powrotu do życia bez strachu.

Nina przekręca te życzenia w myślach po pięć razy, to całkiem przyjemne, ale i tak na koniec dnia ma ochotę palnąć sobie w łeb. W kwietniu i maju jakoś się jeszcze trzymała, teraz kiwa się na cienkiej gumce. Co noc nie może zasnąć do trzeciej, ogłada

Czego Nina sobie życzy? Kruczaty feministek i obalenia rządu. Rewolucji i końca ery dziadersów. Przynajmniej dwudziestu milionów polskich apostatów. Wiosny w marcu. Festiwalu techno i pełnych sal teatralnych. Powrotu do życia bez strachu. Nina przekręca te życzenia w myślach po pięć razy, to całkiem przyjemne, ale i tak na koniec dnia ma ochotę palnąć sobie w łeb.

dokumenty o seryjnych mordercach. Czy to już czas na prozac? Nie, inni mają gorzej – pociesza się Nina. Ona jeszcze jakoś daje radę. Ma swoje patenty.

Wieczorne przejażdżki autem z Płaszowa na Bronowice, żeby tylko napić się kawy na Shellu i pogadać o cenie paliwa z ekspedientką. Godziny z Chodakowską. Lekcje online z synem, może nauczy się wreszcie obliczać prawdziwe procenty, bo na razie kojarzy tylko te w alkoholu. Co dwa tygodnie wielkie wyjście do salonu kosmetycznego, by mieć nowe hybrydowe pazycy. Plus trzy suche szampony z Rossmanna. Komu by się chciało co chwilę myć włosy, skoro paradujemy tylko z kuchni do salonu? Nina spędza też czas na planowaniu. Co będzie robić, gdy to szaleństwo wreszcie się skończy. Na pierwszym miejscu jest zawsze to samo – pójdzie w południe na kawę w Sukiennicach i już nigdy nie będzie narzekać, że musi przeciskać się przez tłumy turystów.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.

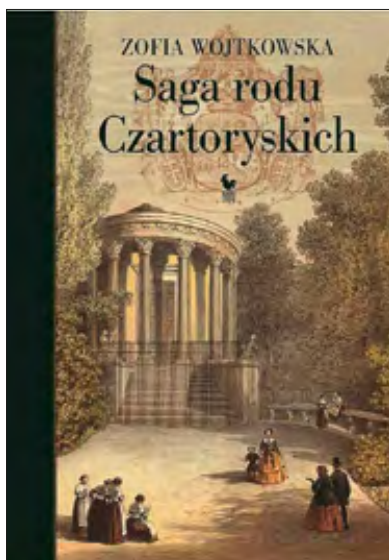


Rzadko spotyka się książkę tak skromną, że czytelnik zastanawia się, czy aby będzie co poczytać. Bo lubi się duże książki, a ta wydaje się taka niepozorna. Ale z każdym niewielkim rozdziałem wchodzimy w świat tak intensywnych doznań, że aż musimy się chwilami zatrzymać, aby móc znów zagłębić się w sugestywnie podsuwanych nam przez autora obrazach. *A Niż* to poetyckie prozy poświęcone... pracy kelnerskiej. Literatura momentami ekshibycyjna, a erudycja autora doprawia nam jej smak aż do granic wytrzymałości. To, co pokazujemy nam Topolski w swoim restauracyjnym fotoplastykonie, przeraża. Nic tu wzniosłego, wszystko odrzuca, wyszuk goni wyszuk w każdym znaczeniu, i aż dziwne wydaje się, że w tak skrojonym na nieludzką miarę świecie jest mimo to miejsce na wrażliwość, na umiejętność psychicznego odcięcia się, płacąc za to niejednokrotnie wysoką cenę.

Czy Topolski to restauracyjny outsider? Żartując, można chyba tak to ująć. Ale jest w tym coś więcej, to mistrz celne słowa, trafiającego w sedno tego, co rozgrywa się na naszych oczach podczas lektury. Nie da się potem całkiem uciec od tego, co się zobaczyło, przeżyło. To koszmarny ujęte sprawnie w literaturę, podzielone na rozdziały... I nie jest się już w stanie, po takiej lekturze, być obojętnym klientem restauracji, Topolskiego-kelnera mamy w głowie, widzimy jak do nas podchodzi, podaje kartę...

Elżbieta Wojnarowska

Maciej Topolski, *Niż*, Korporacja Ha!art, Kraków 2020.



Gdy wchodzimy do Muzeum Czartoryskich w Krakowie, witają nas portrety przedstawicieli możnego rodu. Stojni arystokraci spoglądają z obrazów surowym wzrokiem, a ich żony i córki oniśmielają wykwintnymi sukniami. Możemy odnieść wrażenie, że ten malarski teatr wymyślono przed wiekami po to, by potomnych olśnić wielkością jednej z najpotężniejszych w całej Rzeczypospolitej Familii. Bo właśnie tak określano rodzinę Czartoryskich, która rozdała karty w wielkiej polityce, miała wpływ na wybór królów i ostatecznie nie zawahała się osadzić na tronie swojego krewnego, Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Zofia Wojtkowska opisała dzieje Familii, nie tworząc jednak przeznaczonej wyłącznie dla specjalistów monografii. Procesy społeczne i gospodarcze, majątki, folwarki, wojny, schizmy, polityczne sojusze i zdrady są jedynie tłem opowieści rozpoczynającej się w 1440 roku, a kończącej w latach 40. XX wieku. Autorkę *Sagi rodu Czartoryskich* interesują przede wszystkim ludzie z krwi i kości, którzy tworzyli historię i dzierżyli stery władzy, ale też podlegali szalonym namiętnościom, pojedynkowali się, sprowadzali na świat dzieci, chorowali, umierali...

Na stronach książki Wojtkowskiej arystokraci z muzealnych obrazów ożywają, przestając być posągami, a stając normalnymi ludźmi, na tyle równocześnie nietuzinkowymi, że chciałoby się przeczytać osobną publikację o każdym z nich. (MHS)

Zofia Wojtkowska, *Saga rodu Czartoryskich*, Iskry, Warszawa 2020.



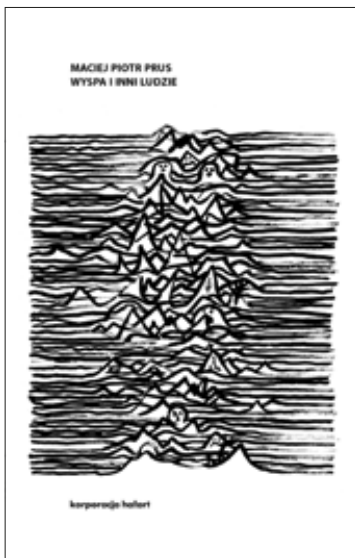
„Opowieści o Świtezi i świteziankach znane były nie tylko w najbliższych okolicach jeziora. Mickiewicz poznał je dzięki swojej niani, szlachciance Horbatowskiej, która – jak wspominał brat poety Aleksander – opowiadała mu, a nawet śpiewała podanie o mieście stołecznym, pod którym rozwarła się przepaść i pochłonawszy je, zalana została przez jezioro Świtez. (...)”

Za dni Mendoga gród Świtez pod wodzą dzielnego Tuhana powodzenia wielkiego zażywał. Zdarzyło się wszelako, że Car ruski z całą potęgą swoją na Litwę nadciągnął i króla jej w Nowogródku obległ...”

Zaskakująca książka, a właściwie – album. Syreny, rusalki, meluzyny i świtezianki potraktowane są naukowo i etnograficznie. A zaprezentowano aż sześćdziesiąt wodnych stworzeń znanych z ludowych podań i dzieł literackich. Każdej wodnicy poświęcony jest jeden rozdział zawierający szczegółową charakterystykę postaci, analizę jej szlachetnego lub niecnego działania oraz wpływu, jaki wywarła na współczesną kulturę, a rozważania wzbogacone są o rys historyczny miejsc, w których żyły owe stwory. Ciekawym zabiegiem jest połączenie eksplikacji z fabularyzowanymi legendami napisanymi współcześnie, ale językiem archaicznym.

W ten sposób zanurzamy się w zwodnicze ramiona ponętnych nimf, dowiadujemy się naukowo, co nas czeka, a zapakowane mamy to wszystko w pysznym tekście literackim. (kb)

Bartłomiej Grzegorz Sala, *Wśród polskich syren, rusalek, meluzyn, świtezianek i innych wodnych panien*, ilustracje: Mikita Rasolka, Bosz, Olszanica 2020.



Nieoczywiste. Tak jednym słowem można podsumować lekturę tej książki. Bo wszystko jest tu nieoczywiste. Począwszy od miejsca akcji, po fabułę, na bohaterach kończąc. Bo nawet metaforycznie nie da się ująć tej historii w jakiegokolwiek ramy. Tytułowa wyspa nie ma w sobie nic z symboliki, ma się nijak do naszych czasów, historia i postacie są zarysowane grubą kreską. Ale ta pozornie tylko realistyczna opowieść z baśniowym podtekstem to coś więcej niż zwykła opowieść. To przypowieść. Może nawet moralitet.

Historia ludzkich lęków i namiętności jest stara jak świat, a jednak wciąż odkrywamy ją na nowo, zdumieni jej aktualnością. Bo co z tego, że autor nie odkrył niczego nowego. Przecież nie o odkrywanie tu chodzi, tylko o ukazanie, że to, co ludzkie i nieludzkie jest od wieków tym samym. I choć w tej opowieści nic nie jest do końca oczywiste, to czy właśnie w życiu tak nie jest? Wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane niż nam się wydaje. Ta wyspa, enklawa pozornego spokoju, mieści w sobie społeczność, która niewiele ma wspólnego z rzeczywistością, a jednocześnie ma tak wiele. Wszyscy bohaterowie mogliby być jedną osobą rozbitą na wiele, tak jak wiele osobowości posiada w sobie każdy z nas. Tajemnice ludzkiej psychiki może nigdy do końca nie zostaną poznane. Wszak trudno poznać do końca nawet siebie samego. Czy nie być samotnym. I, co wydaje się sugerować autor, w każdego może „wkroczyć” zło, które nie wiadomo czym jest.

Elżbieta Wojnarowska

Dostałem pod choinkę obłądną figurkę z ćmielowskiej porcelany: Murzynek grający na bębnie, oryginalne dzieło z roku 1957 według projektu wybitnej designerki Hanny Othwein. Rzecz nie tylko wzruszająca, ale i po prostu – piękna.

Gdzie są dziś te cuda z nieodległej wielkiej przeszłości polskiego designu? Czy pieczętka PRL spoczywająca na nich ma je unieważniać?

Nie ma to zgody.

Książka, którą Państwu polecamy najserdeczniej, to podróż właśnie w krainę piękna designu w czasach, kiedy nie było towarów – czyli w okresie PRL. To opowieść o tym, w jakich okolicznościach powstawały meble, szkło, tkaniny, oświetlenie czy ceramika dostępne (czy raczej wiecznie niedostępne) w polskich sklepach po 1945 roku, ale także o tym, kto tworzył te, które nigdy nie trafiły na sklepowe półki. Wciągająca historia, przywołująca filmy, w których grają ikony designu, i mówiąca o wydarzeniach, bez których wiele wspaniałych obiektów nigdy by nie powstało.

Autorka, opisując instytucje, fabryki, technologie czy sposób sprzedaży, odwołuje się do pamięci samych projektantów i do wspomnień ich najbliższych. Ta osobista perspektywa uświadamia, jak trudno było wdrożyć wzór, ale również daje wyobrażenie o determinacji projektantów. W czasach, kiedy rządził wytwórca, a nabywca nie miał nic do powiedzenia, powstawały wyroby, które nadal są atrakcyjne dla współczesnych odbiorców. (wb)

Katarzyna Jasiołek, *Asteroid i półkotapczan. O polskim wzornictwie powojennym*, Marginesy, Warszawa 2020.

„Było jak w sensacyjnym filmie, tylko wszystko działa się naprawdę. Brakowało klapsów oznaczających koniec sceny, śmiechów przerywających twórczą ciszę i relaksu po wyczerpującym dniu zdjęciowym. Zamiast tego były permanentne zagrożenie wpadką, przekazaniem w ręce gestapowców i wiszący nad głową niczym topór wyrok śmierci. Oficjalnie kurierzy tatrzańscy ruszyli na górskie szlaki nie długo po wybuchu wojny”.

Historia trojga wybitnych przedstawicieli polskiego narciarstwa. Broniek Czech – pierwszy polski zawodnik światowej klasy. Stanisław Maruszak – niedoszły mistrz świata w skokach. Jego siostra Helena – talent wielki. Tylko Stanisław przeżył wojnę. Ale rzecz nie tylko w wojnie – ta książka to znakomity opis czasów przedwojennych wraz z budowaniem wolnej Polski i rosnącym zagrożeniem hitlerowskim. A Zakopane w połowie lat 30. ubiegłego wieku w niczym nie ustępowało najlepszym europejskim kurortom. Przyciągało nie tylko turystów, ale też artystów, pisarzy, ludzi nauki i polityków.

Do tego bogaty materiał ilustracyjny: listy, zdjęcia, wspomnienia, bo autor ściśle współpracował z rodzinami bohaterów i z Muzeum Tatrzańskim.

Czyta się jak sensację połączoną z przygodą. (kb)

Dariusz Jaroń, *Skoczkowie. Przerwany lot*, Marginesy, Warszawa 2020.

Maciej Piotr Prus, *Wyspa i inni ludzie*, Korporacja Ha!art, Kraków 2020.



Wypominki Tischnerowskie. Jerzy Pilch: (od lewej) Krzysztof Burnetko, Witold Bereś, Paweł Głowacki

O facecie, który szedł przez ciemność

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Piotr Uss Wąsowicz / Fundacja Świat ma Sens

XV Wypominki Tischnerowskie. Jerzy Pilch to opowieść o pisarzu, którą od stycznia można oglądać na platformie Play Kraków.

To było w czasach, kiedy Pilch mieszkał jeszcze w Krakowie, niedaleko pewnej restauracji przy rondzie Mogiłskim. Bywał w niej dość regularnie w godzinach dopołudniowych, posilając się może nie tyle obiadem, ile jego bardziej płynną postacią, którą donosili mu kelnerzy w przeźroczystrych kieliszkach. Miał swoje ulubione miejsce przy drzwiach, z którego mógł obserwować długą jak kiszka salę Europejskiej, a szczególnie jeden rytuał, który odbywał się w niej niezmiennie. Otóż punktualnie o godzinie 11.30 kelnerzy stawali na baczność, poprawiając przełożone przez łokcie białe serwetki, i witali starszego, ubranego po domowemu pana, który mamroczył coś pod nosem, maszerował wprost do znajdującego się na końcu sali baru. Tam konsumował podane mu w kieliszkach pierwsze i drugie danie i kłaniając się kelnerom, opuszczał lokal. Człowiekiem, którego obserwował z kąta Pilch, był Jerzy Nowosielski.

– Pilchu zadzwonił kiedyś do mnie i zaproponował spotkanie w Europejskiej, gdzie byłem świadkiem takiej właśnie sceny. Później w jednej z jego książek znalazłem mniej więcej tak brzmiące zdanie: „Od pewnego czasu prześladowuje mnie obraz człowieka, który idzie wolno przez ciemność”. W tej frazie jest skroplony narrator wszystkich opowieści Pilcha. To opowieść faceta, który idzie przez ciemność i snuje swoją historię – mówi Paweł Głowacki

w programie *Wypominki Tischnerowskie. Jerzy Pilch*, który od stycznia będziemy mogli oglądać na platformie Play Kraków.

W obrazie wyreżyserowanym przez Artura „Barona” Więcka zmarłego niedawno pisarza wspominają przyjaciele, przytaczając związane z nim anegdoty, bardzo osobiste historie, a także, tak jak Andrzej Franaszek, snując refleksje na temat jego twórczości. Twórczości podszytej samotnością i wynikającą z niej osobnością autora, co wybrzmiewa szczególnie w dyskusji prowadzonej przez Witolda Beresia, w której wzięli udział Krzysztof Burnetko i Paweł Głowacki. Rozmówcy zastanawiają się nad mocą Pilchowej frazy, którą pisarz budował swój literacki świat, jego niezależnością artystyczną, ale też polityczną.

– Jerzy miał niesłychany dar obserwacji elektoratu, czyli swoich rodaków, których głosy decydują o tym, kto będzie nami rządził – twierdzi przed kamerą Krzysztof Burnetko, a Witold Bereś wyznaje, jak tęskni za obecnością przyjaciela, za rozmowami z nim, za jednym czy drugim kieliszkiem, który można było jeszcze razem wypić. – Gdyby Jerzy żył, pewnie siedziałby z nami przy tym stole w Klezmer Hois – podsumowuje rozmowę Bereś. A choć Pilcha fizycznie tam nie ma, to nad filmem unosi się jego duch, którym tak mocno zostali naznaczeni bliscy mu ludzie.



Wojciech Kapela, multimedialna aranżacja przestrzeni, wystawa *Wajda*, Muzeum Narodowe w Krakowie, projekt Tomasz Wójcik



Popróbujmy „nalewki z dzikiej róży, z porzeczki...”

Tekst: Janusz M. Paluch Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Niełatwo pisać o poezji Leszka Długosza... Ciężko nad nim kompleks barda krakowskiego, na pieśniach którego wychowały się pokolenia słuchaczy i zwolenników poezji śpiewanej. Nie można jednak przejść obojętnie obok najnowszej książki poety *Do szkietka z Muzeum Czartoryskich* wydanej przez Bibliotekę Kraków w serii *Poeci Krakowa*. Zawarte w niej utwory stanowią autorski wybór poety, nad którym pracował trzy lata. Książka jest dogłębnie przemyślana przez autora i wspierającego go w słowie wstępnym Waldemara Smaszcza, który trafnie określa twórczość Długosza w tytule swego tekstu: *Patrzyć w niebo, by zobaczyć ziemię...* Właściwie tu można postawić kropkę, bo cóż więcej dodać na temat poezji Leszka Długosza płynącej do nas ze stron książek albo z koncertowej estrady przez dziesięciolecia?

A my tak – po kieliszku, po troszeczku popróbujmy poezji Leszka Długosza, wrażliwego na piękno, jakże uczuciowego estety. Już w pierwszym wierszu *Wiosna, duchy, Planty...* poeta uzmysławia nam, że „Coraz większa gromada duchów” chodzi z nim po plantach. „I nie masz, nie masz na to ratunku / *Ars longa, vita brevis* / – Śpiewamy tę piosenkę pospołu z duchami / W jednym chórze”. Atmosfera świadomości przemijającego czasu towarzyszy do ostatniej strony książki, a poeta wracając do swych zapewne

ulubionych poetyckich miejsc, przewijających się między wersami, chce je już mieć pod ręką...

Jakże ujmujący jest wiersz *Pochwała bibliotekarek*, które – jak pisze Długosz – „Za waszą służbę / Świat Was obdarza lichym miedziakiem”. Wszak to one stoją na straży książek, dbają o czytelników, by docierały do nich nowości wydawnicze, a także o autorów, by ich spotkania nawiedzała publiczność. Zatem „Panny madonny instytutów / Chorążyny księżnic / Skromne szarytki gminnych ośrodków kultury (...) Cześć i wdzięczność / BIBLIOTEKARKOM POLSKIM – AVE!”

Oczywiście, jeśli ważne miejsce w wierszach Długosza zajmuje Kraków, to szczególne jego rodzinne strony – okolice Zaklikowa, gdzie z lubością spędza czas w romantycznym Malińcu. Tam istnieją tylko cisza, naturalne odgłosy świata natury, a czas... się zatrzymał, jakby go nie było – tylko pory roku... W *Opisaniu świata z werandy na Malińcu* dowiadujemy się, czego potrzeba nam do życia: „Siedzę na Malińcu pośród ogromu nieba / Bory nieprzebyte pochłaniają zgiełk świata / Wieczorem wilk z sereнадą podchodzi / Jaskółka o poranku z esemesowym posłaniem / Na werandę przylata / – Oto mi wieści niezbędne... / W sam raz ile trzeba”.

Leszek Długosz, *Do szkietka z Muzeum Czartoryskich*, seria *Poeci Krakowa*, Biblioteka Kraków, 2020.

■ Domowa czułość Boskiej Komedii

To normalnie wyglądałoby tak: najpierw widzowie nerwowo poszukiwaliby w internecie ostatnich biletów, później tłoczyliby się przed wejściem do krakowskich teatrów, by zobaczyć najgłośniejsze spektakle, a po ich zakończeniu dyskutowaliby w foyer, wyrażając zadowolenie z artystycznych doznań albo utyskując nad ich poziomem. Jednak w grudniu, kiedy nastał czas festiwalu Boska Komedii, teatromani musieli zostać w domach i tylko na Play Kraków mogli śledzić *online* sceniczne wydarzenia. Było to o tyle bezbolesne, że twórcy przygotowali widowiska ze świadomością formy, w jakiej zostaną pokazane.

A na Boskiej było co oglądać. Jej dyrektor artystyczny Bartosz Szydłowski, konstruując program, odniósł się do mowy noblowskiej Olgi Tokarczuk i nadał festiwalowi hasło *Czuły narrator*. Sprowokowało ono twórców do realizacji bardzo osobistych przedstawień. Reżyserzy i aktorzy sięgnęli w nich do własnych doświadczeń, proponując intymną rozmowę z publicznością. Tak jak zrobił to Michał Zadara w szkicu teatralnym, który został oparty na powieści *Bieguni*. Wydarzeniem okazał się jednak spektakl Katarzyny Kalwat *Powrót do Reims*, z niezwykle rolą Jacka Poniedziałka. Aktor podzielił się z publicznością opowieścią o swoim awansie społecznym, który rozpoczął się ucieczką z jednego z krakowskich osiedli. Absolutnie prywatną historię zaprezentował także Michał Buszewicz w przedstawieniu *Autobiografia na wszelki wypadek*, będącym spojrzeniem młodego mężczyzny na własną przeszłość i przyszłość.

Mam nadzieję, że kiedy czytacie Państwo te słowa, wszystko już wraca do normalności i spektakle, o których piszę, można zobaczyć na żywo w Teatrze Łaźnia Nowa. Ja na pewno się na nie wybiorę i, szczerze mówiąc, nawet przez chwilę nie będę tęsknić za dressem, w którym je oglądałam, ani za trzymaną w rękę herbatą czy innymi rozgrzewającymi napojami, którymi mogłam wzmacniać się podczas streamingów. Może będzie mi tylko brakowało komentarzy znajomych, którzy, dzięki ukrytym w telefonach komunikatorom, na bieżąco wymieniali się ze mną uwagami na temat spektakli.

■ Nieznane oblicze Mariana Eilego

Jak to tylko będzie możliwe, biegnijcie do MOCAK-u. Tam przygotowano ekspozycję zatytułowaną *Artysta i redaktor*, poświęconą Marianowi Eilemu. Przy samym wejściu ze zdjęć Wojciecha Plewińskiego patrzy na nas mężczyzna wyglądający jak przeciętny urzędnik. Jedyną ekstrawagancją wydają się wydobywające się z jego ust kłęby papierosowego dymu. Po twórcy tak barwnego pisma, jakim był „Przekrój”, spodziewalibyśmy się czegoś innego. Jednak powierzchowność Marian Eilego kłóciła się z artystyczną fantazją, którą został obdarowany.

A świadczą o tym już choćby prezentowane tu obrazy Eilego inspirowane twórczością Picassa. Uwiel-

biał go do tego stopnia, że podpisywał swoje prace jego nazwiskiem. Mógł być przez to posądzony o wypuszczanie w świat falsyfikatów, ale tak naprawdę nawet amator łatwo zorientowałby się, że nie ma do czynienia z oryginałem. Oryginalne są natomiast abstrakcyjne dzieła redaktora, mroczne kompozycje skłębionych niteczek, malowanych farbą nitro i uzupełnionych kolorowymi, akwarelowymi akcentami. Na wystawie pokazywany jest też cykl zdjęć zatytułowany *Napad na bal*, który został zaaranżowany przez Eilego podczas balu Piwnicy pod Baranami, a także seria fotografii *Rewizyta – Salvador Dali u państwa Pendereckich*, przedstawiająca zainscenizowany przyjazd hiszpańskiego surrealisty do Krakowa. To trzeba po prostu zobaczyć.

■ Nieznany Cranach zawiśnie na Wawelu

Mroczny czas pandemii rozświetliły dwie iskielki, które rozbłysły na Wawelu. Jedną z nich jest oddanie w depozyt Zamkowi Królewskiemu nieznanego i nigdy niepokazywanego obrazu, pochodzącego ze zbiorów krakowskiego klasztoru oo. Franciszkanów. Wstępna analiza dzieła ujawniła, że mamy do czynienia z pracą XVI-wieczną, która tradycyjnie była łączona z osobą Lucasa Cranacha Starszego, wybitnego przedstawiciela niemieckiego malarstwa renesansowego. Wykonany na desce obraz przedstawia Madonnę z dzieciątkiem Jezus w otoczeniu tańczących aniołków. Teraz dzieło przechodzi konserwację, po której będziemy mogli je oglądać.

Drugą dobrą nowiną jest przekazanie Zamkowi Królewskiemu na własność portretu królewicza Władysława Zygmunta Wazy, powstałego w warsztacie Piotra Pawła Rubensa. Był on wprowadzicie od 1977 roku pokazywany w Sali pod Ptakami, ale stanowiąc własność Metropolitan Museum of Art w Nowym Yorku. Jego dyrektor Max Hollein postanowił sprawić niespodziankę krakowskiej instytucji i zaproponował, by obraz stał się jej własnością. Koniec tego strasznego roku przynosi więc też dobre informacje.

■ Batsheva Dance Company zatańczy w Krakowie

Ponieważ mój niepoprawny optymizm każe mi patrzeć z nadzieją w przyszłość, z radością donoszę, że w Krakowie wystąpi Batsheva Dance Company z Tel Awiwu. Stanie się to wprawdzie dopiero w 2023 roku, gdyż tej rangi artyści kontraktują swoje przedstawienia z dużym wyprzedzeniem, ale nie zmienia to faktu, że na organizowanym przez Teatr Groteska festiwalu Materia Prima będziemy mogli podziwiać jedno z najciekawszych zjawisk współczesnego teatru tańca. Czekać na przyjazd grupy wybitnego choreografa Ohada Naharina, twórcy języka ruchowego Gaga, proponuję wrócić do dostępnego w sieci filmu *Mr. Gaga*. To jeden z tych dokumentów, po którym chce się fruwać.

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec



W następnym numerze między innymi:

Portrety 2020 – czyli prezentacja finałowej dwudziestki nominowanych do nagrody „Portrety” miesięcznika „KraKów” (wybranej spośród aż 99 książek, spektakli, filmów i audycji najlepszych dzieł biograficznych minionego roku).

To spośród niej Czytelnicy będą mogli wybrać swojego zwycięzcę – niezależnie od werdyktu jury!



Rys. Piotr Błachut

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „KraKów”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82,

e-mail: redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznik.krakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Bereś (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Piotr Błachut, Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Jan Pieszczechowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Magda Huzarska-Szumiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepe, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.

Layout: Igor Banaszewski

Strona internetowa: Piotr Rachwaniec

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa:

Agencja Reklamy Wenecja, ul. Wenecja 2B/3,

31-117 Kraków, agencja@wenecja.com.pl

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego.

Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków,
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)

– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**

– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

W sieci kultury

Opracował Piotr Rachwaniec

Dwutygodnik.com

Patodeweloperka – pod tym, jakże wymownym, tytułem Dwutygodnik.com publikuje rozmowę z Dorotą Leśniak-Rychlik, autorką książki traktującej o rynku mieszkaniowym w Polsce. Z samej rozmowy dowiedzieć się wielu rzeczy o poczynaniach firm deweloperskich.

<https://www.dwutygodnik.com/artyku-1/9219-patodeweloperka.html>

„PRL-owskie osiedla były projektowane tak, żeby park, sklep i przedszkole były dostępne w odległości niezbyt długiego spaceru (...) w większości dobrze skomunikowane z miastem, z pełną infrastrukturą edukacyjną, z wysoką zielenią, dzięki czemu jest chłodniej przy zmianach klimatycznych.

(...) Dzisiaj projektanci projektują w Excelu. W numerze »Autoportretu« z tytułowanym *Nowa nadzieja* publikujemy spowiedź architekta, który pisze o swoich frustracjach – dostał zadanie przesunięcia wszystkich ścian o pięć centymetrów zgodnie z normami, żeby deweloper miał na tym 350 tysięcy złotych dodatkowego zysku.

(...) Studenci architektury robią dyplomy pokazujące manipulacje deweloperów. Na przykład sprawdzają realne wielkości sprzętów domowych, wstawiając je w rzuty mieszkań dostępnych na rynku, i okazuje się, że sprzęty są pomniejszone o dziesięć procent – sofa jest mniejsza na rzucie, więc mieszkanie wygląda na bardziej przestrzenne”.

Liberte.pl

W sprawie pandemii media głównego nurtu mówią jednym głosem bez względu na to, po której stronie politycznej barykady stoją. Warto jednak wiedzieć, że na świecie funkcjonują poglądy nieco odmienne od lansowanych ze szklanego ekranu. I nie mam tu na myśli żadnych foliarzy czy płaskoziemców, ale naukowców z Harvardu, Oxfordu i Stanforda. Więcej w artykule na Liberte.pl

<https://liberte.pl/wielka-deklaracja-z-barrington-i-zaplanowany-lockdown/>

„ (...) Osobom, które nie są szczególnie narażone, powinno się natychmiast pozwolić na powrót do normalnego życia. Proste zasady higieny, takie jak mycie rąk i pozostawanie w domu, kiedy czujemy się chorzy, powinny być przestrzegane przez wszystkich, aby obniżyć próg potrzebny do osiągnięcia odporności stadnej. Szkoły i uniwersytety powinny być otwarte na nauczanie stacjonarne. Należy przywrócić zajęcia dodatkowe, takie jak wychowanie fizyczne. Młodzi dorośli należący do grupy niskiego ryzyka powinni pracować normalnie, a nie z domu. Restauracje i inne przedsiębiorstwa powinny zostać otwarte. Należy wznowić działalność w zakresie sportu, sztuki, muzyki i innych wydarzeń kulturalnych. Osoby, które są bardziej narażone, będą mogły brać dobrowolny udział w tych wydarzeniach, podczas gdy społeczeństwo jako całość będzie się cieszyć ochroną zapewnioną bardziej wrażliwym przez tych, którzy zbudowali już odporność stadną”.



Rys. Marek Braun



Gdańsk

Tekst: Aleksandra Dulcikiewicz **Zdjęcie:** Artur Andrzej © WikimediaCommons

Gdańsk to miasto wolności i solidarności.

Dlatego zapraszam wszystkich Państwa do odwiedzenia Europejskiego Centrum Solidarności. Ta wymarzona i stworzona przez Pawła Adamowicza instytucja jest miejscem, do którego po prostu nie można nie przyjść.

Ciekawa bryła architektoniczna nawiązująca do miejsca, w którym się znajduje, czyli do stoczni. A wewnątrz mnóstwo atrakcji. Przede wszystkim imponująca wystawa *Drogi do wolności* opowiadająca o walce Polaków o wolność, niepodległość i „Solidarność”. A poza tym wystawy czasowe, warsztaty... Słowem: tam się dzieje!

*

Ilekoć jestem w Krakowie zawsze muszę przejść się po plantach. To dla mnie miejsce absolutnie magiczne. Tu można spotkać spacerującego z powagą dorożkarza z zaczarowanej dorożki. Tu, na ławeczce wśród zieleni można zamienić kilka słów z Piotrem Skrzyneckim. To, moim zdaniem, serce Krakowa.

*

Czego możemy w nowym roku życzyć krakowianom? Myślę, że najlepiej sformułował to Andrzej Sikorowski;

„Nie przenoście nam stolicy do Krakowa
Chociaż tak lubicie wracać do symboli
Bo się zaraz tutaj zjawia
Butne miny święte słowa
I głupota, która aż naprawdę boli”.



© WikimediaCommons

Aleksandra Dulcikiewicz (urodzona w Gdańsku) – absolwentka Wydziału Prawa Uniwersytetu Gdańskiego, od 2017 roku zastępczyni prezydenta miasta Pawła Adamowicza, po którego śmierci została w marcu 2019 roku wybrana przed mieszkańcówna na pierwszą kobietę-prezydenta w historii Gdańska.

Kapelusze Babci Marysi

– Niech pani leci i kupuje! Cokolwiek: kapelusz, czapkę, berecik, moherek. Tylko spieszyć się, spieszyć, bo kolejka długa! – zagadnęła jedną z naszych redakterek na A-B pani Danusia, emerytowana pracowniczka poczty. Pobiegliśmy więc, czym prędzej. Daleko nie było, bo z A-B do sklepiku modniarskiego pani Marii Lipki na Floriańskiej jest rzut, *nomen omen*, beretem. I rzeczywiście, kolejka ustawiła się jak za dawnych czasów. Tak oto krakowianie zareagowali na apel wnuczki Babci Marysi, pani Joanny Lis, o pomoc w uratowaniu maleńkiego, znajdującego się w bramie sklepiku z nakryciami głowy. 79-letnia pani Maria prowadzi interes od 60 lat. Niedługo sama wykonywała nakrycia głowy. Dziś, kiedy ręce już nie te, zamawia gotowe. Jednak, jak sama przyznaje, nie spodziewała się aż takiego odzewu od słynących wszak z niezbyt rozrzuconego trybu życia mieszkańców naszego miasta. Tymczasem kapelusze znikają jak ciepłe bułeczki. A my ogłaszamy sezon na kapelusze od pani Marii Lipki. Noście!

Ach, cóż to były za zaręczyny!

A było to tak: Karolina i Szymon poznali się w MOCAK-u i tam też umówili się na pierwszą randkę. Nie wiemy, jaki wpływ na ich uczucie miały muzealne obiekty, ale wiemy, że odtąd para bywała w Muzeum Sztuki Współczesnej regularnie. Nie umniejszało to w niczym zdziwienia pracownika muzeum, który pewnego listopadowego dnia usłyszał w służbowym telefonie głos Szymona: „Dzień dobry, planuję oświadczyć się mojej dziewczynie. Baaaardzo chciałbym zrobić to w MOCAK-u”. Pracownikom ten romantyczny pomysł spodobał się do tego stopnia, że zaczęli razem z Szymonem obmyślać strategię działania. Współ ustawili wśród innych eksponatów postument, na którym pod szklanym kloszem czekał zaręczynowy pierścionek. Szymon jak zwykle zaprosił Karolinę do muzeum i w stosownym momencie, ku zaskoczeniu wybranki serca, wyjął spod klosza pierścionek i zadał tradycyjne pytanie. W tej sytuacji odpowiedź Karoliny mogła być tylko jedna: tak! Szymonowi gratulujemy więc fantazji, pracownikom MOCAK-u dystansu do samych siebie i odwagi, a przyszłej młodej parze wieszujemy szczęśliwego życia ze sztuką za pan brat!



*Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy*

Opracowała Magda Huzarska-Szumiec

Zamiast Lenina... Lord Vader

Ciekawą poprawkę zgłosił do projektu budżetu miasta Krakowa na rok 2021 radny Łukasz Wantuch. Otóż zamarzył on sobie, żeby w Nowej Hucie, w miejscu gdzie niegdyś stał pomnik Włodzimierza Lenina, pojawił się pomnik niejakiego Lorda Vadera. Dla przypomnienia: Lord Vader, zwany też Darthem Vaderem, to postać z filmowych *Gwiezdných wojen*, rezydująca po ciemnej stronie Mocy. – To będzie hit. Darmowy czas reklamowy, który uzyskamy w CNN, BBC. Myśl globalnie, działaj lokalnie! – zachwyca się swoją ideą radny. I dodaje: – Taki pomnik będzie sensacją na skalę światową. Na całym świecie, w szczególności w Stanach Zjednoczonych,

są setki tysięcy fanów *Gwiezdných wojen*. Taki pomnik będzie *must see* dla nich. Być może nawet dla części z nich będzie powodem specjalnego przyjazdu do Krakowa!

Sprawa samego postumentu wydaje się prosta. Wystarczy wykupić z demobilu pomnik Włodzimierza Iljicza i dorobić mu głowę Vadera. Choć radny zdaje sobie sprawę, że narazi się na „głupie komentarze”, pomysł czegoś, co jak magnes o przyciągnięciu turystów do Nowej Huty, wydaje się szlachetny. Zastanawiamy się tylko, czy zamiast w Lorda Vadera nie lepiej zainwestować w Batmana. Sława nie mniejsza, a stoi po jasnej stronie Mocy.

O owcy, co ogniem zionęła

Całkiem niedawno, nie za siedmioma górami i lasami, ale pod wawelskim wzgórzem pojawiła się owca. Przycupnęła tuż przy Smoku Wawelskim i z niesłychanym tupetem zaczęła... zionąć ogniem. Smok musiał osłupieć, gdyż na widok takiej płomiennej owcy nawet nie mlasnął. Tymczasem owieczka zadomowiła się u boku smoka na czas jakiś, za nic mając przerażającą postać gada... Tak mogłaby się zaczynać współczesna wersja legendy o Smoku Wawelskim. Ale wszystko wydarzyło się naprawdę. Otóż z okazji Światowego Dnia Życzliwości

przed Smoczą Jamą postawiono owieczkę wykonaną z klocków lego. Owca nawiązała też do globalnej akcji #RebuildTheWorld, której celem jest rozwijanie kreatywności u dzieci. Wykonał ją zespół pod okiem czeskiego konstruktora Libora Udržala. Wykorzystano kilkanaście tysięcy klocków lego, ważących łącznie 62 kilogramy. W ten sposób twórcy akcji przywrócili pamięć będącej postacią raczej drugoplanową, owcy. I zwrócili uwagę, że w tej historii smok, owszem, zionie, ale ze strachu przed odważnym trałowercą. Iście budująca historia.

Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Klub Przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”

Magdalena i Piotr Maciukiewicz, Kraków
Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
Grzegorz Szymański, Warszawa
Aleksander Skotnicki, Kraków
Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
Adam Michnik, Warszawa
Janusz Szerla, Kraków
Grzegorz Kogut, Kraków
Józef Palinka, Warszawa
Marek Braun, Kraków
Krystyna Zachwatowicz, Kraków
Aleksander Herzog, Warszawa
Jacek Purchla, Kraków
Kazimierz Sumera, Zawoja
Andrzej Gaworski, Warszawa
Józef Opalski, Kraków
Halina i Leszek Domańscy, Kraków
Katarzyna Janowska, Warszawa
Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
Stanisław Bisztyga, Kraków
Ewa Przyboś-Razowska, Kraków
Krzysztof Bień, Kraków
Teresa Bergier, Kraków
Antoni Legeżyński, Kraków
Krystyna Sacha, Porąbka Uszewska
Elżbieta Motas, Warszawa
Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
Iwona Ben, Kraków
Barbara i Andrzej Jajszczyk, Kraków
Józef Grudnik, Kraków
Teresa Pracz, Warszawa
Alicja Jarkowska-Natkaniec, Kraków

Ewa Rusek, Kraków
Andrzej Wyrobiec, Kraków
Jarosław Poczykowski, Białystok
Jadwiga Falkowska, Białystok
Marcin Barcz, Piaseczno
Tomasz Langie, Kraków
Tomasz Majka, Zawada
Jerzy Zoń, Kraków
Amelia i Rafał Skąpcy, Jazowsko
Anna Kosioriewicz, Kraków
Jerzy Hausner, Kraków
Katarzyna Bilan-Zajac, Kraków
Monika Gierko-Libicka, Warszawa
Rafał Bubnicki, Wrocław
Adam Opatowicz, Kołbaskowo
Dominika Dudek, Kraków
Wanda Chmielowska, Kraków
Hanna Gajewska-Kraczkowska, Pruszków
Gerhard Gnauck, Sulejówek
Wacław Marszałek, Warszawa
Piotr Krzywiec, Warszawa
Gwidon Dziwoki, Kraków
Waldemar Zakrzewski, Szczecin
Renata i Wojciech Michna, Kraków
Andrzej Kuźma, Kraków
Jarosław Grzesiak, Kontancin-Jeziorna
Konstanty Gebert, Warszawa
Agnieszka Odorowicz, Warszawa
Janusz Fogler, Legionowo
Anna Tyniec, Kraków
Czesław Misiołek, Ożarów Mazowiecki
Małgorzata Maruszkin, Warszawa
Anna Anderson, Dobczyce
Marcin Barcz, Piaseczno

Wojciech Bergier, Kraków
Ewa Bielecka, Kraków
Jacek Górski, Kraków
Dorota Hajdarowicz, Bolechowice
Grzegorz Hajdarowicz, Bolechowice
Wanda Fryz, Wodzisław Śląski
Paweł Stanisław Nikliński, Kraków
Andrzej Łojewski, Kraków
Andrzej Pach, Kraków
Małgorzata Pach, Kraków
Jerzy Lorecki, Kraków
Jan Sady, Kraków
Róża Thun, Kraków
Stanisław Dudzik, Kraków
Artur Romanowski, Kraków
Małgorzata i Paweł Jagusiowie, Kraków
Małgorzata i Jerzy Dobrowolscy, Skarżysko-Kamienna
Ewa i Krzysztof Jurkiewicz, Krępa
Zofia Maciaga, Łędziny
Ewa i Grzegorz Reszka, Warszawa
Dariusz Borucki, Łomianki
Alina Kruk, Zielona Góra
Krzysztof Ryszard Wilk, Kraków
Anna Świętoń-Piędzioch, Kobyla Góra
Grażyna Przybylska-Okon, Kraków
Teresa Stowska, Kraków
Małwina Kopańska, Olsztyn
Kazimierz Trybalski, Przybysławice
Anna Kulak, Krzeszowice
Jerzy Kicki, Kraków
Andrzej Pienias, Bełchatów
Waldemar Smolski, Kraków
Alicja Byszkiewicz, Toronto
Andrzej Mącznik, Kielce

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwanaście miesięcy 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka unikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
31-154 Kraków
24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
– nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysyłać nasz magazyn!
Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenas Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Blask i obietnica

Tekst: Agnieszka Kosińska

Jeśli któryś śmiertelnik miał wszystko, to z pewnością Oskar Wilde (no, może jeszcze Tycjan, malarz). Talent, urodę, powodzenie, rodzinę i przyjaciół, dobrą sławę i wysoką pozycję społeczną. Choć, oczywiście, nie ograniczał się do bycia niewinnym, wiódł życie na miarę apetytów estety i dandysa, pełne harmonii i niewyczerpanej weny twórczej. Spełniał się jako syn kochających rodziców, czuły mąż i ojciec, szczęśliwy kochanek, a do tego gej.

Cóż więc stać się mogło, że stracił wszystko? Miał około 40 lat, kiedy spotkał lorda Alfreda Douglasa, swoje całkowite przeciwieństwo i miłość życia. Czy to możliwe, żeby Wilde tak czuły na punkcie smaku, wpuścił do swojego tak wspaniale skomponowanego życia istotę, z którą nic go nie łączyło?

Nic, oprócz miłości.

Na tę zagadkę odpowiada pewien słynny i pikantny list, znany do tej pory z wersji ocenzurowanej, pisany od stycznia do marca 1897 roku w Zakładzie Karnym w Reading (chciałabym widzieć jego rękopis). Wilde *de profundis* (z łaciny: z dna, otchłani, ale i głębokości) dokonał tak inspirujących odkryć, że postanowił podzielić się nimi z ukochanym. Tak, tak, z tym ukochanym, który zrujnował mu życie i wtrącił do więzienia. Nie ma w światowym piśmiennictwie wielu tak autentycznych i osobistych tekstów jak ten więzienny list Wilde'a do Douglasa. Brawurowe tłumaczenie Macieja Stroińskiego sprawia zaś, że czujemy prawie oddech Wilde'a. Czujemy, że całe fragmenty tego listu wypowiadaliśmy albo, co częstsze, układaliśmy w głowie, żeby kiedyś do kogoś; czujemy, że to z naszego życia wzięte, z tych samych ścięgien i mięśni wyplecione co nasze emocje. To prawdziwy list z tamtego świata do naszego. Zaprawdę, Wilde dał język i styl nam, którzy kochamy za mocno.

Ale przecież nie dlatego, leżąc bez ducha w kowidzie, piłam ten list jak wodę żywą. Więzienie rozjuszyło wyobraźnię

Wilde'a tak bardzo, że przemyślał swoje dotychczasowe życie i wymyślił dla siebie (i dla Douglasa) nowe. Zobaczył swoje grzechy (nie ograniczał się wszak do niewinności) i grzechy ukochanego, po Wilde'owsku je wspaniale opisał (na bogatym tle obyczajowym), przeniecował, nie wybielał, co dziś jest tak rzadkie, bo rozumiane jako słabość i przegrana. Nic bardziej mylnego. Kiedy naprawdę stracisz wszystko (również dobre o sobie zdanie) – zyskasz wszystko. Wszystko, czyli co?

Chciałabym całymi garściami cytować, tym bardziej że mówi to najtrafniejszy i najdowcipniejszy z ludzi, a do tego przemieniony, ale mamy początek Nowego Roku, a Początek domaga się blasku i obietnicy.

„Miłość jest dzieckiem wyobraźni, a kto ją ma, staje się mądrzejszy od samego siebie, lepszy niż by przypuszczał, wspanialszy niż by potrafił, dzięki niej Wszystko jest jasne, wszystko da się zrozumieć, każdego widać, jaki jest naprawdę i jaki mógłby być. Tylko tym, co dobre, co przynajmniej chce dobrze, tylko tym żywi się Miłość. Za to Nienawiść żywi się czymkolwiek” (s. 50). Wiem, że nie jest dobrze kończyć tym słowem na „n”, ale to zdanie tak draży mi mózg, że mogę tylko jeszcze raz Wilde'em powtórzyć, że „człowiek odsyła do czegoś więcej” (s. 98).

Cytaty z edycji: Oscar Wilde, *De profundis*, tłum. Maciej Stroiński, wstęp Agaty Bielik-Robson, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2017.



Agnieszka Kosińska: lubi lubić. Jej strona autorska: <https://kosinska-miloszwkrakowie.com>

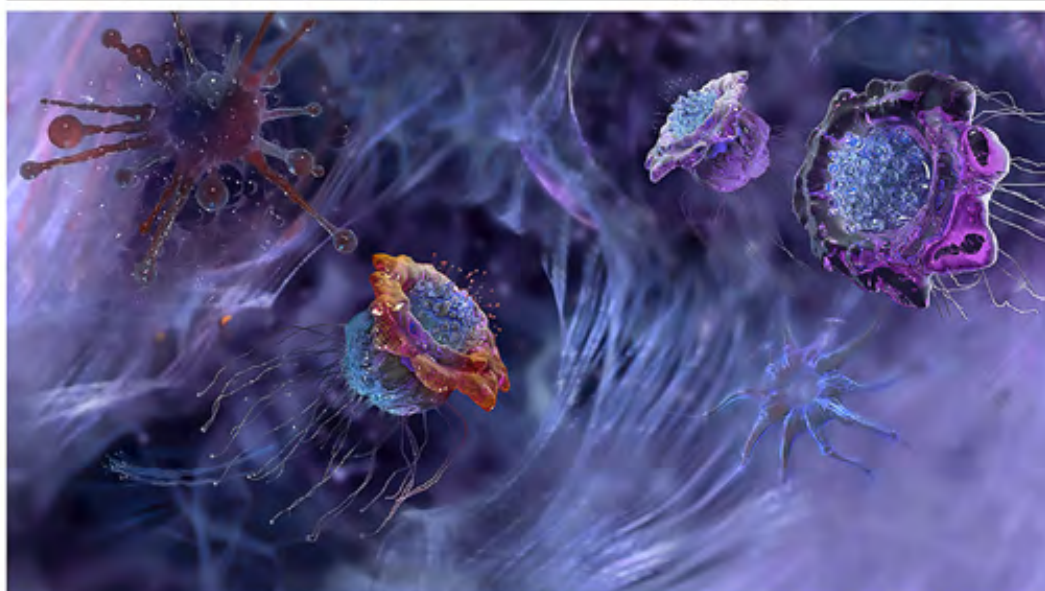
W poszukiwaniu Świętej Góry



**Najnowsza książka
Anny Grochowskiej**

Święte Wzgórze?

**Wawel w literaturze, sztuce
i kulturze polskiej w latach 1795-1918**



Wojciech Kapela, grafika cyfrowa, cykl *Frutti di Mare* seria I